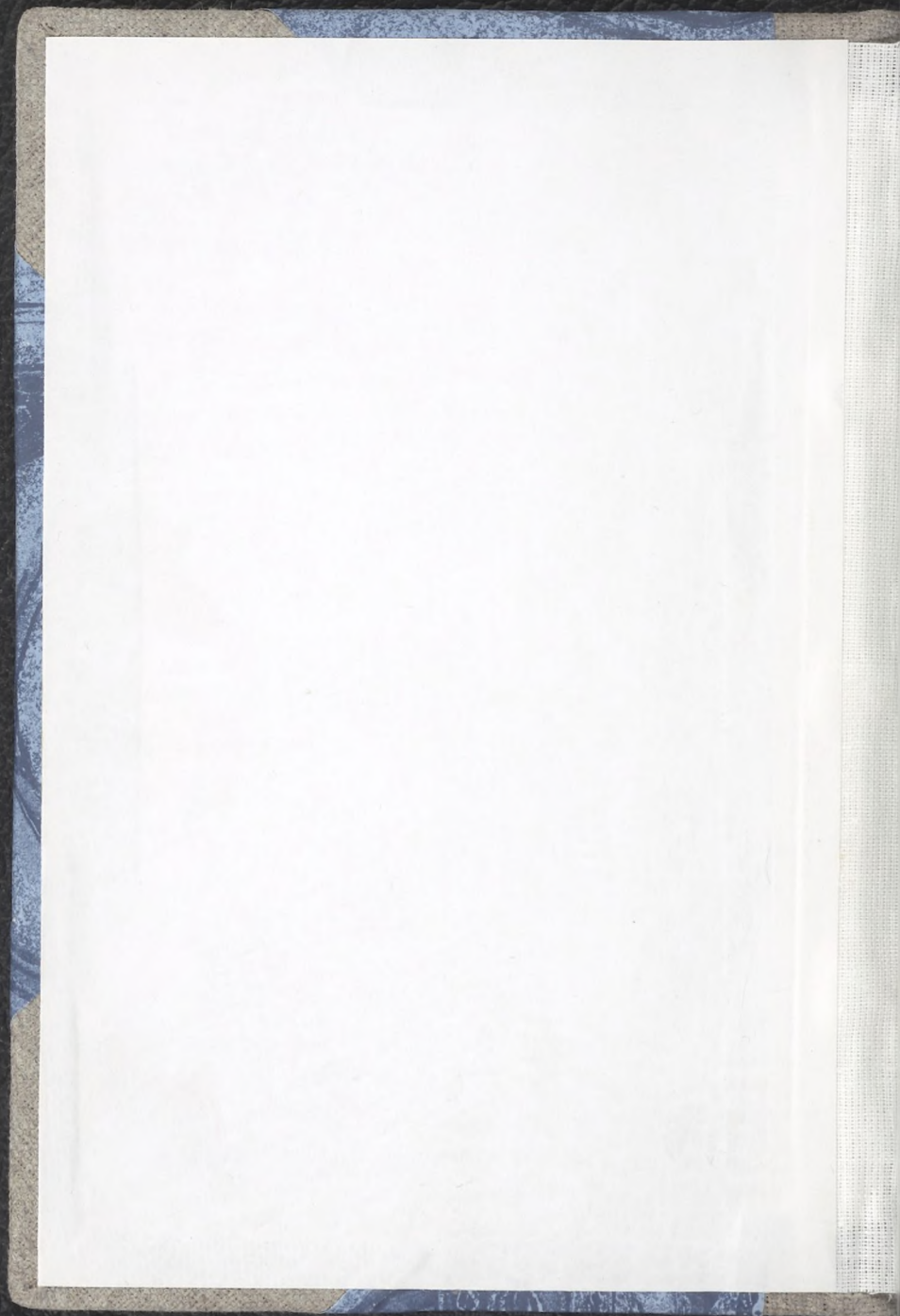
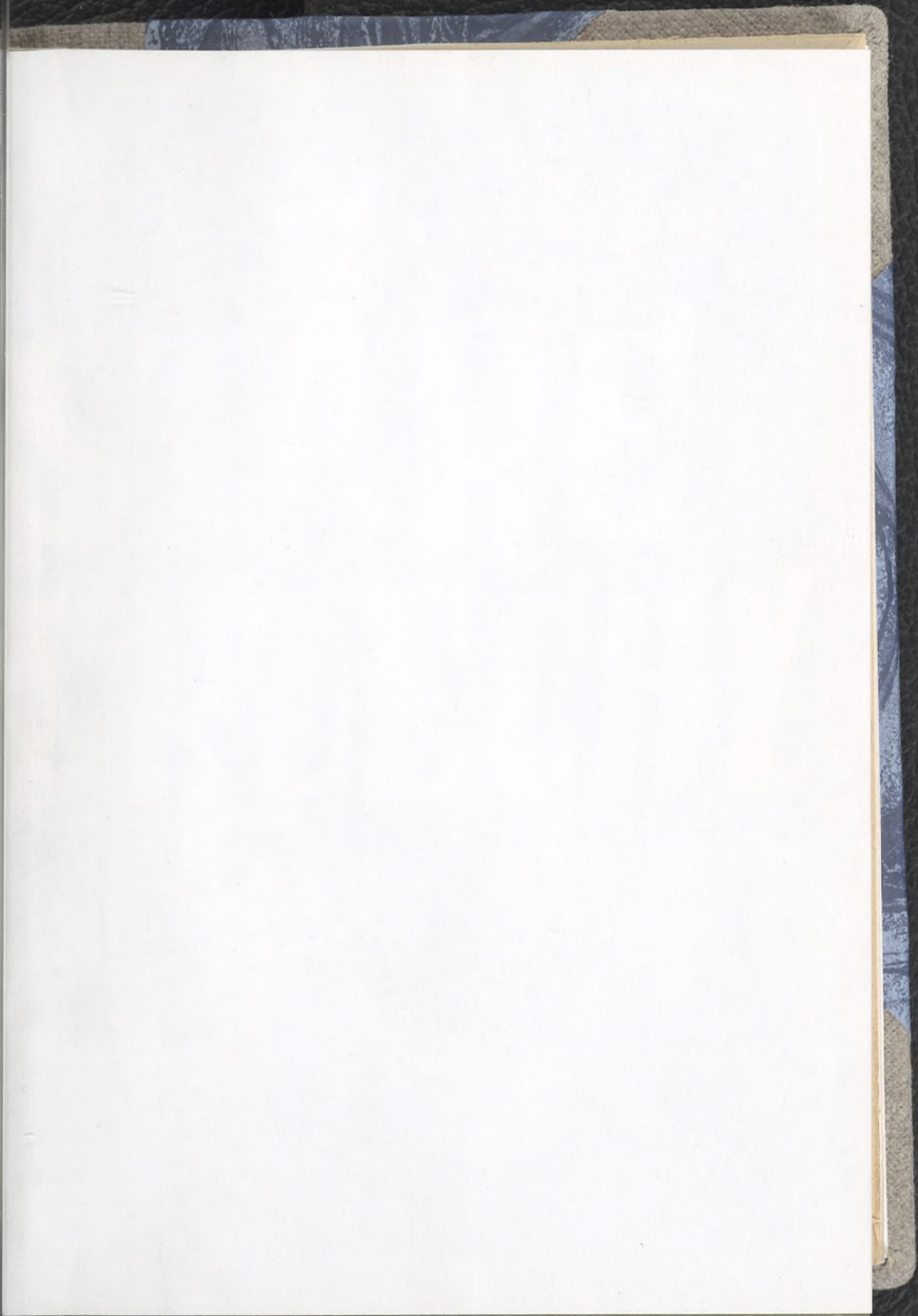
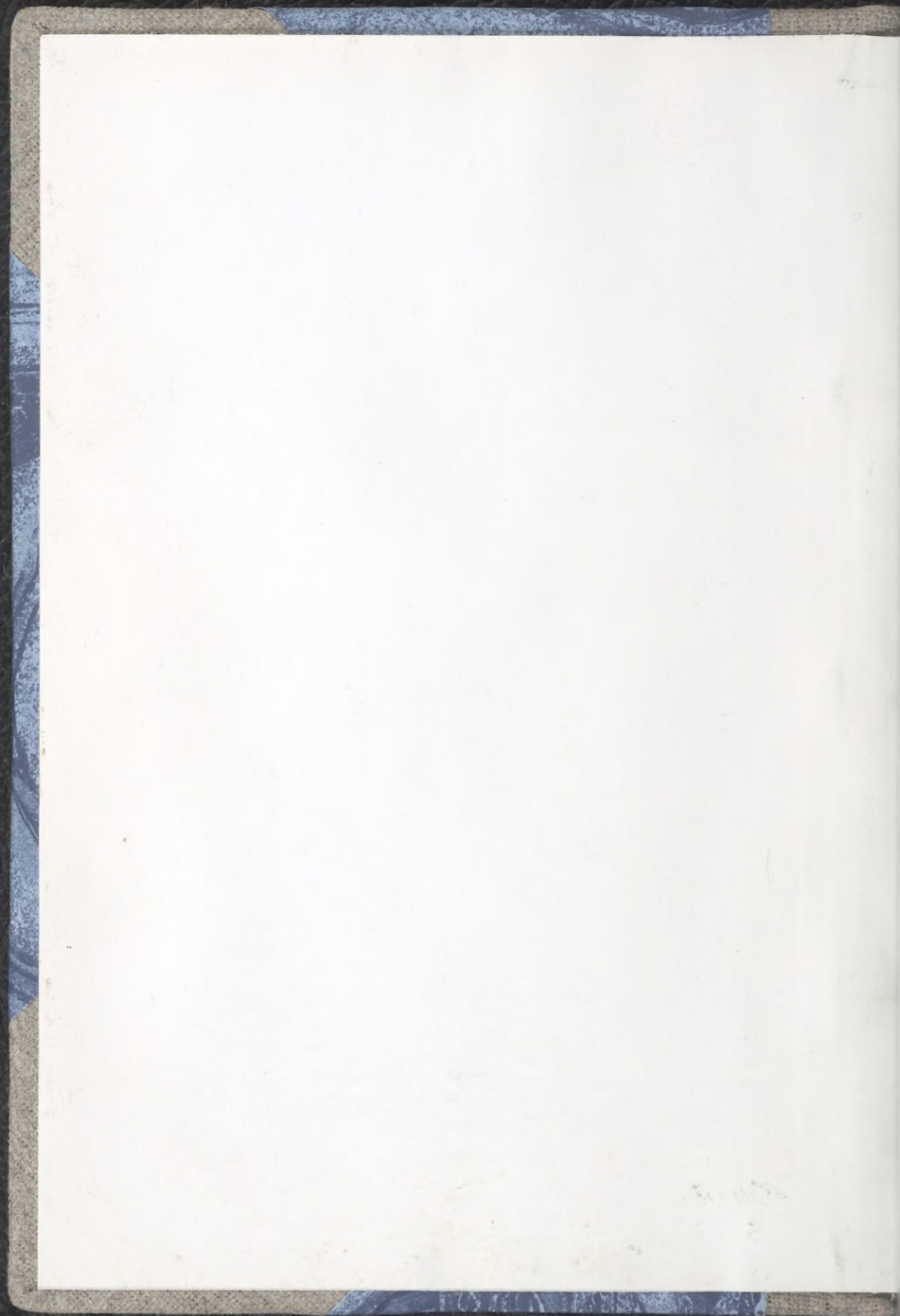


342





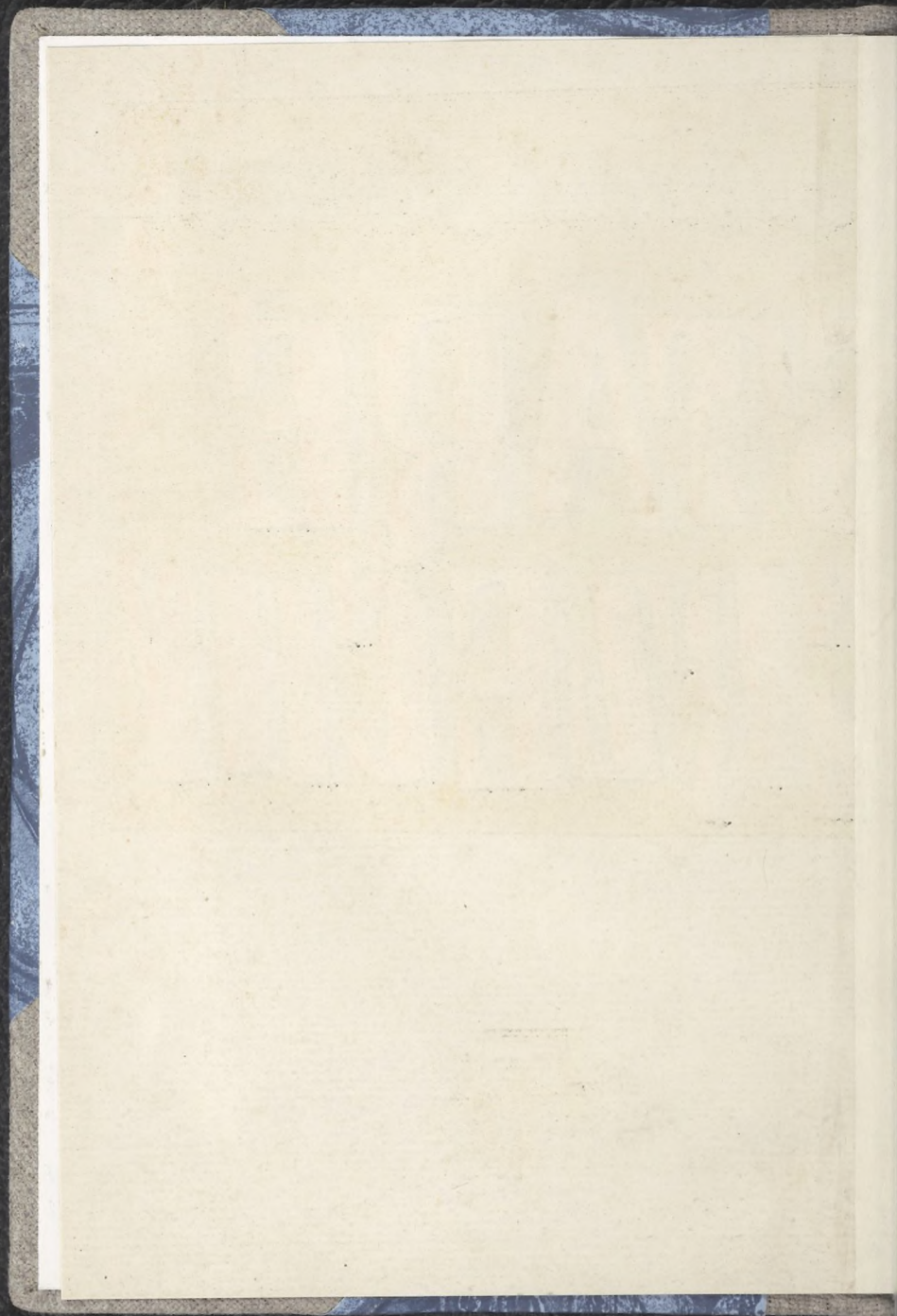




GUSTAWA JARECKA

STARE  
GRZECHY





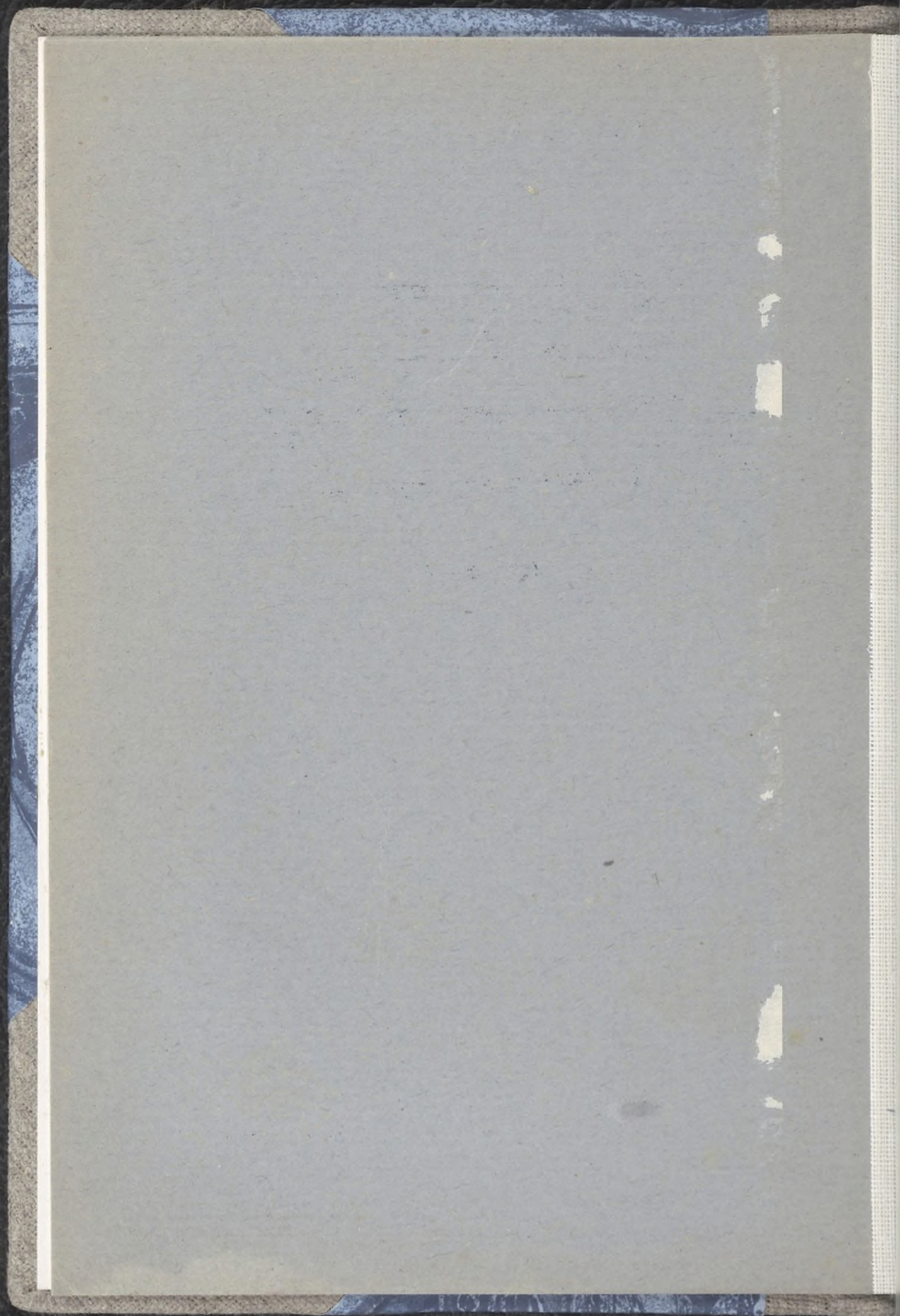
GUSTAWA JARECKA

STARE  
GRZECHY

POWIEŚĆ

WARSZAWA — 1954

NAKLADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA





VK.

n. wyl

13174

STARE GRZECHY

Zugelassen — Leista  
Zerweleno

CZYTELNIA  
Jadwigi Markowskiej  
Wilno, Tatarska 22

*Tejże autorki:*

INNI LUDZIE

POWIEŚĆ

GUSTAWA JARECKA

15174

# STARE GRZECHY

POWIEŚĆ



WARSZAWA — 1934

NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



I 1472.342



*Druk. „Monolit”, Warszawa, Elektoralna 3, tel. 5.81-92.*

1999 H 353 / 52

## CZEŚĆ I.

Trzecia zmiana już weszła. Kiedy ostatnie drgnienia jęklivego głosu syreny rozwiały się, dozorca Kaliński, stukając butami zmierzał ku drewnianej furcie. Można ją było zamknąć. Gdyby przyszedł ktoś nieoczekiwany, lub jeden z kierowników, zadzwoni. Kiedy stanął przy furcie i wyjrzał na ulicę, z poza ogrodzenia wynurzyła się zdyszana kobieta w rozpiętym palcie.

— Dobry wieczór panu Kalińskiemu. Co to, buczało już na szóstą?

Dozorca rozparł się na furcie szeroko, dobrodusznie, aż zatrzeszczała.

— Jakże, gdzie to pani Jeziorowska chodziła? Już po szóstej ćwierć. —

Za połą palta kobiety kręcił się niecierpliwie mały chłopak. W jego kieszeni cichą, dźwięczną melodją brzęczały kamienie.

— Wedle niego — wskazała kobieta — mój stary tak ci się wziął uczyć go. —

Nachyliła się ku Kalińskiemu i opowiadała z widoczną przyjemnością:

— Raz już rozmawiał z tem ze szkoły, ze Stenzlem. To główny nauczyciel w gimnazji, wszystkim rządzi — westchnęła. — Pozawczoraj z krewności naszej przyjechał jeden i też powiada: uczta go. Dzi-

siaj każdy za nauką. A Zygmunt spodobał mu się. Głowę, powiada, ma. No to uradzili go do tej gimnazji dać.

Kaliński zdumiał się. — Jakże, toć szkoły nie skończył?

— No do gimnazji małe też chodzą i lepsza nauka, tylko kosztuje dużo. Więcem dziś u pana Stenzla była.

— Jaki on stary? — przerwał Kaliński, bo mu się już trochę szczegóły przykrzyć zaczęły.

— Osiem w dziewiątym. Duży jest, tylko mizerny. Za ojcem.

— I przyjeni? —

Czerwona twarz kobiety rozjarzyła się radością.

— Piece będzie palił i naukę zadarmo dostanie, mówił pan Stenzel.

— Uczony będziesz — zaśmiał się Kaliński, biorąc chłopaka za ucho i niby od niechcienia dodał. — A ten z krewności to młody taki? Z panną Trudą żem go widział wczoraj.

— On Kongresowiak, zdaleka, z Nieszawy.

W zapadającym mroku wieczoru zabrzmiały piskliwe, doniosłe głosy. Naprzeciwko po niebrukowanej ulicy szło kilka dziewcząt. Jedna z nich szczupła, czarna obejrzała się w stronę młyna.

— Truda, gdzie idziesz? — zawołała Jeziorowska.

Dziewczyna podeszła bliżej i przystanęła. — Do miasta.

— A ociec w domu?

Uśmiechnięty Kaliński wtrącił szybko. — Dobry wieczór pannie Trudzie. Ze mną się nawet nie przy-

wita, co? — wyciągnął szeroką, umąconą rękę. — Harda się zrobiła...

— Dlaczego bym się miała harda zrobić? — Truda ze śmiechem oparła się o ogrodzenie. Lekki wiatr rozwiewał jej ciemne włosy. Oczy i zęby lśniły.

— No, wiadomo, do panny Trudy kawalery już z Kongresówki jeżdżą. Nasze z Pomorza się nie podobają... — śmiał się, aż podrygiwały końce szpakowatych wąsów.

— Właśnie, mnie się te z Kongresówki lepiej podobają — rzekła przekornie Truda — więcej w nich gustuję.

Gruba, czerwona ręka Jeziorowskiej uczyniła przeczący gest.

— Nie gadaj byle czego. A ten z krewności tu przyjechał na robotę. Fachowy jest do maszyny. Tera pomieszczenia szuka.

— No to może żenić się zechce? — nastawał Kaliński.

— Nie mówił ta. —

Truda poruszyła się niecierpliwie. — To ja już pójdę. Dowidzenia — skinęła głową dozorczy. Dziewczęta odeszły już dawno. Truda sama skręciła w najbliższą uliczkę. Zygmunt zawieruszył się gdzieś przed chwilą, a teraz wylazł znowu i pociągnął matkę za paltro. — Mama, podźmy też.

— Leć sam do dom — popchnęła go lekko — ja zara przyńda — i nim przebrzmiało stukanie jego trępów, nachyliła się ku Kalińskiemu.

— Ładna dziewczyna z Trudy, co?

— No, jażem nieraz mówił — uśmiechnął się wstydliwie zakłopotanym uśmiechem.

— Jabym się zara żenił.

Jezirowska zatarła ręce. — Ja ta za statecznym jestem, lepiej mi się spodoba jak młody i ładny.

Kaliński zmieszał się i dla dodania animuszu strzepnął po wąsach. — bez pieniędzy dziś ciężko...

Jezirowska chrząknęła. — Zawsze co dostanie, ze dwa sta i wyprawę.

— Ano, żeby chciała, tobym się żenił. —

Jezirowska nachyliła się. — Dlaczego to pan Kaliński z nią nie gada? — Co?

Ręce rozłożył i westchnął. — Śmiałości nie mam.

Jezirowska głośno na całe gardło zaśmiała się. — To ci chłop. Gadanie takie.

— No, od dziecka znam. Do nieboszczki po placki latała.

— Mój ojciec, jak matka umarła, też se wziął na dwadzieścia jeden lat młodszą. No i co? Dobrze jej było, że nie wiem...

Uszanowanie miała i żeby które z nas co kiedy powiedziało, no... Pan Kaliński przystojny. — Trzydzieści dziewięć mam na czterdziesty. —

— To też...

— Pogadam z nią. — Wyprostował się nagle po wojskowemu i zasalutował:

— Muszę tera zajrzeć — ukazał oświetlone okna młyna. — Dowidzenia.

Ciężka postać Jezirowskiej opuściła miejsce przy furcie i ruszyła naprzód w mrok.



Truda skręciła w boczną niebrukowaną uliczkę. Stały przy niej małe domki, ciągnęły się białe płoty z desek przerywane czasem zielonemi płachtami kartoflisk.

Uliczka przechodziła powoli w szeroką polną drogę, wiodącą do dawnych koszar, a stamtąd zwęzala się i daleko za dworcem, za Bożą Męką ginęła w polach.

Małe domki otaczały ogródki pełne gęstych krzewów bzu. Bzem pachniała w maju cała uliczka, pachniało nim całe miasteczko i na ulicach wszędzie deptało się po białych i liljowych kiściach, które zrywali wszyscy, szukając pięciolistnego szczęścia.

Truda szła szybko, oglądając się niekiedy poza siebie. Była opalona jak cyganka i kiedy uśmiechała się w mroku do swoich myśli, połyskiwały dwa rzędy dużych, białych zębów.

Przy płocie, ogradzającym podwórze oberży Piotra Nadolnego, siedł samotny człowiek. Zrównawszy się z Trudą, przystanął zdziwiony i zdjął szybko czapkę. Zaskoczona, ale pewna siebie przemówiła pierwsza:

— Skąd to pan Jan tutaj się bierze? Dopiero przyjechał, a wszędzie wie, gdzie iść.

Uśmiechnął się.

— Właśnie, że nie wiem. Poszedłem wieczorem na spacer, a tera sam nie wiem, jak do dom iść i płacze się. A panna Truda też na spacer?

— Nie, ja do koleżanki — powiedziała szybko. — Do pierwszy uliczki razem pójdziem. —

Milcząc poszedł za nią. Zmieszana tem, że musiała go się pozbyć, pocierając palce o sukienkę, zaczęła znów rozmowę:

— Jak się panu Janowi u nas spodoba?

— Tak tam. Strony ładne, ino ludzie niebardzo.

— Gorsze?

— A gorsze. Głupsze. Ja w różnych miastach bywałem, u nas inaczej. A już robociarze zupełnie nie takie.

— Robociarze?

— To u nas tak na robotników mówią. Ale tu lepiej po fabrykach płacą.

— Pan Jan się tu ostanie?

— Ostanę. Swoje po ciotce odbiorę. Tyle ta tego co nic. Ale co mnie tam, jak się robota nadarzy. Tyle, że ja niemieckiego ani w ząb. Pod ruskim my tam przecie nie mówimy — przerwał opowiadanie, bo słuchała niedość uważnie, i wskazał dwa wysmukłe, wysokie kominy, czerniejące w górze. Wznosiły się z nich i opadały ciemne, wełniste kłęby dymu.

— Czyje to?

— Brandtowe młyny. Po starym Brandcie. Tera syn siedzi.

— Ja do parowej maszyny, przyuczony jezdem. Żeby to tu się dostać! A młody ten syn?

— Młody — odpowiedziała krótko Truda.

— A z tamtej strony co?

— To tył tego składu, co go w Bahnhofstrasse żydy mają. Towary krótkie i bławaty. Śliczne rzeczy u nich da kupić. — Przystanąła obok zamkniętej bramy narożnego domu.

— Tu niech pan Jan idzie prosto i potem na prawo, kole młynów i dalej wciąż prosto.

— Nie boi się panna Truda sama po nocy? —

— Nie boję się — zawołała wesoło, podając mu rękę. Kiedy uszła kilka kroków, obejrzała się szybko. Nie było nikogo. Wtedy, zbierając spódnice, pędem wróciła do rogu, przy którym rozstała się z Janem.

Dwa ogrody łączyły się tam z sobą płotami, które tworzyły kąt. W cieniu stał ktoś. Truda podeszła prosto ku niemu. W zapadającej ciemności letniego wieczoru zapytał męski głos. — Dlaczego tak późno? —

— Naokoło musiałam iść. Spotkałam krewniaka naszego — zabrzmiała przyciszona odpowiedź.

Nad płotem zwisała gałąź, gęsto osypana bzem. Silne, opalone dłonie Trudy nagięły ją i złamały.

— Chcesz szczęścia poszukać?

— Tak.

Około północy Kaliński zdrzemnął się w drewnianej budce wartowniczej. Cztery piętra w młynie, sprzątanie biura, zmęczył się.

Nigdy nie można było pozbyć się zupełnie resztek senności nocą. Naprzeciwno w ogrodzie Mistrzaka pachniały bzy. Głowa chwiała mu się, opadała na pierś. Zasnął.

Około północy gwałtowny dźwięk przedarł się przez mroki jego snu.

Ktoś dzwonił u drewnianej furty. Nawpół przytomny, kierując się raczej instynktem otwierał. Był tak zaspany, że nie znajdował dziurki od klucza.

— Dlaczego tak długo? — zapytano gniewnie z za furty. Drzwi otwierały się już. Wiktor Brandt, młody właściciel młyna, czekał niecierpliwie.

— Nie zamykajcie — powiedział krótko — przyszedłem obejrzeć.

Kaliński, kłaniając się, przytrzymał drzwi.

— Zaspałem — mrucał zły na siebie. Wychylił rozgrzaną głowę za furtkę. Bzy pachniały, aż zawracało się w głowie. W ciemności po przeciwnej stronie ulicy ktoś biegł szybko.

— Truda, czy mi się widzi? — pomyślał wytrzeźwiony już zupełnie. — Takby się spóźniła?

Białą cień znikł w oddali.

Po dziesięciu minutach na kamiennych płytach podwórza rozległy się równe kroki.

Kaliński trwał sztywno przy furcie.

— Za godzinę macie znowu obejrzeć wszystko i obejść naokoło — powiedział młody pan Brandt.

— Tak, panie. — Kaliński pospiesznie otworzył naoścież furtę i po chwili zamknął ją za dyrektorem.

Zamyślony i zły na siebie, wpatrywał się w ciemne czworoboki budynków, oświetlone jasnymi prostokątami okien. Widział ciemniejący na białym tle napis:

„Julius Brandt, Nachfolger“. Raczej domyślał się, niż widział, bo spłókały go oddawna deszcze. Stał tu przecież już od piątego roku, od całych pięciu lat.

Na prawo o dziesięć minut drogi od młyna była czerwona willa ze spiczastą wieżyczką. W małym ogródku, tak jak we wszystkich innych w Staszewie, kwitły bujnie białe i liljowe bzy.

Krzewy były niemi obsypane tak gęsto, że niezrywane kwiecie opadało, pokrywając ścieżki miękką, wonną bielą. Młody dyrektor poszedł przez drogę ku drzwiom wejściowym.

W ciemności świeciła złotem tabliczka z nazwiskiem: Brandt.

Słodka, silna woń bzu nużyła go. — Wszędzie bez — myślał — aż mdli.

Cicho i szybko wbiegł na górę po schodach, krytych czerwonym dywanem. Nie lubił spotykać nikogo, gdy był w złym humorze, ale już przez szparę uchylonych drzwi dojrzał w pokoju światło i przystanął z niechęcią. Przez chwilę ludził się, że nie zastanie nikogo, a światło zostawiono przez zapomnienie. Ale mylił się. Jego skryte przewidywania były prawdziwe. Z nad stołu podniosła się ku niemu zmarszczona twarz o krótkowzrocznych oczach. Ciemna suknia kryła szczupłą postać staruszki.

— Dobry wieczór mamo, dlaczego jeszcze nie śpisz? — spytał z wyrzutem.

— Nie mogłam, czytałam gazetę. Taki ładny wieczór, zapach bzu aż tutaj dochodzi — powiedział łagodny, starczy głos.

Wiktor zachnął się gniewnie. — Już prawie pierwsza, to zapóźno dla ciebie mamo.

Pod lekko zaczerwienionymi powiekami szare, wyblakłe oczy w twarzy, pokrytej cienkim rysunkiem zmarszczek, patrzyły na niego uważnie.

— Był list od stryja Ludwika.

— I co pisze? — zapytał niedbale.

— Subtelna sprawa. Wiesz o kim wspomina? O Ani Jerzmanowskich, pamiętasz ją pewnie?

Wiktor podniósł oczy. — Co się z nią dzieje? To ładna panna, wychodzi zamąż? —

— Oni chcieliby, żebyś ty się nią zainteresował. Jest jeszcze bardzo młoda. —

Wiktor poruszył się żywo na krześle. Staruszka nachyliła się. Żółtawe palce z wielkimi tęczowemi brylantami trzymały brzeg haftowanego obrusa i drżały.

— Nie przyszłoby mi na myśl zajmować się tem, ale jesteś na takim pustkowiu, tak bardzo brak ci towarzystwa i ostatecznie... masz 28 lat.

Gdzieś w bok nieuważnie patrząc rzekł Wiktor ochryłym głosem: — Oni pewnie życzyliby sobie dla Ani czegoś niezwykłego. Bogaci, dobra rodzina i ona jest ładna. —

Wąskie, blade usta matki uśmiechnęły się pogardliwie:

— Nie doceniasz siebie. Dziś niema królewiczów.

Wiktor milcząc zapalił papierosa i wpatrywał się w pokrytą napisami papierośnicę. Głos matki, bardziej drżący niż przed chwilą dodał:

— Kiedy nie masz tu nikogo i tak rzadko możesz wyjeżdżać to stwarza wiele, wiele przykrości. —

Wiktorem zawładnęło nagle gorące pragnienie znalezienia się w swoim pokoju.

— To nic nagłego. Pomówimy jeszcze, mamó. —

Miał u siebie mały kąt, w którym rozmyślało się zawsze w cichem skupieniu, kiedy zbliżała się jakaś decyzja. Wisiały tam stare studenckie pamiętki bez-

troskich czasów, wyblakły dekel i dwukolorowa przepaska.

Tam Wiktor Brandt poczuł nanowo z niezwykłą siłą, że jest stworzony do spokojnego, domowego życia i nie znosi wszystkiego, co odbiega od normy.

Ale kiedy uświadomił sobie, że to życie jest łatwo osiągalne, że może je mieć nawet wkrótce, pokój stał mu się za ciasny, zrobiło się duszno.

Zaledwie pchnął ramę okna, wtargnęła przez nie natychmiast woń z rozkwitłego krzaka pod oknem.

— Znowu bez — jęknął zniecierpliwiony i przytrzymując okno zamyślił się.

„To“ musiało się stać. Nie było rady. Ale jak?

Ruszył w długą, monotonną wędrówkę po pokoju. Rytm własnych kroków drażnił go i drażniła do późnej nocy uparta, odurzająca woń bzu, która nie chciała się ulotnić przez uchylone na korytarz drzwi. Ale decyzja została powzięta.

Kiedy opadły białe i liljowe bzy, zakwitł jaśmin. Do mieszkania Jeziorowskich Zygmunt z dzieciakami naznosił go tyle, że we wszystkich dzbanach i garnkach stały gałęzie osypane białym kwieciem.

Starego Jeziora od ich mocnego, korzennego zapachu rozboleła głowa, kiedy po fajrancie wrócił do domu.

Baba jego do sklepiku po cukier poszła i widać jakąś kumochę spotkała, bo nie śniło jej się wracać. Nudno było w domu. Truda szyła, a chłopak gdzieś latał.

Stary Jezior dźwignął artretyczne stopy i wy-

szedł. Po kilku krokach zaraz mu się krewniak, Jan Stępień nawinał. Zobaczył go jak u Makowskiego cygarety kupował. Przywitali się i poszli razem.

— No jak ta idzie? — spytał Jezior, bo krewniak niedawno robotę w fabryce dostał.

— Ano idzie, jużem odwykł od gorączki, trzy miesiące nie robiłem. —

Rozpytywał się Jezior, jak mu się żyło i zachwalał wszystko pomorskie. Już on nie umiałby żyć gdzieindziej. Jan niedość kontent mu się wydawał. Nawet z tego się nie cieszył, że dziś u nich kocioł reperowali i wcześniej przez to wyszedł. Dogadywał mu tedy i tłumaczył, jak dobrze ma.

— Ty fachowy, ze sto dwadzieścia pewno masz na miesiąc i jeszcze se stękać lubisz. Młody jesteś i wiadomo... — cienko się zaśmiał, mrużąc oczy w zaczerwienionych powiekach — w waszych stronach ludzi bałamuca, że nie trzeba robić na pieniądze... Już ty nie mów, dobrze wiem i człowieka poznam. Nima tak. Mnie się pytaj. Mniej biorę jak ty, a dwadzieścia lat robię. Bo niefachowy jestem i furmanic każdy, powiadają może. A niekażdy właśnie... Tylko ty, jak słuchać chcesz, głupstw nie gadaj. Nie lubią tu tego. A jak se cicho żyć będziesz, każdy cię przyjmie, bo z naszej familji jesteś. Ja tu przecie od dziecka. Każdy mnie zna. —

Czapkę uniósł i łysinę odsłonił, kłaniając się komuś i szedł koło Stępień z tego przynajmniej dumny, że każdy dzieciak w Staszewie wiedział kto to na rolwadze zawsze stoi i Brandtowskiemi końmi powozi.



Jan Stępień nachmurzył się, słuchając i już odpowiedzieć miał, kiedy usłyszeli, że ich ktoś dysząc dopędza i woła za nimi:

— Ech, wy, Jezior, Wiertel zmarł.

Stary nienazbyt głośno zdziwił się. — Chtóren? Franciszek?

— Tak, dwóch godzin nima.

— Ano. Ze sześćdziesiąt miał, co?

Niski, krępy człowiek, który ich dopędził, wycierał czerwoną twarz i bez tchu wyliczał kogo jeszcze powiadomić trzeba, żeby cały Verein w porę się dowiedział: Jezior z nim się iść zdecydował, tylko mu jeszcze Jana zaprezentował.

— A to z naszej krewności. Tera tu we fabryce Zandera robi. Przy maszynie.

— Zara widać, że nietutejszy — rzekł ten z czerwoną twarzą, przyglądając się Stępieniowi.

Ale Jan nie miał chęci iść z nimi. Coś mu na myśl przyszło.

— U was ostanę i poczekam — zaproponował starem.

— A idź, idź, ja zara przyńda — zgodził się Jezior żywo. Spieszno mu było pogadać o starym Wiertel i pogrzebie.

Stępień nawrócił do mieszkania Jeziorowskich. Zciemniło się już i w ciemnej sionce huknęła głowa o sufit, nim znalazł drzwi.

Truda wciąż jeszcze siedziała sama. Ręce złożyła przy oknie w ciemności i gdzieś patrzyła na domy, czy ulicę, ale zobaczywszy Jana zagadała do niego natychmiast:



— Co to pana Jana u nas wcale nie widać?  
Ręce pocierał i śmiał się wesoło, spoglądając na nią przez mrok.

— Pracę mam, próżniactwo się skończyło. Ino dziś wcześniej fajrant. —

Truda podjęła znowu. — A w kościele czemu to pan nie był? —

— Nienabożny jestem, nie chodzę. —

— Jakże, nigdy?

— Żebym wierzył tobym szedł, ale nie wierzę tam...

— To dopiero — spojrzała na niego zdumiona — bezbożnik...

— U nas w mieście mniej ludzi w religję wierzy, tu tylko takie nabożne.

— U was to paskudnie, brudno, miastka nieładne, widziałam jakżeśmy raz za przepustką byli w Dobrzyńniu, z wujem byłam.

— Nie znam tego, ale w dużych miastach życie insze, ludzie też, choć tu każdy pisać potrafi, a u nas nie, to przecie tam niektórzy inszą oświatę mają i rozum. —

— Ja jestem nabożna — rzekła żywo Truda — bez wiary ciężko żyć, a jak się boską opiekę czuje to lżej, niech ta mówią co chcą. —

Jan machnął ręką — Kobity 'zawsze lubią pacierze gadać i w kościele siedzieć. — Nie wiedział wcale, że innym razem dostałoby mu się dobrze, bo Truda nie przepuszczała łatwo obraźliwych aluzji, ale dziś jakoś wyjątkowo łagodna, nie odrzekła mu nic. Milczenie nie potrwało zresztą długo, w sionce przyczła-

pały żywo ku drzwiom kroki i stara Jeziorowska ze swoim funtem cukru weszła do pokoju. Czerwona, zasapana, pełna nowin, rozradowała się na widok Jana. — Dobry wieczór, pan Jan, to ci gość. — Przyjrzała się bacznie jemu i córce. — A ociec gdzie?

— Poszedł — odrzekł Jan — razem chodziliśmy przedtem, ale ktoś ta umarł...

— Jakże — przerwała Jeziorowska, składając ręce — to wy tu wiecie? Toć Wiertel umarł, dwie godzin będzie temu. Właśnie ja w sklepie stoję, a tu Nastowa wchodzi, wiecie, powiada, Wiertel umarł. O mój Jezu, mówię, toć niestary jeszcze, a ona pada, no tak, umarł. Tożem ledwie cukier kupaała, aż mnie ścisnęło. — Rozsiadła się na krześle szeroko i obcierała pot z czoła, ale nie pozwalając innym mówić, ciągnęła dalej:

— A pan Jan jak się miewa? Już tu nawet nie zajrzy?

— Truda, Truda — zawołały z ulicy cienkie głosy — Truda, chodź ino!

— Późni przyńda — odrzekła niechętnie i nie wstawając skubała liście jaśminu z białego pękniętego dzbanka na oknie.

— Ale chodź! — zawołano natarczywiej i w oknie za firankami, z za doniczek z kwitnącą czerwono-pelargonją ukazała się głowa dziewczęca z drobno zakarbowanymi włosami. — Zara przyńda — powiedziała Truda do matki i do gościa wstając.

Na progu w mroku stały koleżanki i rozmawiały żywo. Nim Truda wyszła na dwór, chuda, czarna Maryśka Konklówna szepnęła Geni Zalewszczance: —

Zobaczno ją, przyjrzyj się. — W tej samej chwili Truda ukazała się w drzwiach sieni. Różowa suknia świeciła jasną plamą. Trzymała w ręku mokrą gałąź jaśminu.

— No, czego? — spytała niedość uprzejmie.

— Chodź już, co cię tak trzeba prosić? — Maryśka wstrząsnęła nastroszonymi puszysto włosami. — Co to się tak w jaśmin ustroiłaś?

— Na jarmark we środę idziesz? — przerwała Genia.

— A wy? — My, tak. Do południa, bo to najlepiej, później zwijają. —

— W czym idziesz? — spytała Maryśka Trudę. — Ja w ty mojej modrej — wyrwała się żywo Genia. — Już ja po was wstąpię — zdecydowała Truda i zamierzała cofnąć się, ale Maryśka wspięła się na palce i zajrzała przez okno:

— Kto ta u was siedzi? —

— A to ten z krewności, co przyjechał z Nieszawy, Stępień. —

— Konkurent? — zapytała Genia, chichocząc. — Ale zaś — Truda zaczerwieniła się.

Nagle Maryśka wstrząsnęła puszystymi, żelazkiem w drobne karby ułożonymi loczkami i niespodzianie chwyciła Trudę wpół, aż gałąź wypadła jej z ręki. Na progu rozsypały się jedwabiste białe płatki i cienkie, pełne żółtego pyłu słupki kwiatów. — Cóżże ty tak zgrubła Truda?

— Dziewczyna wyrwała jej się gwałtownie, zaczerwieniła się i najeżyła do kłótni. — Co to za żarty głupie takie...

— Nie gniewaj się zara, toć jeno na śmiech mówię. To pójdziem we środe, co? —

Truda mruczała coś uspokojona i wróciła do sieni.

Kiedy odeszły, nadszedł stary Jezior z nowinkami o śmierci starego Wiertela. Truda wyjęła z dzbanka nową gałązkę jaśminu i machinalnie gniotła miękkie, wonne płatki.

Pogrzeb Wiertela nie udał się wcale. Raz, że padał deszcz, a po drugie przez jarmark. Wszystkie baby orzekły nazajutrz zgodnie, że nieładny miał pogrzeb, nieudany wcale, i że na lepszy zasłużył. Zapomniano o nim prędko, całkiem inaczej jak o innych pogrzebach w miasteczku.

Wiertel za życia zawsze przychodził nie w porę, spóźniał się, albo zjawiał się zawczasie. Miał rupaturę, która przeszkadzała mu przy chodzeniu, stąd wszystko. Lekceważył ją zawsze i leczył po swojemu spirytusem mrówczanym z butelki wetkniętej w mrowisko na św. Jana, ale zemściła się.

Mówili teraz lekarze, że nie serce wcale położyło kres jego życiu, ale właśnie przepuklina. Dźwignął worek węgla, ugiął się pod nim, dowlókł się jeszcze do swojej sieni i tam na płaskich kamieniach, gdzie od trzydziestu paru lat codzień klapały jego „klumpy“, położył się, żeby sobie wypocząć.

U prostych ludzi proste jest życie i prosta śmierć.

Z pogrzebem też wybrał się nie w porę. W sam dzień jarmarku, kiedy nikt nie czuje potrzeby się smucić. Dlatego przeszedł niespostrzeżenie, inaczej niż zwykle pogrzeby w małym miasteczku. Połowa



delegacji nie przysła, część się spóźniła. Pochowano go prędko, przemowy były krótkie i nawet bliska rodzina poszła potem pogapić się na jarmark.

Viehhändlerzy z Schönsee, Rozengart i Zielen przyjechali ze swemi końmi, krowami i cielętami ogorzali, czerwoni, tędzy z pijackimi nosami, bo wypitka należała do ich zawodu. Nie sprzedawało się bez obłania.

Tylko z bliskich wiosek sprowadzano bydło na postronkach. Ale ci, którzy je prowadzili byli to przeważnie polscy chłopci, mocno z niemiecka wtrącający, ale pamiętni uparcie, że Schönsee to Kowalewo, a Zielen zwykła, okradziona z przecinka Zielen.

Największą frajdę z jarmarku mieli rzeźnicy i szewce, piekarze i krawcy, bo tego dnia dorosłe i dzieci przyodziewali się w buty, kupowali pałta i „jaki“, targowali się godzinami i wreszcie dobijali handlu przy sznapsie, potem opowiadali o swych zakupach, stojąc koło rzeźnickich stołów i jedząc chleb z leberką, wdychali chciwie ulatujący z garnków na żelaznych piecykach zapach gotowanej knobloszki. Sam Bürgermeister i Kreisarzt przechodzili rynkiem i oglądali jarmark. Na Bahnhofstrasse wysadzanej akacjami tłok był nieopisany. Kiedy stawał się zbyt wielki, albo ktoś się pobił przy targu, znalazł się zawsze ktoś drugi, kto twierdził, że „die Polen sind wild“.

Od świtu ożywiło się targowisko, napełniło straganami i wozami, chłopami w wiejskich sukmanach i kupcami, Niemcami.

Stara Jeziorowska została przez szewca uproszo-

na do pomocy, bo do sprzedawania na jarmarku nie wystarczał jeden. Drugich dwóch trzeba było do pilnowania przed złodziejami. Jeziorówka do takiej roboty pierwsza, zara od rana poleciała.

Na małą godzinkę tylko potem na pogrzeb Wier-tela skoczyła i nie otarłszy jeszcze łez, na poczekaniu wiejskiej dziewczusze wysokie sznurowane buciki na płaskim obcasie 40 nr. sprzedała. Nieoceniona była z niej dla szewca Kowalskiego pomocnika. Kiedy na małe pół godziny z Miętkową kobietą wstawki kupować poszła, zaraz szewcowej parę butów skradli.

Było to tak. Chłop z babą je targowali. Damskie chromowe. Dawali osiem marek i dziewięć. Miały kosztować czternaście. Szewcowa opuściła pół marki, potem całą, aż zmiarkowała, że to tacy, coby darmo kupić chcieli. — Dawajcie buty — powiada — jak nie chceta kupić. Kobieta tamta już buty w torbę kładzie. A szewcowa już zła — nie mata zamiaru to ostawcie. — Mamy zamiar — mówi kobita. — No to płaćta. — A tu chłop jak ci jej nie odepchnie, aż zatoczyła się wtył.

Nim krzyk podniosła, już się w tłum wmieszali. Szewcowa się popłakała, ale swoich butów już nie zobaczyła. Ze złości na Jeziorowską zaczęła wygadywać. Parę rannych pantofli za pomoc przyrzekła, a ona na przechadzkę się wybiera.

Ale, kiedy zdaleka zaświeciła czerwona twarz Jeziorówki przycichła i przyjęła ją jak zbawicielkę.

Dopiero Jeziorowska lamentować zaczęła i wyrzekać jakby jej własne skradli, że czasy takie nastaly, ludzie żadnego sumienia nie mają. Sama się ofiaro-

wała zostać i nawet na obiad nie iść. Już Truda sobie sama da radę. Krzyknęła jej to zdaleka, kiedy w południe z innymi dziewczuchami pokazała się na jarmarku i Truda zgodziła się zaraz.

Dosyć już miała oglądania kolorów i materji najróżniejszych, korali i kapeluszy z kwiatami, namawiała wciąż Maryskę i Genię, żeby wracać. Przepychały się tedy przez tłok dziewczęta niechętnie, wciąż się jeszcze oglądając, ale wreszcie na samym brzegu już, gdzie stali blacharze musiały stanąć, bo tłok stał się nie do przebycia.

Od świńskiego targu nadeszli gospodarze ze złapanym złodziejem. Schutzmanów pełno, a od ludzi aż czarno.

Złapali go jak portfel gospodarzowi ukradkiem wyciągnął. Zanim się Schutzman zjawił, sami się z nim trochę porachowali, taka w nich była zawziętość na złodziejstwo po jarmarkach. Odrazu pierwszy poszkodowany w mordę go trzasnął, a za nim inni przypomnieli sobie krzywdy od złodziei doznane, aż mu krew z gęby poszła.

Zagrodzili całą ulicę, a krzyki były takie, że gwar jarmarku milkł przy nich.

Postały chwilę, ale Maryska niecierpliwa, żeby zanieść prezenty do domu, kolorowe koguciki z pierza i złote broszki, gęsto kamieniami wysadzone, wepchnęła się w sam środek tłumu. One poszły za nią. Wtedy zobaczyły złodzieja.

Był to starszy, trzydziestokilkoletni mężczyzna z chudą twarzą i zrozpaczonemi oczyma. Ubranie miał poszarpane i zakurzone, z kąta ust wypływała cienka



strużka krwi, twarz mu nabrzękała siniakami, wielka i niekształtna, chwilami wypluwał krew. Wtedy Truda tak zazwyczaj niestrachliwa i dziarska, miękkość jakąś poczuła niezwykłą na widok gęstej ciecicy. Jak-gdyby sama poczuła w ustach jej ciepły, mdły smak.

Dziewczyny stanęły. — Co ci tam? — spytała Genia, a Maryśka wstrząsnąwszy z obrzydzeniem rzekła: — To ci dostał za swoje... — chciała jeszcze co dowcipnego dorzucić, ale spojrzawszy na Trudę zmiłkła nagle. Milcząc powlokły się przez tłok do domu. Nazajutrz wiedziały marysine koleżanki, że „Jezioroszczanka wejrzała wczoraj jak koszula śmiertelna, że jak Staniszewskich Janka w trumnie leżała to taka biała nie była jak Truda na jarmarku...”

Okolo południa znikły ślady po jarmarku. Wczorajszych pijaków wypuszczono z aresztu, uprzątnięto kramy i stragany, obejrzano nawzajem wszystkie swoje zakupy. Truda na całe jarmarczne kupiła sobie dużą kraciastą chustkę, jakiej już żadna dziewczyna w miasteczku nie nosiła od lat.

W ciszy skwarne go popołudnia stukwały w biurze dwa Remingtony. Uderzały dzwięcznie, prawie jedno-stajnie i dzwoniły cienko, przeciągle. Wtedy świergotliwe: stuk, stuk jednego, przerywało donośne dzzziń drugiego.

Za zamkniętych drzwi wpływał ten dźwięk ści-szony do gabinetu dyrektorskiego. Za otwartem oknem szumiął młyn miarowo.

Długi szereg wozów czekał na ładunek, worki spadały z miękkim chrzęstem mąki.

Podwórze zasiały gromady wróbli. Przed śpichrzem były ich całe chmary. Były to jedyne istoty, których nie powstrzymywał napis: „Obcym wstęp wzbroniony“.

Drzewa za sąsiednim płotem obsypane były czerwonymi kulkami olbrzymich, soczystych czereśni. Wiktorowi Brandt przywiodły na myśl, że kończy się czerwiec. Westchnął na tę myśl, bo musiał tu siedzieć sam, w słoneczny, beztroski dzień i miał kłopoty.

Niektóre drobne i jeden wielki, najważniejszy. Otworzono drzwi. Stenotypistka, panna Jadzia położyła na stole popołudniową pocztę.

Otwarcie drzwi, podsuniecie zapisanych arkuszy, bezszelestne wyjście panny Jadzi, wszystkie ruchy były zmechanizowane i szybkie jak u automatu, ale Brandt nie mógł ich znieść. Odetchnął, kiedy zamknęły się drzwi.

Remingtony stukwały donośnie i cienko „W odpowiedzi na pismo Panów z dnia...“ Na podwórzu dudniły ciężkie rolwagi, rozwoziły na całą okolicę, ładowały do wagonów znaną mąkę Brandtów „Prima“ sypką i białą jak śnieg.

Ciszę zmaćił turkot kół. Przez otwartą bramę wjechał lekko, szybko świeżo lakierowany, wyścielany granatowo powóz Brandtów. Ten widok podrzucił młodego dyrektora jak piłkę. Zerwał się z fotelu, zatarł nerwowo ręce i usiadł znów w oczekiwaniu.

Ale przez chwilę jeszcze trwał spokój. Potem dopiero w sennem, gorącym powietrzu donośnie trzasnęła bat. Przez okno dojrzał młody Brandt, że stangret wywijał nim ozdobnie. Wiktor zrozumiał natych-

miast: Stryj czeka na otworenie drzwi. Ale już właśnie nadbiegał do powozu Kaliński umęczony, i pełen gorliwości przytrzymał drzwiczki, na których został biały ślad jego palców.

Stryj Ludwik wyskoczył szybko. Mimo sześćdziesiątki trzymał się prosto i szedł żwawo. W przyległym pokoju w cieniutkie świergotanie Remingtonów wpadł jego głęboki głos i z przesadną galanterją wymawiane słowa: Moje uszanowanie paniom. Czy dyrektor tam jest?

Kilka rozweselonych nagłą przerwą głosów zawołało jednocześnie: Owszem, tak... Wiktor zdążył jeszcze podejść ku drzwiom. Stryj zawołał wesoło. — Jak się masz? — ale Wiktor nie odpowiedział i ściskali się, wstrząsali dłońmi dłużej niż zwykle.

— Jak się stryj czuje po podróży — zapytał wreszcie Wiktor.

— Doskonale, doskonale, dziękuję. Już odwiedziłem twoją matkę.

— Ach, tak! — dyrektor Brandt strzepnął gwałtownie palcami. — I jakże?

— Znajduję ją zupełnie dobrze — odrzekł szybko stryj Ludwik, marszcząc przebiegle małe, niebieskie oczy. Nastąpiło milczenie. W sąsiednim pokoju zadzwonił głośno Remington. Stryj nie znosił milczenia i przerwał je pierwszy. — A jak interesy? — No, ostatnio nieszczególnie, nieszczególnie. Słaby zbyt. — Stryj błysnął srebrną papierośnicą. — Zapalisz? — Błękitny płomyk zapalniczki zalsnił. Stryj rozparł się szeroko, zajrzał Wiktorowi w oczy i nagle roześmiał

się i poklepał go po kolanie. — No, więc chcesz się zenić słyszę? —

— Projekty mamy...

— Ale ty nie masz nic przeciwko nim?

Wiktor Brandt obracał szybko w palcach wyostrzony ołówek. — Właściwie nie. Przecież codzienne życie jest wprost nieznośne w tej dziurze. Dziadek ją niezbyt fortunnie obrał na rezydencję rodu, a po śmierci ojca tak się przecież złożyło...

— Bądź zadowolony, że tak się złożyło — rzekł żywo stryj Ludwik. — Przedsiębiorstwo wspaniałe, poprostu tip, top. —

— O, teraz jest ciężko, wcale nieszczególnie. —

— Mówisz nieszczególnie, to znaczy, że w tym roku nie będzie można do Biarritz, tylko do Baden. To jeszcze nienajgorzej. U nas mój drogi są zupełnie inne warunki pracy, trudności ze strony, której wcale nie znacie. Robotnicy, rozumiesz? Dość dobrze pamiętam piąty rok. Powtarzam ci, możesz być zadowolony. A wracając do naszej sprawy, do Ani Jerzmanowskiej, to owszem, owszem, jestem za tem. Rodzina prawdziwie elegancka, dobrze sytuowana, tu wcale nie wypada pytać, ile? Powiedziałem to twojej matce, ona jest w tych sprawach zbyt skrupulatna. —

Wiktor nerwowo zatarł ręce. — Nie, doprawdy...

— No, no nic takiego — rzekł stryj Ludwik, nie tracąc równowagi. — Wiesz co mówią w Warszawie, dwadzieścia tysięcy. Dwadzieścia tysięcy — powtórzył z zachwytem — w połączeniu z takimi młynami, co? —

— Pamiętam Anię — przerwał Wiktor, ale stryj zebrał znów głos arbitralnie.

— To ładna dziewczyna, miła. Maluje na jedwabiu, śpiewa. Ich dzieci są bardzo udane, to jest dziewczęta, brat, no cóż ostatecznie to nie ich wina, a u nas w Królestwie, niestety, wiele jest domów z takimi smutnymi historjami. — Cóż takiego? — zaniepokoił się Wiktor. — No, możesz się domyśleć, polityczne awantury, trochę więzienia, ale rodzina oficjalnie zerwała z nim. Niema go w domu. To, że młodzież jest w nieodpowiednim duchu chowana, to nie ich prywatne nieszczęście, ale klęska społeczna, takie jest moje zdanie. Więc jednym słowem — stryj Ludwik pochylił się w fotelu ku bratankowi. — Ania podoba mi się, podoba się nam wszystkim. Oni też nie będą od tego. Zeń się i proś na wesele. —

— Tak prędko chyba jeszcze nie, nic bliższego nie mówiło się o tem, tylko ot tak ogólnikowo. —

Stryj Ludwik zaśmiał się dobrodusznie. — Nie znasz własnej matki, mój drogi, oczywiście żadnych postanowień bez twojej wiedzy, ale to dyplomarka.

Przybliżywszy się do ucha synowca rzekł tajemniczo: Badała grunt... — i po chwili dodał — tylko, że jest podobno jeszcze coś do załatwienia? —

Wiktor wstał szybko, ręką machinalnie rozrzucił papiery na biurku. — Tak — powiedział sucho i usiadł znów.

— Młodość, młodość, niema się czem przejmować. Jaka to dziewczyna? —

— To niema przecież nic do rzeczy — młodemu dyrektorowi twarz pokrywała się barwą cynobru —

tylko załatwić jaknajlepiej — rzekł krótko, prawie niegrzecznie.

— Tratatą, przecież muszę wiedzieć czego się trzymać. Powiedz właściwie dlaczego narobiłeś sobie tyle kłopotu?

Wiktor Brandt milcząc wzruszył ramionami. — Tu — rzekł po chwili — to się zdarza częściej, że dziewczęta same, że... — szukał wyrazu.

— Co? — przerwał stryj.

— Wychowują dzieci — dokończył Wiktor z wysiłkiem.

Ale stryj postanowił już przystąpić do sprawy rzeczowo. — Jest podobno jakiś adorator, ktoś, kto chciałby się żenić?

Ręce młodego Brandta nerwowo dotykały i przedstawiały przedmioty na biurku.

— Kto to jest? — spytał stryj, wyciągając nogi i przyglądając się swoim stopom, które tkwiły w wspaniale oczyszczonem obuwiu.

— Nnnasz... dozorca.

— Hm, swój, to lepiej. A ona już wie?

— Myślę, że... tak. — Młody dyrektor miał pot na czole. Rozmowa była już zbyt uciążliwa.

— Więc dobrze, bądź spokojny, załatwi się.

Telefon zadzwieczał ostro i Wiktor z ulgą, zbyt szybko poskoczył ku czarnej puszcze. — Tak, w tej chwili będę do usług — odpowiedział komuś. Stryj Ludwik wstał tymczasem i zmierzał ku wyjściu, odwrócił się tylko na chwilę, żeby szepnąć synowcowi. — Nie przeszkadzaj sobie, zobaczymy się przy kolacji. — Ale Wiktor szarpnął się i rzucił słuchawkę — stryju...

— Słucham. — Proszę cię stryju, chciałbym...

— Co takiego? —

— Proszę cię... delikatnie... —

Stryj uspakajająco kiwnął ręką. — Zrobi się — i zniknął za drzwiami.

Dyrektor Brandt zrezygnowanym gestem podjął nanowo słuchawkę. Kiedy przekonywał przedstawiciela banku o konieczności pokrycia czeków, przed gankiem, trzasnął stangret ozdobnie z bata i granatowy rozłożysty cień przemknął miękko i cicho pod oknem.

— Żeby tylko załatwił delikatnie — przemknęło rozpaczliwie przez myśl dyrektora i stracił na ułamek minuty wątek myśli. Przedstawiciel banku stał się natychmiast nieufny i zupełnie nieustępliwy na dziś w udzieleniu kredytu.

Dyrektor Brandt usiadł zgnębiony w fotelu, oparłszy łokcie na biurku, którego nieład świadczył jeszcze o poprzedniej rozmowie. — Stare pokolenie — myślał. — Oni załatwiali takie rzeczy inaczej, przechodzili nad tem łatwiej do porządku, czuli się zupełnie niedosiężni na swoich wyżynach... i mimo całej swej męki serdecznej czuł nieświadomą dumę z tego, że należy do nowego, subtelniejszego rodzaju ludzi... Myśl, oderwawszy się na chwilę od własnej udręki, zbłądziła w dalekich wyobrażeniach, jak znów odmieścić się może młode pokolenie, choćby to narodzone z Wiktora Brandt i Ani Jerzmanowskiej.

Kiedy drzwi gabinetu otwierały się i dyrektor wychodził swym szybkim, dużym krokiem, pierwszy

pokój wydawał jednogłośnie westchnienie ulgi i cztery pary ramion wyprężyły się. — Jak gorąco...

Jeden po drugim dudniły coraz ciszej Remingtony, aż ustawały zupełnie.

— Coś się święci — powiedziała panna Jadzia, która najczęściej widywała wewnątrz gabinetu dyrektorskiego, bo prowadziła korespondencję. Tam wytwarzały się „atmosfery”. — Był dziś niemożliwy — zdawała sprawę — siedząc pochylona nad maszyną w pozycji „pracy”. Pracowała zawsze, nigdy nie można jej było zastać bezczynną. Ta pozycja była jej wyłącznym wynalazkiem.

— Wczoraj była zamiejskowa rozmowa telefoniczna z willi i wyłączono wszystkie aparaty dodatkowe — oznajmiła blada, jasnowłosa niemka, która obsługiwała centralę telefoniczną.

— Czy wyrzucą kogoś? — spytała młoda mężatka, najmłodsza z urzędniczek, niedawno przyjęta. Widmo dymisji straszyc ją po nocach.

Westchnięto, któż mógł wiedzieć. — Tutaj — powiedziała nagle z naciskiem Jadzia — napewno jest coś nie w porządku. A co, zobaczymy dziś, jutro.

Remington Ali Lenz zadudnił gwałtownie. To było hasło. Ala siedziała naprzeciwko okna. Wtedy zgodnie ruszyły wszystkie cztery maszyny, nie gubiąc taktu, kiedy dyrektor przemierzył znowu pokój szybkiemi krokami.

Nie stało się jednak nic, choć minęła godzina pracy. Panna Jadzia ,zawsze wychodziła, ostatnia ale nie usłyszała krótkiego „dowidzenia“ dyrektora. Gabinet trwał milczący, zamknięty, drzwi strzegły



jego tajemnicy. Wreszcie panna Jadzia zapukała z listami do podpisu. Po chwili dopiero wypełzło stłumione „proszę”. Kiedy weszła, dyrektor nie odwrócił się od biurka, przed nim nie leżało nic. Jedyłą jego czynnością mogło być przed chwilą rozmyślanie. Przysunął listy, żeby je podpisać. Panna Jadzia dopełnia już wszystkich szczegółów swej toalety, z żalem zamknęła torebkę, bo jednak jeszcze coś „musiało się stać”.

Ale kiedy rozczarowana opuszczała już pokój, daniem jej było ujrzeć zawiązek dramatu. Drzwi otworzył stary Ludwik Brandt, wysoki, elegancki i sportrzeglwszy ją zawołał z galanterją: — Dobry wieczór pani. —

Kiedy wszedł do gabinetu i panna Jadzia gorączkowo jęła splatać osoby z przypuszczalnemi wypadkami, rozległy się znów kroki w sieni i ciężka ręka spoczęła na klamce. Pełen mąki na ubraniu i twarzy uklonił się pannie Jadzi niezgrabnie dozorca Kaliński.

Niespodzianie rozwiązanie dramatu miało więc być proste i nieciekawe. Nieporządki w młynie, lub projektowane zmiany, albo inne sprawy skromnych, nieciekawych ludzi, w żadnym zaś razie prywatna tajemnica młodego dyrektora.

Można było odejść z lekkim rozczarowaniem i wyraźną satysfakcją. Jednak domyśliłam się, że coś się święci...

Krótką chwilą, kiedy dwaj mężczyźni przy biurku, milcząc rozważali niewypowiedziane myśli była ciężka złowroga jak chmura. Stryj stał się poważny,

przejęty swoją rolą, ale wysiłki, jakie czynił, żeby wydobyc z synowca jakieś ostateczne wskazówki szły na marne. — Młody jeszcze — myślał, widząc jego zgębienie i zresztą czasy się zmieniły, dawniej... — cała gładko wygolona twarz rozjaśniła się potajemnie małym, promiennym uśmiechem, przywracającym dawne wspomnienia.

Wiktor Brandt nie dostrzegł go. Z oczyma wbite mi w bibułę na biurku pokrytą czarnymi zygzakami odbitych liter, siedział w zawziętem milczeniu. Stryj spytał cicho: Czy ja mam z nim zacząć? —

Wiktor zadrżał: Nie, nie ja sam.. — urwał i dodał bezsilnie: — A może jednak stryj?

— Cóż ty się tak egzaltujesz mój chłopcze. Niepierwszy jesteś. Trudno żeby się mężczyzna w osiemnaście lat żenił. Zdarzają się komplikacje, zdarzają. Każdy to zna — perswadował znacząco. Ale Wiktor nie zadawał pytań. Wtedy stryj umilkł. Pierwszy z ciężkich, powolnych kroków w przyległym pokoju uderzył gwałtownie w ciszę dyrektorskiego gabinetu. Młody Brandt przesunął gorączkowo ciężki swój fotel. Stał na progu na grubym kilimie, trzymając za plecami swoją zamączoną czapkę.

— Dobry wieczór — powiedział raźnie. Odpowiedziano mu cicho. Przez małą sekundę trwało milczenie.

— Więc jak? — szepnął stryj Ludwik.

Wiktor bębnił palcami po biurku. Przy drzwiach Kaliński czekał cierpliwie aż skończą swe szepty...

Stryj Ludwik zdecydowanie objął dyktaturę. —

— Pan dyrektor wezwał was, Kaliński, jesteście z was zadowoleni — mówił swobodnie, podczas gdy Wiktor pod pozorem zajęcia zapisywał oszalałymi zygzakami puste arkusze.

— Jesteście porządny człowiek i cichy — mówił starszy pan Brandt, akcentując przymiotniki — Chcemy wam dołożyć miesięcznie.. —

— Dwadzieścia marek — przerwał szybko Wiktor.

Tym razem stryj poczuł się rzeczywiście obrażony. Umówiono piętnaście, ale nie o to chodziło. Było przecież przedtem dosyć czasu, żeby omówić zgodnie działanie. Kiedy on popchnął sprawę z najtrudniejszego punktu, Wiktor wtrąca się tak głupio.

— Tak — rzekł dwadzieścia marek miesięcznie, bo słyszeliśmy, że chcecie się żenić. Z córką Jeziorowskiego, furmana — wymówione starannie nazwisko sprawiło Wiktorowi fizyczny ból.

— Przecież chcecie się z nią żenić? —

Kaliński, który przez cały czas ledwie zdążył parę razy chrząknąć i złamać daszek czapki, wsłuchując się z wyteżoną uwagą w słowa starszego pana, powiedział z uśmiechem.

— Toć tak, chce się żenić z kuczerową córką, ależem ta nie gadał.. —

— No to już pogadacie. Ona też posag ma przy zwoity i skoro Wam się spodobała... —

Pan Ludwik Brandt zaniepokoił się, że szło tak łatwo. Zaczął obawiać się nieporozumienia i kiedy błady, podniecony do ostateczności Wiktor już się

uspakajał, zdecydowany raz na zawsze załatwić sprawę, powiedział wyraźnie:

— Powinniście się zaraz z nią ożenić. Przecież rodzice zgadzają się. Dziewczyna dostanie 500 marek posagu, a wy podwyżkę, będziecie mogli sobie dobrze żyć. —

Czarny, wyostrzony ołówek młodego dyrektora zatrzeszczał i pękł. Bez szelestu złamał się już w drugim miejscu daszek czapki dozorecy. Ciemne wąsy jego zwisły, twarz pod warstwą mąki poślókła. Milczał.

— No cóż? — zapytał po niedługiej chwili Ludwik Brandt.

Kaliński chrząknął gwałtownie raz i drugi i umilkł. Obruszył się, chrząknął znów, ale nie wydo był zardzewiałego głosu.

— No — powtórzył starszy pan zachęcająco.

Kaliński opuścił rękę z czapką. — Tak, panie, — powiedział bez wyrazu i stał dalej.

— Tak, to dobrze, więc jesteście zadowoleni — mówił z ulgą pan Brandt, nie czekając odpowiedzi i pozwolił sobie na uśmiech po groźnej chwili wyczekiwania.

— Bardzo dobrze, jesteście porządnym człowiekiem i nie pożałujecie tego. —

A gdy umączona postać nie ruszała się od progu, dodał uprzejmie.

— Możecie iść — i zręcznie podniósłszy coś z biurka, zbliżył się i wsunął to w spuszczoną dłoń Kalińskiego.

Dozorca machinalnie zamknął za sobą drzwi gabinetu, drzwi pierwszego pokoju i znalazł się na dworze. Kiedy owiało go powietrze pachnące kwiatem jałbłoni stanął i starym nawykiem przetarł pięścią czoło. W zaciśniętej pięści tkwiło coś. Zwinięta różowa stumarkówka. Przypatrywał jej się z uważnem zainteresowaniem i dopiero kiedy na kamieniach dziedzińca rozległy się kroki, wsunął ją do kieszeni zamkniętej bluzy.

To podmłynarz Krengel szedł do domu obejrzawszy młyn po raz ostatni. Wyminał, rzucił wesoło słowo i poszedł, a Kaliński wciąż stał na tem samym miejscu z ręką w kieszeni, mniósłąc papierek. Naszło go nagle mnóstwo myśli i ogłuszyły go ciężarem.

Toć pół miesiąca przeszło dziesięć godzin na dobę stało się tu w pełnej „cugów“ budce, dźwigało worki, szło po czterech piętrach schodów, ileś tam razy za taki pieniąż, co teraz lekko, miękko wpłynął w nie nadstawioną rękę razem z miesięczną podwyżką.

A czego to żądano wzamian? Nic takiego nie powiedzieli. Ot, tacy byli „oni“. Mówili słowa proste, gładkie, a za niemi kryła się żmija podstępnej myśli. Tacy już byli, a o podobnych przypadkach nieraz Kaliński słyszał, choć był z chłopów...

O Trudzie nikt nie wie, nawet nikt nie przypuści. Dwieście marek ma swoich i te drugie. Można swoją ziemię mieć za to. A inaczej przejdą lata, po staremu będzie spał w budce, bez własnego domku, bez lepszego życia. Czy to pomyślał nawet, żeby odmówić? Z Trudą już się dawno chciał żenić, tylko go

teraz coś opadło, uwiesiło się u nóg, położyło na pier si jak wóz ładowny.

Przecie zawsze co tydzień od poniedziałku rozmyślał, jak to w nadchodzącą sobotę z Trudą się rozmówi i już sam z siebie w duchu pokpiwał, że soboty mijały, a jemu niesporo jakoś swój kosz odebrać i tylko zawsze, kiedy znów niedziela minęła, roić sobie lubił.

Jak Kalińskiemu powiedziec było: zrób to a to w tych dniach, on zawsze natychmiast odrobił. Taki już miał zwyczaj. I myślał wtedy: później zapomnę, czy co inne, zara najlepiej.

I teraz nie odkładał już, nie szedł do domu. Kazano prędko, a więc niech zara dziś, bo później może co inne...

Ruszył wreszcie. Zawsze w myśli przywdziewał na ten dzień nowe wyczyszczone buty i niedzielne granatowe ubranie, ale kiedy teraz doszedłszy do furtki wspomniął o przebraniu, zmora ścisnęła go nanowo, chwyciła za gardło, zalewając piersi falą żalną, a gorzką. W zamączonem ubraniu i grubych butach, skubiąc wąsy poszedł do Jeziorowskich.

Dopiero przed samym domem opamiętał się całkiem. Przecie nie tak było jak wymyślił dawniej. Dziś nie sobota i Jeziorówka nie latała po kumach, stary nie chodził do Nadolnego na dużą „czystą”. Truda mogła nie być sama w domu. Cicho, ukradkiem koło ściany wszedł do sieni. Z pokoju dolatywały głosy i Kaliński przycisnął się cicho w niskiej sieni i niespokojnie wypatrywał przez półotwarte drzwi kuchni,

aż uchyliły się niespodzianie i stanęła w nich sama Truda z wiadrem śmieci.

Poznała go natychmiast, ale nim zdołała bąknąć coś, on jej szepnął gorączkowo:

— Ja tu kiele sienia poczkam.

Nie bał się już, czy zechce wyjść, nie czekając odpowiedzi wybiegł i wyczekiwał za niskim progiem sionki. Jakoż po chwili zajaśniała obok suknia Trudy. Sfanęła przy nim posłuszna i cicha, straciwszy nagle całą swą hardość, którą tak podziwiał.

— Pójdźmy do banhofa — rzekł i w milczeniu ruszyli ciemną ulicą. Pachniała akacją, którą była wysadzana. Czasem rozgniatali pod stopami opadłą czeresnię.

— To na zapowiedzi damy — powiedział szorstko Kaliński, jakby kończąc zaczęte zdanie.

Truda spuściła głowę.

— Chcecie to?

— Dawniej chciałem. Matka nie powiadała?

— Powiadała. —

Umilkli znów. Potem nagle Truda mówić zaczęła pospiesznie, cicho, lecz bez pokory. Chodziła z nim, prawda i nie mówił, że się ożeni, nigdy. A ona też nie wierzyła wcale. Ale nie bała się, taka już jest. On tylko czasem tak bąknął, żeby była spokojna, więc była. Nie leciała na jego pieniądze. Na wszystko święte zaczęła się zaklinać, bijąc się w piersi, że nie wzięła sznurka korali.

Nie wymawiała imienia mówiła tylko „on”. I głos jej chrypnął ciągle od wewnętrznej zaciekłości,

z jaką wyrzucała słowa. Wreszcie rzuciła z dawną hardością:

— Jak pan Kaliński chce. Nie jestem dziewczka. Z jednym chodziłam, a insze trzech mają. I nie skłamałam nic. —

— Powiedziałem, że się ożenię i ożenię się — rzekł ponuro. Jej hardość wskrzesiła mu znów dawną Trudę, młodą, wesołą, jak wtedy, kiedy w mroku przy furcie połykiwały jej zęby.

Ale ona zastraszona jego małomówną zawziętością nie dodała już nic, jak chciała o tem, że jak za niego pójdzie, będzie mu dobrą żoną i młczyła upokorzona tym konkurentem z musu, szpakowatym wdowcem w zamączonej bluzie i roboczem ubraniu, na całe życie już pamiętaąc mającym, jak to ją zaślubił. Na to wspomnienie zniecka lży jej się rzuciły do oczu i wycierała je prędko, kułakiem.

Od tych łez gęstych Kalińskiemu serce zmartwiało, jakby nożem dostał. Jego nieboszczka nie była beksywa, a na płacz dzieci też go zawsze litość brała. Nieczęsto oglądał lży.

— Cicho — rzekł jej zmieszany — nima czego buczeć — i nie umiał już dodać ani dobrego słowa, ani zmienić rozmowę, żeby wyrwać żądło, co ich trulo oboje

Tak zaszli z powrotem do ich domu i w oknie mieszkania było ciemno.

Kaliński chciał jej powiedzieć, że gdyby się matka gniewała o późny powrót, mogłaby ją zaraz uprzedzić o wszystkim, ale przypomniał sobie nagle,



że to pewnie nieraz tak po cienku, omackiem wślizgała się do izby, i więc tylko powiedział:

— Jutro do starych przyńda — i poszedł do swego mieszkanka. Nie zapalając lampki położył się spać bez kolacji, nasycony goryczą tego wieczoru, który powinien przypaść w przedświąteczną, radośną sobotę.

Zółtawe karty o czerpanych brzegach zostały wydane w trzech językach. Z konieczności. Po niemiecku dla Brandtów, którzy je musieli przesyłać urzędnikom i ważnym, oficjalnym osobistościom w miasteczku.

Po polsku dla prywatnych znajomych obu rodzin. Nadto w kole znajomych Jerzmanowskich było wiele osób, do których należało napisać po francusku. Z różnych względów używano tego języka najchętniej.

W trzech językach dowiedział się świat o bliskim połączeniu Anny i Wiktora z dodatkiem wszystkich tytułów, jak inżynier i dyrektor.

„Dzieje grzechu“ były nowością księgarską, „Dzieje grzechu“ wstrząsały sercami. Ania Jerzmanowska mogła je czytać, ponieważ była już zaręczona i zawsze miała jawną chęć zaprzęgać się do rydwanu śmiałych słów. Brała udział w przyciszonych i głośnych dyskusjach młodych znajomych co sędzić o Ewie.

Zdania dzieliły się. Jedni uniewinniali ją bez zastrzeżeń. Mówiono: Przeznaczenie popchnęło, straszli-

wy zbieg okoliczności... — Inni sądzeni, że „taki“ upadek osoby z takiego środowiska jest wręcz nieprawdopodobny. Wszyscy mówili o Ewie Pobratymskiej jako o jedynej, niezwiązanej z całością spraw życia i społeczeństwa jednostce.

Była to jedna nieszczęśliwa przeciw której sprzyśięły się losy uparcie ją rozmijające z Łukaszem, tragiczny wyjątek, nad którym płynęły łzy współczujących. I Ania Jerzmanowska wołała wielkodusznie „wybaczyć“ wraz z innymi, przekonana, że rozstrzyga kwestję.

Była tego pewna, zwłaszcza gdy kandydat praw Majewski (granatowy mundur studencki i srebrne okrągłe guziki) mówił o błocie i idealizowaniu upadłych kobiet.

Panie uśmiechały się wtedy z wyrzutem i mówiły: Ach, jaki surowy. Pan zostanie prokuratorem. — Mówiło się wtedy bardzo chętnie: Ach...

Na to kandydat praw z większą jeszcze goryczą dodawał coś o „upadku anioła z pierwszego tomu“.

Gorycz była zjadliwa i głęboka. Była szczerą, bo Ania Jerzmanowska zaręczyła się. Na nic marzenia po walcu o Błękitnym Dunaju, straciły wartość wspomnienia o uśmiechu z kotyljona, bo Ania w długiej adamaszkowej sukni z krótkim stanem i bufiastemi rękawami, z aksamitką na szyi i greckim kokiem nad białym karkiem, tańczyła teraz ze swoim wysokim, przystojnym narzeczonym. A po tańcu siedziała z nim na balkonie. Dostrzegł to kandydat już wyszedłszy na ulicę i zobaczył wyraźnie mimo gęstej za-

słony dzikiego wina. Z rozpaczy wyrwał go dopiero gniewny głos dorożkarza, który zatrzymał się o włos od srebrnych guzików. —

Tak, siedzieli tam oboje i mówili o tem, o czem mówiły wtedy wszystkie pary narzeczonych. Z urazą, udaną skruchą, z ciekawością i niechęcią. O „jego“ przeszłości. Ania Brandt starała się być wyrozumiała. Wiktor był wzruszony i mówił o kalaniu niewinnych uszek ukochanej. (Fryzura odsłaniała je). Ania była wzruszona i miała w oczach łzy, a w sercu dumę (jakie oczywiste było, że podobał się kobietom). Kiedy skończyła się spowiedź, Ania obrywając lepkie gałązki dzikiego wina, pozwoliła łzom spłynąć po policzkach. Nie otarła ich. Drżąca, przejęta własną wielkodusznością odpuściła wszystkie grzechy... względem innych.

Mówiono przecież uroczyście: żyjemy w XX wieku, wymawiano dumnie rok 1910, jakgdyby nigdy już nie miały nastąpić zdarzenia urągające postępowi świata.

Spolszczenie rodu Brandtów dokonało się nadszpiewanie szybko. Przybyli do Królestwa w osiemdziesiątych latach, a w pierwszym dziesiątku XX wieku ostatnie pokolenie osiadłe w „Westpreussen“ już tylko z konieczności mówiło dobrze po niemiecku, chociaż zmarły ojciec Wiktora używał jeszcze dość często niemieckich zwrotów, kiedy mu było trudno mówić po polsku.

Dzieci w najwcześniejszej młodości poznały oba języki. Dlatego kwestja germanizacji nie stała im

się bliska. Wierzyli w jakąś nieokreśloną możliwość pogodzenia rządów niemieckich ze „zwyczajami“ miejscowemi.

W salonie leżały polskie czasopisma sprowadzone z dalekiej Warszawy i polskie książki w ciężkich, zbyt ozdobnych oprawach, kapiących złotem i purpurą, zdradzających pietyzm wiodący aż do nieczytania...

Dla urzędników niemieckich mile widzących nazwisko Brandt, nie byli na skutek takich drobnostek prawowitymi Niemcami, niemniej staszewscy ludzie miejscowi nie mówili o nich: Polacy, byli raczej skłonni przypuszczać, że to „Niemce“.

Natomiast dom Jerzmanowskich był najrdzenniejszym polski. Nikt nie znał niemieckiego, po rosyjsku mówił tylko trochę ojciec. Ania prócz ojczystego języka mówiła oczywiście po francusku.

Brandtowie mogli być uważani za swoich i dlatego jedynie propozycja małżeńska została przyjęta tak skwapliwie, bo prócz innych warunków spełniali i ten.

Kiedy karty wyruszyły w świat i mały kwiatek niezapominajki z turkusików na palcu Ani zamienił się na kroplisty, tęczyowy brylant, Ania zaczęła czytać przygotowania na przyszłość. Uczyla się niemieckiego.

Wśród koronek, tiulu, ciężkiego adamaszku i trzeszczącego kanausu szytej wyprawy, błąkał się niemiecko polski słownik.

A kiedy pani Jerzmanowska myślała z żalem

o przyszłej rozłące, mogła to dobrze połączyć z innymi uczuciami: I pomyśleć, że musisz jechać zagranicę z paszportem pod Toruń, że tam jest granica...

Wtedy Wiktor Brandt wstydził się pocichu, że sam tak mało myślał o tem. O tak, Jerzmanowscy myśleli o tem, u nich żywo interesowano się sprawami społecznymi. Dziewczęta pełne dumy i tajemniczości czytywały ukradkiem polskie książki, przy których kładły palec na usta. Rozpaczano zawsze, kiedy zdarzały się „wypadki“ w mieście i pocichu w żelaznym słoniu-skarbonce zbierano tajemniczą składkę.

Rodzice i siostry kochali się czule, tylko imię brata rzucane niekiedy, było zbyt czyste, smutne, wyrażało rozczarowanie.

Każdy z członków rodziny mówił o nim w ten sam łagodny sposób z głębokim wyrzutem i stał daleko, za jakąś niedosięzną granicą, wyrodny, nieudany, dalszy niż obcy człowiek.

Jerzmanowscy, choć mówili o sobie: „jesteśmy z ziemian“, nie wahali połączyć się z mieszczańską rodziną Brandtów. Żyli już w czasie, kiedy można było stanąć ponad tem. Przeciwnie, w połączeniu obu rodzin upatrywali chętnie coś symbolicznego.

Ślub Ani i Wiktora w Warszawie był tak okazały jak należało dla splendoru obu rodzin. Wspomnienie sali, orkiestry, sukien klejnotów i futer przetrwało wiele lat i wielu uczestników.

Spełnił wszystkie wymagania, to znaczy był taki sam jak wszystkie bogate i ważne śluby, tylko jeszcze strojnniejszy, huczniejszy, bardziej obfity w wino, potrawy i dostojnych gości.

Ania pojechała z mężem zagranicę do Włoch, żeby potem wrócić „zagranicę“ do nowego domu.

Kiedy zamiast czereśni na drzewach zjawily się fioletowe śliwki, pękate, wewnątrz pełne złotego miąższu, staszewskie gospodynie informując się o najlepszych sposobach robienia powideł, mogły sobie jednocześnie oznajmić wszystkie nowiny. Posiadacza nowin zawsze rozpierało szczęście. Kiedy ich nie było, liczono tylko narodzenia i zgony, zaręczyny i śluby. Już z nastaniem owoców ożywiało się trochę. Pakowano je w słoje na zimę, jedzono i pamiętano o tem, żeby w śnieżne, zimowe miesiące mogły się zjawić na stole w pełnej krasie fioletowe jagody i ciemne, szkarłatne wiśnie, wspomnienia o minionem lecie i nadzieje na przyszłe. Teraz, w okresie owoców zjawily się nowiny. Jeziorowskich, kuczerów córka za Kalińskiego, dozorcę z młyna wyszła i brała ślub w modnej, białej sukni z krótkim stanem. Cichcem, stękając musieli jej jakoś starzy posag zebrać, bo domek koło bahnhofu targowali młodzi.

Ale ustąpiła ta nowina wobec innej o ślubie pana Brandta. Dowiedziano się o tem najdokładniej wszystkiego. Że ślub odbył się w Warszawie, że potem młodzi, jak nakazywała tradycja wyjechali do celu pielgrzymki nowożeńców, do Włoch.

Wyraz Włochy u przeważnej liczby mieszkańców miasteczka wywoływał określone reminiscencje. Upały, złocistość słońca, lazur morza w kolorach z pocztówek i najpewniej rzeźby, wszystkie postacie bogów, bogiń i bohaterów mitologii, całe galerje rzeźb, na

których należało się znać. To obniżało urok słonecznej Italji.

Naogół też mniej zazdrozczono im podróży zagranicę, niż powrotu do wspaniałych mebli sprowadzonych zdaleka.

Wszyscy w miasteczku wiedzieli, że były zrobione z jedwabistej amerykańskiej brzozy o połysku atlasu, z lśniącego, lustrzanego mahoni i że w najprzytulniejszych kątach stały głębokie, miękkie kolebki klubowych foteli.

Wiedziano wszystko i pozostawała tylko ciekawość ujrzenia młodej pani i oczekiwanie zmian, które mogły nastąpić.

Rozczarowali się tylko ci, którzy bajali o jakichś awanturach Trudy Jezioroszczanki z młodym panem. Albo dziewczyny głupie gadania tylko przynosiły, albo cichaczem na ranę położone pieniądze zgoiły ją i zamknęły oburzone usta.

Nie to było sensacją. Zawsze są w miasteczkach dziewczyny, którym przydarzy się nieco w młodości, ale niecodziennie żenią się wielcy panowie jak Brandtów syn. Bogatych w miasteczku było więcej, handlarze kołmi, zbożem, kupcy, właściciele dużych składów, ale Brandtowie należeli do prawdziwie lepszych jak rodzina adwokata i sędziego.

Miasteczkowi ludzie znają się na rodzinach jak herbarze, segregują dokładnie, nieco wyżej, nieco niżej. Tu porządny tam elegancki (dwa różne pojęcia), dorobkiewicz i prawdziwy bogacz.

Czekając na zdarzenia słuchano wszystkich le

gend, które oplotły już nowe mieszkanie w willi i stary ogród wyprzątnięty starannie.

Owego wielkiego dnia z samego rana ukazała się powitalna zieleń na bramie. Potem dostarczył ważnych wiadomości młodszy kuczer Brandtów. Miał być nowy samochód. Pierwszy prywatny na całe Staszewo, drugi miał do dyspozycji „Krefisarzt”. Z wozowni wyciągnięto powozy, karetę i bryczki; wypożyczono brakujące.

Popołudniu gęsto spacerować zaczęto ulicą w stronę dworca. Młodzi, którym wypadało gapić się wprost, miejscami z obu stron uliczki utworzyli grupy. Więcej zebrało się ludzi niż wtedy kiedy przyjeżdżał jakiś dostojnik, którego nie znało się osobiście i nikt go może więcej nie zobaczy, kiedy Brandtowie tu na miejscu wieść będą swą egzystencję niecodzienną i niezwykłą jak życie z powieści.

Spacerowało więc całe miasteczko, zwłaszcza, że mieli nadjechać o szóstej, po pracy. Drzewa na ulicy przed dworcem ustroiły się owocami z chłopaków, którzy co chwila rzucali fałszywe hasła spacerowiczom. Wreszcie z kilku wierzchołków jednocześnie świśnieło przeraźliwie.

Wszystkie serca zabiły, każdemu zdawało się, że dzieje się coś ważnego dla niego samego. Z dostojnym turkotem zjawił się dobrze znany powóz Brandtów wyścielany ciemno zielonem suknem, duży, pojemny, solidny.

Byli w nim sami starzy. Majestatyczne kobiety obciążone futrzanami etolami powiewające piórami na kapeluszach. Mężczyźni trzymali uroczyście połysku.



jące cylindry i podawali usłużnie ramię, schodzącym z powozu.

Potem rozległ się czarowny głos trąbki i całe Staszewo zapanowało oddech. Na drodze nadjechał z głośnym klekotem brunatny samochód, zawadjacki, szybki jak wprawione w ruch zaczarowane pudełko. Podziwiano jego kształt, kolor, kierownicę, koła i cuda nowej techniki. Już nawet starzy nie wstydzili się oglądać za nim.

Kiedy stanął, wysypała się z niego mniej uroczyście, ale barwniej młodzież. Prostowano spódnice, Poprawiano woalki, adorowano się dyskretnie i wreszcie ruszono również parami przez umajoną bramę ku willi.

Największy efekt przebiegle zachowano na konie. Na wysokich kołach nadjechała czarna lakierowana karetka. Chociaż już miesiąc po ślubie, młodzi Brandtowie wracali jak nowożeńcy. Nikt nie patrzył na młodego dyrektora, wszystkie oczy przykuła jego żona. Młoda, wysmukła, delikatna, ubrana jak w żurnalu, z włosami uczesanymi w nieznanym sposobie, w postawie i ruchach wносиła cały nowy świat elegancji i wdzięku. Dzięki niej nie dostreżono już ostatnich bryczek.

Wiktor Brandt kłaniał się bardzo uprzejmie i wielu przejętych tym zaszczytem, pochylało kapelusze jak w czasie dworskiej ceremonii. Młoda pani z pod małej czapeczki rozdawała uśmiechy jak kosztowności.

Nic nie uszło uwagi patrzących, zauważyli nawet, że ścieżki wiodące do willi zostały świeżo posypane

żwirem. Kiedy znikła za bramą ostatnia para i całą barwność zamknęła czerwona willa, ludzie rozeszli się z żalem.

Miasteczko miało czem żyć na długie tygodnie. Wreszcie coś się stało.

Była pora kopania kartofli. Kiedy młoda pani Brandt nabiegała się dosyta po swoim wytwornie urządzonej mieszkaniu, po ogrodzie ze strzyżonym żywopłotem i rabatami jesiennych, jak sądziła niegustownych kwiatów, kiedy napracowała się cienką igiełką koło swych markiz na jedwabiu, wychodziła na zabawną małomiasteczkową ulicę, gdzie zieleńły się kartoflińska usiane ludźmi. Rozrzucali motykami pulchną, czarną ziemię i za zielone warkoczce wywlekali wilgotne kartofle.

Wszędzie, gdzie tylko pójść, było je widać, te „ziemniaki“. Zbierano je, wożono, dzieciaki kradły potrosze, żeby przyrządzić w najsmaczniejszy w świecie sposób, upiec w ogniu na polu.

Po zachodzie słońca ogieńki te tworzyły małe łuny i dokądkolwiek młoda pani Brandt szła, widziała pożary na niebie, a na ziemi dzieci przy ogniu.

Ile dzieci! Pani Ania nigdy nie widziała tyle dzieciaków, co w tem małym miasteczku. Uśmiechała się na ich widok. Ona też pragnęła mieć jedno, jedyne. Ale tyle, ile tu mieli ludzie! Przecież tak wielka miała być męka ich wydawania na świat. Pani Ania w modnym pluszowem palcie zadrżała. Policzyła nerwowo miesiące i odetchnęła z ulgą: Jeszcze prawie osiem...

Po kopaniu kartofli miasteczko nie potrzebuje ładnych pogód. Czas przygotowywania zapasów jest skończony. Na wozach odwieziono już kartofle do krochmalni i do domów, nagie kartofle różowe, żółte, niebieskie i nielubiane ognisto czerwone cygany“.

Z trzech jezior, które otaczają Staszewo, podnoszą się już rankami i po zachodach gęste, szare płachty mgły, owijają ulice i domki z ich powszednimi treściami, nad łukowemi lampami w ulicy tworzą gęstą zasłonę, przez którą z trudem przedziera się światło.

Na jesieni mgła oddziela miasteczko od świata, zakochane pary nie potrzebują chodzić długą drogą do „banhofu“, na wszystkich ulicach owija je troskliwa ciemność.

Ławeczki sprzed domów, na których gawędziło się w letnie wieczory są zabrane, o dziewiątej gasną światła w mieszkaniach, miasteczko zapada w zimowy sen. Oczywiście zawsze ktoś musi czuwać, żeby ktoś inny mógł spać. Za wysokim drewnianym płotem okalającym dziedziniec młyna chodzi powolnemi krokami dozorca Kaliński. Mógłby teraz zdrzemnąć się w drewnianej budce, bo dopiero za pół godziny czas iść na młyn, ale nie chce mu się spać dziś.

Po wilgotnych od rosy kamieniach, po szeleszczących żółtych liściach, które wegnał wiatr z ogrodu Mistrzaka, wlecze ciężkie buty i ich stuk dodaje mu odwagi.

Okna młyna błyszczą, w uszach brzęczy jego miarowy szum.

Szum młyna jest jak oddech, kiedy młyn stoi i nie

technie miarowym stukotem kół i szumem pasów, jest jak trup, niepotrzebny, ciemny i cichy.

Trudno dziś spać. Rano chwyciły Trudę pierwsze boleści. Przyszła akuszerka, ale zaraz poszła sobie. — Czas — powiedziała — może na jutro południe będzie. —

Na południe Truda poszła do łóżka, cicho stękając, a stara Jeziorowska kręciła się po kuchni i izbie i radziła: Nie strzymuj krzyku, łatwiej się urodzi. — A on wiedział dobrze czemu to Truda nie krzyczy. Wstydziła się jego. Zahukany przez teściową i niepotrzebny, wyszedł wcześniej niż trzeba było z domu. Stał w ogródku, przysypywał kopce, rwał chwasty, rozgrzebywał stare grządki i wtedy dopiero poczuł ból tych narodzin. Kiedy wybiło wpół do siódmej, ruszył ze swoją blaszanką.

O dziesięć kroków od domu minęła go akuszerka.

Kiedy wiatr zgina z szumem za płotem drzewa w ogrodzie Mistrzaka, jego wycie brzmi jak jęki Trudy. Po drewnianej rampie wchodzi Kaliński na młyn, obejrzeć, czy wszyscy są i pracują. Wspina się po wydeptanych schodach, gęsto przysypanych mącznym pyłem, na pierwsze, drugie, aż do czwartego piętra.

Na pierwszym jest pusto, w mrocznej salce z cichym trzaskaniem pracują kamienie. Na drugim stoi przy filtrach Niemiec, podmłynarz Herbst. Nie wygląda nigdy na zmęczonego, nawet przy nocnej robocie. Ale Kaliński wie, gdzie trzeba zajrzeć. Jest w bocznym oddziale trzeciego piętra mała salka, tam, gdzie ry-larka do ostrzenia walców tworzy mały, ciemny kąt

ze szcnotkarką, tam zawsze chętnie zdrzemnie się ktoś.

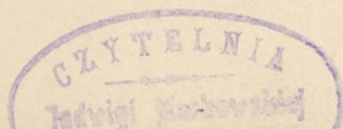
I rzeczywiście, kiedy dozorca zbliża się, (kroki głośny zawsze szum) widzi robotnika Cieślewskiego, jak drzemie w kąciku z głową ukrytą w rękach. Kaliński trąca go i wtedy dopiero Cieślewski zrywa się drżący, wpół przytomny, oblany potem przestrawu. Szczęście, że nie pan. Padłoby krótkie: przyjdźcie jutro do biura...

Cieślewski rzadko zasypia. Kaliński nie przychwycił go jeszcze nigdy. Ale teraz zastępuje „urlopowego“ i ma dwanaście godzin. Mruczy coś w odpowiedzi Kalińskiemu i ołowianemi nogami idzie do pracy...

Kaliński idzie wyżej. Towarzyszy mu szum, stuk, szelest spadającego ziarna w drewnianych przewodach i bezustannie skaczący, podrygujący ruch przesiewaczy. Sześciu ludzi na czterech piętrach wielkiego budynku. W dzień są jeszcze ludzie przy ładowaniu, robotnice przy szyciu i workowaniu, w nocy młyn jak djabelski czar sam dyszy, pracuje, wyłuskuje, rozciera, gniecie na miazgę wartki potok ziarna, który bez przerwy podnoszą i rzucają w piaszczę przesiewaczy elewatory.

Tajemnie, ukradkiem czuwa nad wszystkim tych sześciu na górze i na dole w kotłowni dwaj inni przy ognisku i kotle trzymają puls pracowitego serca młyńskiego.

Kaliński przygląda się wszystkiemu uważniej niż zwykle. Grubemi palcami dotyka każdej maszyny, ot klepie po znajomości. Mają przecież z sobą wiele wspólnego, podlegają jednej władzy.



Po wydeptanych, dywanem mącznego pyłu zasłanych schodach, drepcze dozorca w górę i w dół z nieuświadomionem pragnieniem zajęcia się czemś. Zagląda w zbiorniki, palcami przebiera w suchej, sypkiej mące i wędruje dalej.

Jesienna, mglista noc trwa długo. Przykro jest zejść nadół w czarny, zimny mrok i słuchać wiatru, co brzmi jak babskie jęki. Pewnie już tera Truda nie wstydzi się krzyżeć. Kaliński spluwa gwałtownie. On też wstydził się ostatnio, kiedy po namyśle zamiast małego domku kupił papiery. Znajomym tu i owdzie bąknął, że ma uszparowane. Myśli jak ptaki gonią za nim. Tylko huk, szum, tarcie młyna uspakajają go. Lepsze to niż młyn gęby teściowej, która dziś cały dzień w ich mieszkaniu siedzi.

Kaliński gryzie koniec szpakowatego wąsa. Wiadomo, co się urodzi będzie jego, uchowa się z innymi, które przyjdą później i nikt się o to nie zakłopocze. Raźniej już zaczął schodzić ze schodów. Ale drzemać nie mógł tej nocy wcale. Wzdłuż, wszerz i naukos przemierzał podwórze.

O wpół do siódmej, kiedy dzień ledwie zaczął wstawać z za deszczu i mgły, żółte liście gęsto usłane przed furtką zachrzęściły jak tłuczone szkło. Biegł po nich w długiej marynarce i stukających klumpach Jeziorowskich Zygmont, Trudy brat.

Kaliński zatrzymał się w swym pochodzie i nagła gorzkość rozlała mu się w gębie.

— Co? — spytał przyduszonym dźwiękiem.

— Piec pękł — odrzekł Zygmont wesoło, powta-

rzając tak, jak mu powiedzieli — chłopaka przynie-  
sło. —

— A kiedy? .—

— Już z wieczora, kole dwunastej, alem dopiero te-  
ra miał iść powiadać, zanim do gimnazji pójdę —  
a kiedy szwagier milczał, Zygmunt dodał jeszcze: —  
Już idę, w piecach palić muszę — i w mig odwróciw-  
szy się, klumpami zadudnił po szklanych, łamiących  
się liściach.

Kaliński powstał jeszcze chwilę. Przypomniało mu  
się jak zawsze mawiała jego pierwsza nieboszczka —  
O której poczęło, o tej się wzięło. Wtedy splunął gwał-  
townie raz i drugi, żeby nareszcie wypluć dziwną go-  
rycz i ruszył do dom. O siódmej zmieniano go.

Po tygodniu pod niebieską kołderką na rękach  
matki w długiej poduszce z włóczkowemi koronkami  
ujrzał ulice Staszewa młody obywatel. Na chrzcie mu  
dano Bronisław, po ojcach miał Kaliński.

Przyrost ludności w Staszewie bywał pokaźny. No-  
towano w długich kolumnach kaligraficznem pismem  
imiona, dni i godziny urodzeń.

Znużeni wypisywaniem trudnych polskich na-  
zwisk urzędnicy chętnie zapominają u mniej waż-  
nych nowicjuszy o notowaniu godzin, żeby nie prze-  
dłużać rozmowy z interesantem i wpisują potem do-  
wolne. Ale dla urzędniczki z biura Brandtów zapisano  
dokładnie w urzędzie cywilnym dla wydania metry-  
ki: Brandt Janina, Genowefa urodzona 10-go marca  
1911 r. o godzinie 7-ej.

Nóżeczki dzieciны różowiuchne, okrągłe fikały wesoło na flanelowej pieluszce, oczęta rozglądały się już zupełnie wyraźnie, gulgoczący dźwięk w gardziółku brzmiał jak: di-di. — Patrzajta, dydy mu się zachciewa, luntcusie jeden — powiedziała babka Jeziorowska, potrząsając małą rączyną z rozkoszną fałdką w zgięciu.

— Truda, na którą do ośpic pódziesz? — spytała córkę, zbierając ciemną, kretonową suknię, której brzeg zamiatał izbę.

— Do południa będę. Na nas czas jeszcze. —

Kiedy matka wysła Truda raz po raz łaskotała delikatnie dziecko, gładząc jedwabistą skórkę — Ty, ty — mówiła do niego bez słów. Okrągłe oczęta niebieskie jak pogodna woda, poprzez matkę spoglądały w górę. Na czarnej skórzanej budce wózka, hen wysoko zawisa czarowna kula. Tęsknoty dziewięciomiesięcznego człowieczka skupiały się na tym nieznanym świetle zawieszonym w przestrzeni. Krótkie rączki wyciągały się ku niemu. Tymczasem matka wkładała mu na tłuste nóżki pończoszki i wsunęła za duże czerwone pantofelki, dotykała przy tem z rozkoszą każdego paluszka.

— Powiedz mama, o, mama — mówiła, wydymając wargi — robaczku ty złoty... —

Ale zamiast mama z malutkiej zaślinionej buzi wychodziło świergotliwe: tiatia, tia-tia. Wtedy Truda przestała go zachęcać do mówienia i zaczęła sama opowiadać:

— Do ośpic pódziemy rybeczko, coby cię tylko nie bolało. Wystroi cię mama, tak.



Po koszulce z falbanką przysły majteczki, które babka szydełkowemi ząbkami obrobiła i długa sukienka z niebieskiej flaneli z wyszywanemi różowo kaczuszkami. Potem wytoczyła wzięty po Jutce Makowskich czarny, zniszczony wózek i ułożyła w nim poduszki z niciąnemi koronkami. Ten wózek bolał ją skrycie. Pragnęła mieć nowy, biały od Sigurskiego, ale stary powiedział, że używany starczy.

Już się hardo postawić chciała, ale później zdecydowała, że lepiej kłótni nie wszczynać, bo może i rozsądniej było nie kłuć ludziom oczu, kiedy sami przycichli. Ale dziś na ośpice można go było ustroić. Wczoraj po całym Staszewie szukała dla „Brunka“ czapeczki, ale nie było co wybrać, bo wszystkie matki nakupały dla swoich dzieci na ośpice co było najlepszego.

Truda ustawiła wózek i zaczęła się ubierać. Tymczasem małe rączyny w wózku ułożyły się w piastki, oczki przymknęły się. — Śpi — pomyślała Truda i na myśl, że może go trzeba będzie zbudzić do doktora, tkliwość zalała jej serce, aż zabołało.

— Żeby nie zara jeszcze, toby sobie pospał... — Wytoczyła wreszcie wózek na ulicę i ruszyła naprzód. Ciepły, słoneczny maj pachniał świeżemi listkami. Bez miał już pąki. Truda była szczęśliwa przez dziecko i wiosnę, choć nie wiedziała, że to właśnie ciepło w sercu to szczęście. Myślała samemi życzeniami. — Coby go tylko nie bolało, bo brysine dzieci tak chorowały i miały gorączkę. I żeby słońce już przygrzało toby go zawsze w wózku przed dom wystawić mogła.

Myślała tylko o tem co będzie, bo wszystko prze-

szłe nie wzbudzało tego ciepła w sercu, dlatego nieprzyjemnie jej się zrobiło, kiedy zawadziwszy o kogoś wózkiem, podniosła oczy i zobaczyła Jana Stępienia w odświętnem ubraniu.

— Nocną zmianę ma w tym tygodniu — przemknęło jej przez myśl, ale uśmiechnęła się zaraz i sama go zaczepiła.

— Na przechadzkę pan Stępień idzie? —

— Ano — odparł, przyglądając się śpiącemu dziecku — dzisiaj mam wolne, bom w nocy robił. Ale już pani Kalińska ma fest chłopaka. —

— Do ośpic jadziem — westchnęła, obciążając swoją suknię, która od zeszłego roku stała się mocno ciasna.

— Stary pewnie dumny z niego — spytał Stępień, a ją aż zakłóło w serce, bo jej się zawsze wtedy zdawało, że za niewinnemi słowami Jana siedzi zjadliwe szyderstwo.

— Pan Stępień teżby sobie lepiej żony poszukał. Zawsze sam chodzi i ludzi bałamuci, a i napić się już lubi czasem — rzekła żywo, wsadzając i swoje żądło.

Ale on odrzekł spokojnie — Wcale się żenić nie będę, naco mnie? Na całe życie bieda i dzieciom też nie lepiej będzie. Lepiej mi tam w wolnem stanie — uchylił sukiennej czapki ze skórzanym daszkiem i poszedł.

Truda popchnęła wózek dalej, ale słowa Stępienia ostre i złe, utkwily jak szpilki, nie można było ich odtrącić. Patrząc na różową twarzyczkę w okrągłej, cienkiej czapeczce myślała sobie: Już on nie będzie jak tamte miał.. — Przypomniała sobie, że nie jest

biedna, że ma posag, o którym dotąd niechętnie myślała. Postanowiła też natychmiast, że odtąd wszystko co z drobiu czy świń sprzeda, sama potrochu zawsze uszparuje. Będzie się kiedyś uczył jak brat Zygmunt. Przez lata mu się odłoży. Prawda przecie, że biednym marne życie, ale dosyć na świecie uczonych i bogatych, czemuż on nie miał taki być?

Na doktora, sędziego, czy księdza każdy może iść. Toż Stępień sam rozpowiada, że szkoła niby każdemu otwarta, a przecie tylko dla bogatych jest, bo co biedakowi z tej wolności, kiedy płacić czem niema.

— A on będzie miał — pomyślała uparcie, rozstrzygając własną sprawę jakgdyby jej korzeń nie zrastał się z żadną inną i poprawiła niebieską kołderkę, obszytą długą koronką jak poduszka. Mimo tych pocieszeń z ciężkiem sercem wtoczyła wózek na dziedziniec Kreisarcta, gdzie stał ich już cały szereg i wiele matek dźwigało na rękach dzieci w kolorowych pledzikach. Niektóre chodziły już same i zabawiały się, inne płakały na rękach matek.

Kobiety huśtały je podśpiewując, albo wtykały w rozkrzyczane buzie puste, gumowe smoczki na kółkach. Ale kiedy następowało rozczarowanie, że zamiast ciepłej piersi była w wargach lepka, obojętna masa, płacze podnosiły się nanowo.

Wojtasikowa, klumpiarza żona przysła z trójką. Siedziała na ostatniej wolnej ławce i Truda usadowiła się obok. Zara też zaczęła się doświadczonej kobity wypytywać jakto z ośpicami, czy bardzo bołą i dlaczego ma ze sobą aż troje.

Wojtasikowa nędzna, żółta, wymizerowana, bo

biedę mieli wielką, odpowiedziała zaraz chętnie, niewyraźnie i prędko, sypiąc słowa jak groch w przetaku. — Najstarszy, co w siódmym roku drugi raz do ośpic przyńdzie, ten, co ma dwa w trzecim w zeszłym roku szczypane miał i nie przyjeno się, a najmłodsze tera — i ogarnęła wzrokiem swoją trójkę w pasiasnym, wyblakłym, ale czystym kretonie.

— Prawda to, że dzieci tak na ośpicie chorują? — spytała Kalińska trwożnie.

— O jeny, pani, a ile umiera — zawiodła żałośnie Wojtasikowa — poniektóre to czterdzieści gradus gorączki mają. —

— Jezu — westchnęła Truda i zaczęła kołysać wózek, chociaż dziecko wciąż jeszcze spało z zaciśniętymi piąstkami. Strach ją zdjął.

Wojtasikowa nie mogła sobie z dziećmi poradzić. Najstarszy obrywał listki groszku. Młodszy, stawiając niepewne kroki przewrócił się, a najmniejsze zapłakało, kiedy matka wstała, żeby uciszyć starsze.

Siostra w białym fartuchu i białym sztywnym czepcu zapisywała nazwiska. — Wie heissen Sie?

— Wojtasik!

— Wieviel Kinder?

— Drei.

— A długo jeszcze zaczkać trzeba? — spytała jeszcze po polsku.

Siostra nie odpowiedziała. W tej chwili otworzyły się boczne drzwi z mieszkania doktora. Wyszła z nich młoda kobieta w czarnym jedwabnym palcie i uśmiechnięta schodziła ze stopni małego ganeczka. Za nią inna siostra w takim samym białym, sztywnym czepcu

popychała wysoki wózek, z którego spływały koronki i wstążki. Siostra z notesem podbiegła usłudźnie:

— Gnä' Frau, bitte durch diese Pforte — i poprowadziła ją, żeby nie przeciskała się między kobietami i dziećmi stłoczonymi gęsto. Minęli tylko czarny wózek Trudy Kalińskiej.

— Brandtowa żona — szepnęła prędko Wojtasikowa. — Jeich małe pięć tygodni ma, a jak kole niego chodzą. Powiadają, że ciągle ważą, czy aby mięsa ma dosyc — wymęła.

— Ważą — westchnęła Truda z żalem. Tego już nie mogła zrobić.

— A wózek pani widziała? —

— Wojtaszyk — przeczytała siostra z notesu i Wojtasikowa ruszyła ze swoją trójką. Truda wpatrzyła się w swojego chłopaka i lekko zakołysała wózkiem. Po całym miasteczku wiadomo było, jakie to cuda wyprawiali z dzieckiem Brandtowie. A ktoby też miał jak nie oni? Wzięła ją nagle chęć niespełniona, żeby nad tamtym wózkiem schylić się i popatrzeć, jak też to dziecko wygląda. Zadziwiła się sama, że wystygła w niej cała dawna gorącość i tylko żywą, ciepłą falą opływała „Brunka“.

Nie potrafiła tego przyoblec w słowa, ale przeniknęła ją tajemna troska wszystkich ludzi, że najsilniejsze uczucia, które w niej żyją i karmią się krwią, niezależnie od własnej woli odpływają jak fale, wczoraj bliskie, dziś niezdolne wzruszyć. Jedno tylko przetrwa, tkliwość do „Brunka“ i na tych słabych niciach wisi każdy ludzki los.

Za płotem przy sztachetkach, wracając przeszła

dyrektorowa Brandt. Siostra w czepku toczyła biały wózek. Pani Brandt stanęła przy niskim płocie i przechyliła się. — Jakie ładne dzieciątko! — Truda, chcącym wzrokiem odnalazła stworzonko w białym wózku.

— To też do szczepienia? — spytała pani dyrektorowa.

— Tak — odrzekła krótko żona dozorca. Zrażona pani Brandt pomyślała z przykrością po raz setny:

— Dziwne maniere mają tutejsi ludzie.

Truda zobaczyła dziecko Brandtów. Było białe i różowe jak Brunek, jak każde dziecko i spało z małymi piąstkami zaciśniętymi mocno.

Starsza pani Brandt sama zaprojektowała małżeństwo syna. Uznała je wówczas za konieczne, bo chłopiec robił głupstwa i w swoim niedoświadczeniu mógł zostać wyzyskany, lub gorzej jeszcze. Nagliła tedy wówczas, szczęśliwa, że syn nie stawia przeszkód. Sama wybrała mu żonę, ale zawiodła się. Nie mogła więc nikomu robić wyrzutów i to, jak zwykle bywa, zwiększało jej urazę.

Brandtowie byli mieszczanami z pochodzenia, ale chwalić Boga rodzina zawsze posiadała majątek, synowie żonaci byli dobrymi obywatelami, a żony dobrymi gospodyniami. Czego brakło Ani? Była bogata, niewątpliwie dobrze ułożona, ale nie mogła przystosować się do nich, bo była ulana z innego kruszcu.

Przedewszystkiem niepraktyczna. Nie obliczała służby, polegała najczęściej na kucharce, nie brała udziału w kłopotach męża i nosiła kolorową bieliznę.

Ach, im dłużej stara pani Brandt rozmyślała w ci-

szy samotnych wieczorów, pogrążona w otchłani pluszowego fotelu, jedyne go który zachowano ze starego garnituru, tem więcej miała synowej do zarzucenia.

Była obca duchowi ich rodziny. Po urodzeniu Janki wolała poddać się operacji niż ulec prośbie Wiktorra, który pragnął syna. Prawda, że przy urodzeniu Janki była bardzo chora, ale to nie powód, żeby raz na zawsze uchylić się od swych obowiązków. Kiedy operowano synową, mimo, że drżała wraz z innymi, miała skrytą, haniebną myśl, której się wstydziła, żeby Ania za swą lekkomyślność została ukarana.

Jedyną pracą jej było haftowanie na jedwabiu i wszędzie znajdowało się mnóstwo niedokończonych poduszek. Psuła więcej jedwabiu niż zdołała wyhaftować.

Suche, starcze dłonie pani Brandt zaciskały się. Nie znosiła wkońcu wszystkich błękitnych, złocistych markiz, które rozpościerały na czarnym jedwabiu podrysowane szeroko, nieukończone krynoliny...

Kiedy synowa zachowała swoje usposobienie po urodzeniu dziecka, ona sama zaczęła zajmować się wnuczką. Bo Ania schodziła z małą przed dom i nagle, zacząwszy z kimś rozmowę przestawała myśleć o jej istnieniu i Janka cdnajdywała się wkońcu w ogrodzie, na ulicy, lub nawet w młynie wśród warczących maszyn.

Nie ulegało wątpliwości, że Wiktor pokochał Anię. Pani Brandt odczuwała niekiedy o to nieuzasadnioną urazę do niego. Ale czy był szczęśliwy i jeżeli nawet był, czy mógł nim zostać długo?

Powiedziawszy dobranoc Jance, starsza pani

Brandt szła wcześniej do swego pokoju na piętrze. Ale nie kładła się spać, choć codzień wstawała o szóstej. Szydełkowała staroświeckie ząbki, oglądała fotografie swoich dzieci, myślała o nich bliskich i dalekich. Oplakiwała rzadkimi, bolesnymi łzami nietyle już tych, których kochało serce w pięknych dniach kwitnienia, ale gorzką, samotną, wzgardzoną starość ludzką.

Myślała z trwogą o tem, co się stanie z Janką, kiedy ona umrze. Jakdyby Janka nie miała już nikogo na świecie. Ale czyż można było polegać na jej matce?

Po ostatniem zdarzeniu straciła do niej zupełnie zaufanie. Ania zapragnęła być dobroczynną. Bardzo pięknie. Oddawna wszystkie Brandtowe poświęcały wolne chwile filantropji. W Staszewie było jedno stowarzyszenie pań Św. Wincentego a Paulo, do którego należały przedstawicielki najlepszych rodzin, ponieważ jak wiadomo filantropję uprawiają wyłącznie dobre rodziny. Starsza pani Brandt była od lat członkinią stowarzyszenia. Młoda natomiast po dwóch posiedzeniach orzekła zaraz, że to straszne piły. Wyznaczają zapomogę jednej osobie, czy rodzinie protegowanej przez którąś ze znaczniejszych osób, potem natychmiast zaczynają rozmawiać o potrawach, marynatach, owocowych winach, albo robótkach.

— Kwoki, głupie, zarozumiałe, małomiasteczkowe, nieciekawe, nieeleganckie, złośliwe, fałszywie czułe — wszystko to skonstatowała pani Ania jednym tchem i postanowiła natychmiast nie bywać na posiedzeniach a uprawiać filantropję w inny sposób. Kiedy



opowiedziała to mężowi w obecności teściowej, pani Brandt wpiła w nią szare, wyblakłe oczy i spytała ironicznie:

— W jaki? —

— W skuteczniejszy — odpowiedziała Ania zaurumięniwszy się, bo odczuła ironję.

— Eh — mruknął Wiktor bez chęci do dyskusji, a teściowa uważnie wpatrzyła się w cienką porcelaną talerza, postanawiając oczekiwać nowego systemu filantropji. Przeżywała później cichy, złośliwy tryumf, że synowa nie wprowadziła żadnego. Pomijając to, co najczęściej malowała wyobraźnia pani Brandt, że Janka może po jej śmierci, mimo czułości Ani zostać zaniedbana i zachorować, istniała inna, bolesna pewność, że Janka nie zostanie wychowana w dobrym duchu rodziny Brandt, że odziedziczy raczej upór Jerzmannowskich i ich słabość do śmiałych słów... Stara pani Brandt znała życie, przewidziała, że synowa zawsze już pozostanie niezaradna i niepraktyczna, tak, jak przewidziała inne cechy, których dziedzictwo przekazano Jance.

Pani Ania zauważyła oddawna, że w miasteczku było bardzo dużo dzieci. Za dużo zabawnych niemowląt w przedpotopowych wózkach, za dużo bosych chłopaków, łobuzów w wyrośniętych kurtkach, pucłowatych wyrostków z pomadowanymi czuprynami, którzy zgłaszali się wszędzie na uczniów.

Zauważyli to także inni. Dlatego nie tylko w miasteczku, ale na całym świecie nastąpiły zmiany. Z sennej ciszy radowania się porami roku obudziła Stasze-

wo wojna. Zabrała się wreszcie do tego, żeby zmniejszyć ilość chłopaków w miasteczku. Czyste ściany domów oblepiły się czarnymi, tłustymi wykrzyknikami plakatów o poborze, pożyczkach wojennych, obowiązkach obywatelskich pożądanym i koniecznym. O nagrodzie śmierci w obcym, dalekiem polu tymczasem jeszcze nie mówiono. Nigdy nie śpiewało tak głośno Staszewo i nigdy jego mieszkańcy nie słyszeli tyle muzyki jak w tych niezwykłych czasach. Im głośniej radowały się trąby, tem trwoźniej, ciszej drżały serca staszewskich ludzi, kto przygotuje w porę zapasy, komu danem będzie je spożyć.

Nie było nikogo, kto uchylił się od obowiązków, do których wzywały plakaty. Poszedł i młody dyrektor Brandt w mundurze podporucznika, ale już po trzech miesiącach pokazał się znów w miasteczku z ręką na temblaku. Ręka, na szczęście prawa, oddała mu wtedy największą w życiu przysługę, przestała dokładnie władać po postrzale i został w domu.

Miasteczko i okolice to pustoszało, to zaludniało się ruchliwą szarzyzną żołnierską. Ludzie zmieniali się nieustannie. Obcy napływali, a stali mieszkańcy wynosili się do większych siedzib, inni znów szli nie dobrowolnie na front, albo roboty przymusowe do westfalskich kopalni.

Brandtowskie młyny szły i stawały naprzemian, aż wreszcie stały zupełnie, bo konfiskowano im cokolwiek zmeły. Wszystko stanęło i każdy czekał w naprężeniu, przetrwa, czy nie.

Wrzało i kłębiło się w zmaconym kotle wypadków i nic już nie podlegało prawom dawnego, codziennego

życia. Bogaci stali się średniakami, biedacy, jeżeli wyżyli, zostali po dawnemu, bo prócz życia nic do stracenia nie mieli. Z dawnych średniaków natomiast wyrosli nowi bogacze, często w tajemniczy sposób.

Nowe już były między ludźmi tematy rozmów. Oplakiwano swoich zabitych i zaginionych, szukano razem ich nazwisk w listach, wymyślano cudowne wypadki powrotu.

Nocą budziły ludzi krzyki matki Bunka Reglewskiego, która od czasu jak jej Bunka ostatniego zabito, ogłupiała od boleści latała nad jeziorem i wołała po nocach:

— Ratunku! —

We dnie dzwoniły nowe dzwony kościelne o cieniem, wysokiem brzmieniu (dawne zabrano do przetopienia) na częste pogrzeby. Bo ludzie umierali więcej niż dawniej, a najwięcej dzieci do złej strawy nie nawykłe.

Przypomnieli sobie wtedy starzy, że jest dzień sądu pisany, kiedy przyjdą wojny, pożary, choroby, głód i śmierć dzieci — więc i teraz czekać go należy.

Ale nie przyszedł jeszcze.

Kiedy pomorskie miasteczko dobrze się swoich chłopaków wyzbyło, kiedy już dość wymarło dzieciaków: starych, którzy biedy, czy zgrozy wytrzymać nie mogli, przyszli widać dalecy, niedosiężni do wniosku, że dosyć wojny. Skończyła się. I z całej niedoli wyłoniło się nagle coś pomyślnego. Nastąpiła Polska. Okazało się teraz, że wszyscy o tem oddawna myśleli i pragnęli tego zawsze, tylko wielu nigdy tych pra-

gnień nie miało sposobu wykazać i teraz dopiero powitali spełnienie z radością.

## CZEŚĆ II.

Jesienią nastąpiła Polska, ale dopiero kiedy minęła po niej zima, wiosna i po lecie za płotami ogródków pokazały się jesienne kwiaty, białe, różowe i liljowe astry cmentarne i sztywne, boleściwe chryzantemy, zaczęto zapominać o latach wojny w Staszewie i w taki ciepły dzień umierającego lata, wspomniano znów dawne sprawy, które wzruszały serce w dobrych, przedwojennych czasach.

Stara Nastowa, najlepsza przyjaciółka Jeziorowskiej wyruszyła w to ciepłe, pogodne popołudnie do swojej synowej Brysi, żony najmłodszego Edmonda. Brysia spodziewała się za tydzień, dwa. Niegdyś przyjaźniły się obie mocno z Trudą, ale teraz mniej już tej przyjaźni było, bo dole ich odmieniły się mocno. Brysia rok w rok po ślubie przybywało dzieci, a ubywało zarobku męża, a Truda ciągle jeszcze miała jedynaka i choć jej, jak wszystkim przepadły pieniądze na szparkasie, zawsze jeszcze zarabiał niezgorzej jej mąż i wiodło im się dobrze.

Zniekształcona i wielka siedziała Brysia na niskiej ławeczce przed domem i szyła jaczkę dla przyszłego dziecka. Rzeźnikowa Kowalska i jej siostra Rosiakowa opowiadały dokładnie, jak to każda z nich zległa. Wtedy nadeszła teściowa. Córeczka Brysi Jo-

asia wyniosła jej z izby stółek i przycupnęła obok w piasku.

— Gcrąc — westchnęła stara Nastowa.

— Oj gorąc — potwierdziła Bryśia — choć już wrzesień. Żle na taki czas rodzić. Zawsze z cztery dni leżeć przyjdzie. Żeby to przynajmniej chłopak był.

— Mówiłam, że chłopak będzie — rzekła surowo teściowa i zwróciła się do kobiet. — Kiedy powiedziała, że się spodziewa, zajrzałam pod łóżko, patrząc, kłos leży. Będzie chłopak. Kłos na chłopaka, listek na dziewczuchę. —

Jasnia tymczasem wstała w swojej czerwonej sukieneczynie zawalanej piaskiem.

— Snyptuch zgubisz — krzyknęła za nią matka, bo z kieszeni sukienki wyglądało coś białego. Potem westchnęła nagle.

— Po niej do Ludwika więcej jak dwa lata przeszło, a po Ludwiku zarazem znowu zasza. —

— Na przyjaciółkę lepiejbyś się zapatrzyła — rzekła złośliwie teściowa — Truda jednego tylko ma, co mu już na siódmy rok idzie. —

— Prawda to, co ludzie gadali wtedy? — spytała gruba jak piec, czerwona na twarzy Kowalska. W starą Nastową nowe życie wstąpiło.

— Pewnie, że prawda. A skąd posag dostała? Kaliński cichy chłop. Chleb swój ma, żone wzion, ona tera nie iata to sza...

— Jakby to na mnie przyszło, żebym chłopem była jak Kaliński, to nigdybym takiej dziewczyny z cukdzym bachorem nie wzięła. Co mi tam za mus?—

powiedziała Brysia zaczerwieniona z uniesienia i żalu, jak to niektórym dobrze się wiedzie w życiu.

— Ale — odrzuciła Nastowa. — Niepierwszy on. A czy mus był też niewiadomo, przecie się dawno z Trudą żenić chciał. Jeziorówka powiadała.

— A może nie wiedział? — Śmiechy głośne i ciche, piskliwe i grube zabrzęczały w gromadce. Drgały ciężkie ciała grubych bab, zęby połyskiwały dra pieżnie.

— Nie wiedział, zaś tam...

— Jeziorowskim dobrze — zaczęła Rosiakowa nownie — córkę zamąż wydali, a chłopak w gimnazji za dwa lata fertig będzie.

— Wielkie państwo, na doktora go uczą czy co — rzekła gniewnie Kowalska — do Pelpina na księdza miał iść, to nie chciał. No, jak tyle pieniędzy mają...

— Zawsze takim najlepiej, co się wszędzie pchają. Porządny człowiek, co cicho na swoim siedzi do niczego nie dojdzie...

Gadały jeszcze do zmroku przycupnięte na wąskiej ławeczce, obmyśliły dla Brysi akuszerkę, że to zawsze tak ciężko rodziła. Obmówiły Zielińską, której mąż pił a ona za listonoszem latała, wspomniały jak się w zeszłym tygodniu szewc upił i żonę z łóżka do sieni wyrzucił, że z krzyków jej Brysi mało bóle nie chwyciły, aż nagle zamilkły wszystkie jak nożem uciął.

Po piaszczystej drodze szła młoda kobieta w granatowej sukni, powiewna, lekka nieznaną elegancją. Jasne włosy układały się pod kapeluszem w fale jak w żurnalu. Za nią mała dziewczynka z wielką różową kokardą we włosach goniła koło. Kobiety w milczeniu

wpatrzyły się w nie. Dopiero stara Nastowa powiedziała: — Brandty wróciły. —

To był prawdziwy koniec wojny. Teraz czuło się, że świat wraca do normy.

Kowalska rzekła jeszcze:

— Tej ich małej Janina. Jaka już duża, a dopiero jakby jeich ślub był i ona taka młoda.

— Wiadomo — rzekła Brysia z goryczą — nie narobi się ona...

I kiedy postacie matki i córki zniknęły już dawno, one jeszcze patrzyły w ślady, które na piasku narysowało koło

W marynarkach wypchanych na łokciu, w aksamiotnych spodniach z kwadratowymi łatami, w stukających klumpach, urządzają chłopcy wyścig pełną drogą. Po zamrożonej twardo ziemi stukają drewniane podeszwy. Głosy w mroźnym powietrzu dzwonią jak dzwonki u sanek. Aż urywa się miarowy, drobny tupot, w nagłym zderzeniu dwóch szybkobiegaczy skłębia się na zeszywniałej w tafli lodu kałuży. Fronczaków Władek i Brunek Kaliński. Kto komu podstaawił nogę? Usta zaciskają się gniewnie, nagie, sine pięści machają: choliro. Nogę stawia, wisz go!

Nosy czerwone jak buraki, czerwone powieki i wilgoć w nosie. Władek chlipie. Brunek już się dźwignął zamarznięty i zły i uderza rękami po bokach, a Władek ciągle jeszcze beczy wyciągnięty i rozmazuje łyżę na gębie. Chłopaki nawróciły. Ale Władek ani rusz, wrzeszczy, że go boli i furt leży na zmarzłej ziemi.

Brunek z gołą głową wymyślał, bo gdzieś czapkę



zapodzieli i wstrzymywał łyzy, bo się już Władkowej mamy bojał.

Jakoż doszły do domów prędko krzyki chłopaków i władcowy bek, bo niedługo nadbiegły kobiety wprost od garnków czerwone i złe. Fronczakowa czarna, chuda i niska, pierwsza swego dopadła.

— Cóż se zrobił? — wrzasnęła, tarmosząc go.

— Gdzie to latasz luntrusie? —

— Nogę mi przetrącił — ryczał Władek — boli,—

— Kto przetrącił? — krzyknęła matka. Władek zachlipany z oczyma jak królik niemo wskazał na Brunka. A Brunka łyzy zdławiły, nie gadał tylko stał i palce gryzł. Matka własna wzięła go sama w obronę.

— Chłopaki, nygusy, jak to się bawią głupio — chciała ułagodzić.

— Widzisz ci, bawią, nogę połamał chłopakowi, albo co, a ona, bawią... — dźwigała Władka. Truda z wezbranego gniewu sypnęła jej garść niewyraźnych słów i szarpnęła Brunka za rękaw:

— Pódź, — ale Fronczakowa nie darowała swego:

— A idź psiawiaro, idź derektorski bachorze, wiesz gdzie twój tata? Sam pan derektor. Ale ja swego nie daruję. Do szkoły pódę, niech go tam skarżą zabijankę tego. —

Już ją same kobity odciągały i pomagały dźwigać Władka, Kalińska szcerwieniona jak krew wymyślała głośno o sędzie i sprawie za obrazę. Szły równolegle każda ze swoim dzieckiem i wrzaski ich jak noże przecinały białe zimowe powietrze. W gniewie i krzyku prawie o Brunku zapomnieli wszyscy, a on czerwono-

ny ze strachu, siny z zimna zalął się jakoś i nie mówił słowa. Milcząc szedł z zasapaną matką i dopiero przy samym domu beknął znienacka głośno, przeraźliwie, że go matka niczem uspokoić nie mogła, aż zagniewana krzyknęła: Cichaj! — i Brunek z mokremi powiekami, z kulkami łez na policzkach, zamilkł jak nożem uciął.

Kiedy „wczoraj“ jeszcze nic nie znaczy, a wszystko ma dopiero nastąpić „jutro“, ma się czternaście lat. Minione dni leżą w odmęcie wspomnień nieważne. porzucone bezładnie jak związany snop. O przeszłości opowiada się olbrzymimi skrótami: Miałam babkę, kochała mnie bardzo, chodziłam do szkoły, mieszkaliśmy w małym miasteczku...

Ważne jest tylko to, co jest dziś, bo dziś przygotowuje na jutro wspaniałe, bogate w spostrzeżenia i przygody. Każdy człowiek „musi“ mieć przygody.

Tylko przygody mają znaczenie na świecie, dlatego książki historyczne są równie ciekawe jak współczesne, ciekawsze, bo skupiają tyle zdarzeń, ile chyba niema już nigdzie dziś. O tem, co się dzieje na świecie dziś mówi się zawsze najmniej, jakgdyby myśl uciekała chętnie tylko w minione czasy.

Ale mimo to Janka Brandt wie, że dziś jest ciekawe, przeczuwa, lub może dowiedziała się o tem. W każdej wolnej chwili rozmyśla jak jest na świecie, jak żyją ważni, wielcy ludzie. Chciałaby wiedzieć wszystko. Ciekawość jest najwyższym przejawem jej istoty.

W zeszytcie z wydartą kartką, na której było prze-

kreślone, źle rozwiązane zadanie pisze się wieczorem, albo w ciągu dnia, kiedy między niezliczonymi zajęciami zjawia się nagle otchłań, wrazenia i myśli.

Kartki zeszytu zasiewa się niekiedy w ciągu dni gęstym, niewprawnym niebieskim maczkiem to znów miesiącami bieleją beużytecznie w mrokach szuflady. Czasem ginie cały zeszyt. Zapomina się o nim.

Co rok latem zmieniają się nazwy miejscowości pobytu. To są góry i wtedy nosi się spodnie, swetry, ciupagi, to znów kwieciste parki i starannie utrzymane drogi kuracyjnej miejscowości, wtedy bierze się kąpiele w wodzie pełnej maleńkich banieczek gazu, zaprawnej ciemną zielenią wonnego jak cały las sosen ekstraktu igliwia, to znów nad najcudowniejszym sypkim, bielutkim piaskiem morskim wolno czasem zsunąć kąpielowe pantofle i chodzić bosy, naprawdę bosy.

Jeżeli wtedy wieczorem pozostawało się samej, na najróżniejszych stołach, w świetle wielu lampek bywały zapisywane kartki niebieskiego zeszytu w kratkę.

---

#### *Notatnik Janki.*

W Staszewie nigdy nie mam przyjaciółki. Mama zawsze uważa, że wszystkie dziewczynki są małomiasteczkowe i nieodpowiednie dla mnie. Kiedy przychodzą, widzę, że śmieszą mamę i wolę już, żeby wcale nie przychodziły, choć nudzę się wtedy. Kiedy zaczynam pisać, chciałabym zawsze napisać najważniejsze, to, co się zdarzyło, a tymczasem trze-

ba zawsze wyjaśnić wtedy sobie samemu, dlaczego to się stało. Chciałam napisać, że poznałam wczoraj Stefcię Jaworską tu, w Orłowie i bardzo mi się spodobała. Ma już piętnaście lat, jest prawie pół roku starsza odemnie, ale umie o wiele więcej, nawet czytała więcej. Zdaje się, że jesteśmy podobnego usposobienia. Stefa mówi, że interesuje się książkami, ale takimi z prawdziwego życia, które nie piszą tylko o miłości i sensacjach. Stefę też nudzą historie o mężczyznach, naturalnie takie romansowe. Ale ja uważam, że w życiu dobrze być z chłopcami, bo są odważniejsi, szczerzy i nie udawają. Stefa nie podziela tego zdania. Ona też uważa, że powinno się żyć dla dobra ludzkości, a takie życie, jakie prowadzą nasze matki jest bezcelowe. Stefa mówi bardzo źle o swojej mamie. Nie wiem dlaczego. Ja już przyzwyczałam się, że moja mama często wychodzi bezemnie bawić się. Stefa uważa, że to bardzo źle. Ona postara się dla nas o odpowiednie książki. Uważa, że powinnyśmy je czytać w tajemnicy, bo takie książki bywają zabronione. Nie rozumiem dlaczego. Zdaje się, że tak było kiedyś. Powiedziałam Stefie, że to już minęło. Zresztą, że tych książek wcale nie mamy i nie wiemy skąd je wziąć. Ale samo to, że mogę z kimś mówić o tem, uszczęśliwia mnie.

Mama zauważyła już, że przyjaźnię się ze Stefą. Powiedziała zaraz: — „Ona nie jest ładna, taka czarna i żółtawa, ale jest miła“. Strasznie mnie to gniewało. Byłam wściekła na mamę. Dla niej najważniejsze czy ktoś jest ładny, to określa jego miejsce na świecie. Nie odpowiedziałam nic, ale potem kiedy

mama powiedziała o Stefie, że jest trochę postrzelona, zapytałam, czy dlatego, że myśli o poważnych rzeczach? Mama zdziwiła się i roześmiała.

Chodzimy razem ze Stefą nad morze. Jestem szczęśliwa, że jesteśmy tu w tym zacisznym Orłowie. Jest całe niebieskie i białe. Woda morska jest w pogodne dni błękitna, a piasek i wille są białe. Chodzimy często daleko wzdłuż brzegu po tym piasku boso i rozmawiamy o wszystkim. Jeżeli mama wychodzi wieczorem to jeszcze spacerujemy na łące. Rumianek i koniczyna pachną tu jeszcze ładniej niż w Staszewie. Stefa nie ma pojęcia jak się nazywają zboża i rośliny. Ona mówi, że w mieście nie można się tego nauczyć, bo tam strasznie mało zieleni, a szkolna nauka zaraz wylatuje z głowy. Mama wcale nie ma racji, że Stefa jest brzydka. Jest wysoka i chuda, ma ładne piwne oczy. Może tylko naprawdę jest żółtawa i czarna. Wszystko jedno, podoba mi się najlepiej ze wszystkich dziewcząt, jakie znam i cieszę się, że mama przebywa tak dużo z panią Jaworską.

Podziwiam Stefę. Ona mówi, że mogłaby siedzieć w więzieniu za swoje poglądy. Doprawdy ja myślałam, że teraz ludzie już nie bywają za takie sprawy wtrącani do więzienia. Stefa mówi, że kiedy poznamy się bliżej, opowie mi jeszcze bardzo wiele. Przysięgałam, że nie zdradzę jej zaufania, ale ona nie chciała. Postanowiłam wypisać szpilką na ramieniu literę „t” — tajemnica. Słyszałam, że dawniej dziewczęta robiły to scyzorykiem, ale ogarnia mnie obrzydzenie na samą myśl. Boję się krwi tak samo, jak bałabym

się więzienia, chociaż dziś już niema wilgotnych lochów ze szczurami.

Stefa powiada, że bywają i lochy i szczury i wiele okropności. Wierzę jej, ale sama nie wiem, mnie się zdaje, że to nie może być prawda.

Zresztą samo więzienie wystarczy. Nie móc w każdej chwili zrobić co się chce, wyjść na ulicę. Chociaż mówiliśmy o tem w słońcu, na gorącym piasku, zrobiło mi się tak jakby świat pociemniał. Dlaczego istnieją takie okropności?

Stefa jest bardzo mądra. Dawniej marzyłam o takim życiu na pensji, jakie zna się z książek. Tymczasem Stefa mówi, że to są książki tylko dla dziewcząt, które nie mają żadnych trosk i nic ich nie obchodzi na całym świecie. Myślą tylko jak spłatać figla nauczycielce, albo w najlepszym razie pomysłowo przystroić swój pokój. Dziwne. Kiedy ona tak mówiłam uważałam, że to prawda, bo i mnie czasem uderzała małość tych spraw, które interesują takie „pensjonarki” w książkach, chociaż zawsze zachwycałam się nimi. Teraz myślę o tem ciągle.

Ale z wielu rzeczami jest tak, jak z temi morskimi rybami, które nazywają się flądry. Leży sobie ryba bielutka, delikatna, a przewracasz ją na drugą stronę, masz brunatną, szorstką skorupę. Tylko skąd Stefa to wszystko wie?

Moja mama posprzeczała się o coś z matką Stefy. Nie wiem o co, ale widzę, że tak jest. Mamie nie podoba się już pani Jaworska i kłaniają się sobie tylko zdaleka. Powiedziałam o tem Stefie, bo postanowiłam nie mieć przed nią żadnych tajemnic. Powiedziałam

Stefie, żebyśmy pomimo to przysięgły sobie przyjaźń na zawsze, ale Stefa wyśmiała mnie, że to dziecinne i książkowe.

Wiem, że jestem głuptas, bo znam wszystko tylko z książek, ale było mi strasznie przykro kiedy Stefa tak się śmiała. Siedziałam cicho, bo myślałam, że się rozbeczę, ale Stefa przeprosiła mnie za swój śmiech, powiedziała, że jest pewna, że oduczę się tego i że ona z nikim nie przyjaźni się tak jak ze mną.

Byłam wtedy bardzo szczęśliwa. Stefa dała mi dowód swego zaufania i opowiedziała mi o swoim ojcu. Jest urzędnikiem, a Stefa go bardzo kocha. Teraz on ma jakieś nieprzyjemności i dlatego siedzą tu tak długo. Stefa powiada, że cierpi za swoje przekonania. Nie wiem za jakie i nie rozumiem tego, ale to, że Stefa powierzyła mi coś, co uważa za tajemnicę, to dosyć.

---

Stefa wyjechała rano ze swoją matką zupełnie niespodzianie.

Miękką rozlewność zwierzeń przeciął nóż przeżycia. Zeszyt leżał porzucony w szufladzie jak przykre wspomnienie. Przez samotne dni wieczory postać Stefy nabrała blasku dalekich, ukochanych.

Gdzieś po świecie snuła się nieujawniona wybawicielka ludzkości, najprawdziwsza własna przyjaciółka, tajemniczo wydarta z jej życia.

Jeszcze jedno przeżycie zdarzyło się w Orłowie, ale Janka nie znalazła już dla niego słów.

Któregoś popołudnia leżały obie z matką na gorącym piasku ze słomkowymi kapeluszami nasuniętymi

na oczy, kiedy padły na nie dwa długie cienie przechodzących wyżej ludzi. Doszły je wyraźnie wtedy słowa jakieś zmięte, zagniewane:

— Tym to żyć nie umierać. Brakuje to im co? —

Janka zerwała się i oczyma oślepieniami od gorących blasków napróżno usiłowała dojrzeć kto wyrzucił te słowa. Widziała już tylko zdaleka ciemne zarysy ich pleców. Mogli to być robotnicy z nowej budowl, lub inni. Jedno było pewne, to, co mówili oznaczało je obie, nie, wszystkich tych, którzy przyjeżdżali tu na odpoczynek, kąpać się i opalać. I chociaż zdawało jej się, że odpoczynek bywa dobrze zasłużony, słowa jak cierń wbiły się w myśli, zabołały, zatargnęły, a kiedy nie było zwierzyć komu, przypomniał się niebieski zeszyt.

Ale nie umiała ich ująć w słowa. Zaczerniła się tylko bezradna, niedokończona, czarna linijka:

„Dlaczego nam jest tak dobrze?“

Wyrazy nie przychodziły z pomocą, zwierzenie zostało niedokończone, ale ilekroć później Janka czytała stary zeszyt, pamiętała dokładnie, co nasunęło te słowa.

Po powrocie do domu Janka poddała surowej rewizji domową biblioteczkę. Które książki były z tych, o których myślała Stefa? Żadna. Ale każda nowa wydawała się odtąd kryć za zasłoną okładki tajemnicę leku na bóle świata.

Kiedy poszczególne kartki zaginionego niebieskiego zeszytu zostały oddawna zużyte w kuchni do zawijania szarego mydła, nastąpił zeszyt zielony. Był to rok, w którym Janka Brandt dostała pierwszą nową



suknię, ochrzczonej mianem wizytowej. Jesienią Broniek Kaliński powędrował z powszechnej do „gimnazji”. Bieg lat zaznaczał się zmianami w życiu dzieci.

### *Notatki Janki.*

Najważniejszą osobą w mojem dzieciństwie była mama. Panowała wszechwładnie nad mojem uczuciem i wyobraźnią, zwłaszcza wyobraźnią. Takiej „pani” jak moja mama nie było w całym Staszewie. Była nietylko najładniejsza i najładniej ubrana, była inna pod każdym względem.

Jej smutek, jej rzadka radość wszystko było dla mnie tajemnicze. Czyż nie była zaklętą księżną więzioną w małym powiatowym miasteczku? Przykuta do domu z jego codziennymi sprawami, kuchnią, służbą i mojemi fartuszkami. Najdawniej, co już mało pamiętam, wychowywała mnie babka. Mama bywała często chora, a jej choroby były tajemnicze jak w starych powieściach. Tam też leżały blade, eleganckie kobiety i usychały jak kwiaty z niewypowiedzianych żalów.

Tak chorowała mama. Robiła bardzo mało. hodowała trochę kwiatów, haftowała i kochała mnie bardzo. Ja ubóstwiałam ją wtedy, kochałam też ojca i babkę, ale babka wyraźnie nie lubiła mamy i rozbieżność między temi uczuciami była mojem pierwszym wrażeniem.

Dzięki mamie żywiłam do ojca niewytłomaczone uczucia. Posądzałam go o nie dające się nazwać rzeczy. Przypominam sobie to teraz doskonale. Wiedziałam, że ojciec musi być przyczyną, dla której mama

bywała blada i smutna, a nawet chora. Moja mama! Już o wiele później, kiedy nauczyłam się rozumieć wszystko lepiej i sądzić inaczej, postać mamy pozostała jeszcze piękna i tajemnicza. Radość przychodziła do niej w zaklejonych kopertach listów z dalekich miast, a tu u nas, na ślicznym podwórzu z końmi, bryczkami, psami i pstrym, zabawnym drobiem owijał ją welon smutku i żyła jak ptak w klatce, wciąż nanowo raniąc się o jej pręty.

Biedna mama. Została na całe życie zaczarowana w swoim pięknem, wesołym dzieciństwie i gwarnej młodości spędzonej w dużym mieście, tam była, podczas gdy ona sama musiała pozostawać tu przy ojcu i przy mnie i najpróżno jej miłość do mnie, czy też do nas, bo może kochała i ojca, walczyła z temi wspomnieniami, które posiadały jej serce na zawsze.

Dzięki mamie na szczęście moje dzieciństwo nie było tak radosne, żebym nigdy nie mogła rozstać się z jego czarem jak ona. Ale sprawiedliwsza dla ojca stałam się dopiero niedawno.

Oprócz jednej, jedynej Stefy Jaworskiej w Orłowie podczas wakacji, nie miałam nigdy przyjaciółki, a nawet koleżanki. Przedewszystkiem dlatego, że nie chodziłam do szkoły, tylko miałam domowe nauczycielki.

W domu bywały naturalnie dziewczynki, dzieci znajomych, ale po ich odejściu najczęściej mama śmiała się z nich, bez złośliwości, ale z jakimś lekceważeniem. Kiedy je krytykowała, sama odczuwałam ich braki. Opowiadały tylko plotki domowe, czytały

głupie romansidła i nie myślały o tem, co zrobią kiedy dorosną.

Dla mnie to było najważniejsze. Najpiękniejszy czas wieczorem przed zaśnięciem spędzałam zawsze na rozmyślaniach o tem. One lubiły mówić o chłopcach.

Ja nie znałam żadnych. Przynajmniej do czternastu lat nie mówiłam chyba z żadnym.

Ci, których widywałam na ulicy w naszym miasteczku to byli łobuzy, zawsze gotowi ukradkiem rzucić za mną kamień, lub kulę śniegu, albo latem kolczaste, lepkie kulki, jeżeli nikt nie szedł ze mną.

Nie, jeden raz mówiłam z chłopcem, przypomniałam to sobie w tej chwili. Mogłam mieć wtedy jedenaście lat i czytywałam same opowiadania z życia pensjonarek. Czytałam je i myślałam ich językiem. Pałałam pragnieniem przemówienia tak, jak Ania z Zielonego Wzgórza: Czy chcesz być moją przyjaciółką?

Wymawiałam te słowa z niepojętą rozkoszą, powtarzałam je wieczorem w łóżku, były piękne jak wiersze. Ale nie miałam ich do kogo powiedzieć.

Przez cały dzień przesiadywałam wtedy w waznywnym ogrodzie (rozumie się, jeżeli nie byłam na młynie). Ogród był bardzo zaniedbany, miał masę wysokiego zielska, był dziki, jak żądała tego większość znanych mi powieści.

Wdrapywałam się zawsze do połowy na płot i patrzyłam na polną drogę. Tego dnia miałam na szyi korale. Przechyliłam się jakoś, zahaczyłam koralami o kolczasty drut i trrach. Wszystkie białe kulki leżały

po przeciwnej stronie płotu w trawie. Kiedy stałam bezradnie i nie miałam pojęcia jak je dostać, nawinął się syn naszego dozorca.

Znałam go doskonale, bo przychodził często do swojego ojca i zawsze gapił się naokoło. Poprosiłam zaraz żeby podniósł mi korale.

Podszedł nic nie mówiąc i zaczął je zbierać. Spytałam go dokąd idzie. Odpowiedział, że na świńskim targu jest karuzela i „cyrkus“. Nie widziałam nigdy karuzeli. Opowiedział mi, że tam jeżdżą konie i karety złote, wybite czerwonym aksamitem. Nie mówił tak bardzo dżalektem jak tutaj wszyscy, tylko zamiast aksamitne, powiedział „aksamitowe“.

Nie chciałam wierzyć, że tam na świńskim rynku mogą być takie cuda, wtedy on powiedział. — Przecie może iść zobaczyć. — Tak paradnie. Zapewniał, że tam są huštawki, które huštają na wysokość dachu. Żałowałam niezmiernie, że nie mogłam pójść przekonąć się o tem.

Pomyślałam, że byłoby dobrze zaprzyjaźnić się nawet z nim. Kiedy miałam już wszystkie korale w rękę powiedziałam prędko, zanim wstał z czworaków. — Czy chcesz być moją przyjaciółką?

Zupełnie niespodzianie odparł zgryźliwie językiem, jakim mówili tutaj „ludzie“, nie państwo. — Ja ta ni mam czasu — i poleciał.

Chciałam pisać właściwie o swojej terażniejszości, o tem co robię i zamierzam, ale odruchowo musiałam się zastanowić, co się ze mną działo dotychczas. Przypominam sobie teraz coraz nowe szcze-

góły i nie mogę się powstrzymać od chęci zanotowania ich. Naprzykład bardzo długo marzyłam o zamążpójściu. W miasteczku wszystkie dziewczynki marzyły zresztą o tem. Ślub był taki ważny i piękny. Kościół bywał wtedy ustrojony. Nosiło się powłóczysty welon i białą suknię. Naokoło nie było człowieka, któryby się tem nie interesował.

Mąż naturalnie był koniecznym dodatkiem do tych wszystkich ceremonji, bez niego nic nie mogło się dziać.

Powinien być bardzo elegancki, wysoki, brunet, mniejwięcej jak ojciec, tylko oczywiście młody. Mój na imię powinien mieć Anatol, a nazwisko koniecznie podwójne, coś w rodzaju jak Wieniawa Długoszewski, lub Rydz Śmigły, co brzmiało prawdziwie wytwornie.

Moje nazwisko było proste i brzydkie, imiona również mało pomysłowe.

Ach, jakże pragnęłam wtedy nazywać się Oleńka, albo Bożenna. Jak doskonale pamiętam to wszystko, nawet tego czarnego, wysokiego Rydza Śmigłego, któremu w myśli ciągle zmieniałam twarz, bo nie wiedziałam na jaką się zdecydować. Teraz naturalnie oddawna nie myślę o takich głupstwach.

Uczę się, przechodzę kurs szóstej klasy, a za dwa tygodnie pojedę z mamą do Warszawy do babki. Strasznie się z tego cieszę.

---

Chłopcy rzadziej niż dziewczęta piszą dzienniki. Nie przywiązują wagi do tego, co przeżywają. Prędzej zapominają o niezrozumiałych, doniosłych zda-



rzeniach, które niespodzianie budzą z jednostajności życia.

Wyobraźnia nie tworzy wyolbrzymionych cieni tych zdarzeń jak w snach dziewczęcych.

W letnią, ciepłą noc, Broniek Kaliński stróżuje w budce przed młynem. Ojciec jest chory. Późno wieczorem zmienił go Broniek na nocną „szychtę“.

Kiedy jasno, wstyd — gimnazjasta. Nocą nie dojrzy nikt, po szóstej zrana zmiana.

Oczy się kleją. Kiedy się ma piętnaście lat trudno czuć, nawet w czerwcową noc.

Broniek opiera się o sąsiedni płot. Ziemia pachnie, lato pachnie i zieleń.

W dzień miasteczko szumiało jak ul. Pracowitość kwitnących drzew i pól udziela się ludziom. W szklanych słojach, w ciemnym, lepkim soku na oknie czerwienieją wiśnie, czernieją jagody, w złotej patoce syropu jarzą się wielkie renklody, zamknięty w pustych butelkach blaknie zielony agrest, brzuchate gąsiory pęcznieją „klarownem“ winem.

Ludzie zrywają owoc, przygotowują zapasy, wciągają nowe butelki, słoje, gąsiory. Więcej niż mogą spożyć, więcej niż można przechować. Nawet noc nie śpi.

Za płotem coś szeleści, szemrze, pomyka chybami, przyciszonymi krokami. Drapieżna, zgłodniała ręka wrywa z czarnej, wilgotnej ziemi młode, różowe kartofle i cienką, smukłą marchew.

Kiedy znużonych ze snu obudzi szczekanie psów, odgłosy ucieczki i przerażenie: może to moje kradną, jest już cicho.

Kiedy wyskoczą nieubrani, wściekli w nocnym

chłodzie, wśród zroszonych traw, które uderzają po nogach mokreми liściami, na polu będą czarne, rozkopane w pośpiechu zagony, pogubione w ucieczce, rozsypane perły kartofli i wiotka, niedojrzała marchew splątana w koronkowych liściach. One znaczą ślady nocnych gości.

Sprawiedliwa ziemia rozgarnięta głodnymi rękami nie wyda przestępcy. Nie wyda go też czarny, przytulony do płotu cień, choć serce bije jak dzwon.

---

### *Notatki Janki*

Ostatni raz pisałam już przeszło dwa miesiące temu. W międzyczasie byłam z mamą u babki. Myślałam, że poznam tam mnóstwo ciekawych ludzi, ale się zawiodłam.

Mama zachorowała, przeziębila się i przeleżała tydzień. Musiałam prawie ciągle siedzieć w domu. Ale coś ciekawego poznałam jednak. Długie, proste półki z książkami w pokoju wuja Adama.

Samego wuja Adama nie było. Leczył się na ischias w Piszczanach. Nie musiał być ważną osobą w domu. Nie było widać, żeby go gdzieś brakowało i mówiono o nim bardzo mało. O ciotce Wandzie naprzykład mówiono wciąż, choć pół dnia i tak spędzała u babki.

Jedyny raz słyszałam jak mama mówiła z babką o wuju Adamie i wtedy zobaczyłam jego pokój. Mama rozmawiała z babką w progu. Nie było w tym pokoju nic ciekawego. Łóżko, mała szafa, stół, dwa krzesła, jakich nigdy jeszcze nie widziałam, okrągłe, wypla-

tane żółtą trzcina, nagie ściany i książki, same książki na nieskończenie długich półkach wzdłuż ścian.

Pokój był bardzo jasny i słoneczny. Babka po wiedziała do mamy:

— Niestety, nie poznasz go chyba. Przechodził znów zapalenie stawów. Dlatego przeniósł się do tego pokoju, tu najwięcej słońca. —

— To był mój pokój — powiedziała do mnie rozmarzona mama — białoróżowy, ach jaki był śliczny.

Zdobyłam się na odwagę. — Babciu ja nie mam nic do czytania, czy mogę sobie stąd wziąć jakąś książkę? —

— Ach, tu niema nic dla ciebie, same naukowe...

Ale kiedy wyraziłam zgodę na naukową, babcia powiedziała, puszczając moje słowa mimo uszu: — Zresztą są i powieści. Ostatnio tak mało sypiał po nocach i wtedy czytywał wszystko...

Po rozważaniu dostałam nową, ledwie rozciętą książkę. Nazywała się „Król Węgiel”... Babka powiedziała, dając mi ją. — Właściwie to nie jest zupełnie odpowiednie, dotyczy amerykańskich stosunków, ale może cię zajmie. Potem będziesz mogła sobie pożyczać książki od ciotki Wandy. —

Zabrałam się tego samego dnia do czytania i już od pierwszej chwili wydawało mi się, że nikt na świecie nie jest dla mnie tak zrozumiały, jak jej bohater Hal. Podzielałam jego ciekawość, niewiarę i wątpliwości. Tyle podobieństwa słusznie, czy niesłusznie znajdowałam między sobą, a nim.

Ale w dalszym ciągu czytania zaczynałam oburzać się na autora, na Hala, który po swojej wycieczce



w inny świat, wraca, zostawiając wszystko po staremu za sobą. W jednym tylko postanowiłam go naśladować, w jego wycieczce między innych ludzi.

Myślę, że tylko książkowi bohaterowie mogą mieć na mnie wpływ, bo jedynie oni czynią coś ważnego nie tylko dla siebie samych.

Jeżeli ich życie jest choć trochę podobne do naszego, stają się natychmiast przyjaciółmi. Może nie dla wszystkich, dla mnie tak jest.

Wstydzę się teraz pisać o mojej próbie. Zdaje mi się, że była naiwna i nieudana. Ale ktoś mi kiedyś powiedział, że tylko słabi i nieodpowiedzialni ludzie starają się zawsze nie pamiętać o swoich pomyłkach, czy błędach.

Zdaje się, że to jest słuszne, dlatego walczę z pragnieniem ukrycia tej sprawy. Zaproponowałam ojcu, że chcę „pomagać” w młynie. Myślał, że chodzi mi o biuro, potem śmiał się strasznie, ale wreszcie powiedział. — No, idź...

Niespodzianie mama była bardzo dumna z mojego projektu. Nie rozumiałam długo dlaczego, teraz zdaje mi się, że już wiem.

Wyobrażała sobie naiwnie, że w ten sposób rozwiązuje się całe zagadnienie.

Przykre rzeczy pamięta się o wiele lepiej niż miłe. Czuję w tej chwili dokładnie to samo, co wtedy kiedy wkładałam zrana kretonową sukienkę i fartuch podobny do tego, jaki nosiły robotnice.

Ojciec żartował ze mnie ciągle, ale widziałam, że sam uważał to za miły, dobrze świadczący o mojem

myśleniu pomysł. To sprawiało mi przykrość. Wolałabym, żeby ojciec był niezadowolony.

Robotnic w młynie jest bardzo mało. Jedna czasem na całym piętrze. Jedna reparuje worki w składzie. Piętrzą się tam aż do sufitu, szare od pyłu i ona sama przy maszynie wygląda jak szary pająk. Szary fartuch, szara twarz i ręce. Nie lubiłam tam nigdy siedzieć, teraz też nie było tu dla mnie roboty.

Tylko pierwsze piętro jest szare, drugie już białe jak przystoi na młyn.

Umączony robotnik w kapeluszu z rondem. Kapelusze był naturalnie biały i wyglądał dziwacznie, to był jedyny robotnik w takim kapeluszu. „Workował” mąkę. Podstawiał worek pod otwór i napelniał go zsypaną się w drewnianych przewodach mąką. Dwie robotnice obok odbierały napelnione worki i ważyły je, dosypując, lub ujmując.

Ostatnia zaszywała worki i naklejała błękitną etykietę. Postanowiłam pomagać zaszywać i naklejać. Dostałam wielką igłę, sznurek, klej i kartki. Praca wydawała mi się ogromnie łatwa. Umiem szyć, a naklewanie jest przecież zabawką.

Stanełam obok Sęczkowskiej. Kiedy zaczęłam, wszystkie kobiety uśmiechały się i przyglądały mi się. Nie umiałam zająć wygodnej pozycji. Przesuwałam worek na wszystkie strony, aż Sęczkowska powiedziała: — Wedle słupa panienska podejdzie. — Było bardzo cicho, szło się, naklejało i w drewnianych przewodach ze stukiem spadała mąka.

Potem głośno szcękąła waga i przesuwano napelniony worek do zaszcycia. Sęczkowska robiła to

samo co ja. Obliczyłam, że na jej trzy worki przypadał mój jeden. Nie martwiło mnie to. Był przecież dopiero początek, ale od wielkiej iglicy i szorstkości worka bolały mnie palce i po godzinie stania nogi były jak kloce. Ale to nie było najgorsze. Delikatny, cieniutki pył od dzieciństwa tak miły moim oczom, bo przypominał młyn, osiadał drażniąco w oczach i gardle.

O dziesiątej kichałam już jak po proszku. Wtedy Sęczkowska powiedziała: To od mąki, panienka niezwykajna...

— Przejdzie — powiedziałam i było mi bardzo wesoło. Zdawało mi się już, że moja próba przeszła dobrze. Potem w milczeniu szło się do dwunastej.

O dwunastej zawołano mnie do ojca. Był na trzecim piętrze przy przesiewaczach. Spocona, z zaczerwienionymi oczami dostałam się na górę. Moje nogi wlokły niewidzialne ciężary. Kiedy przemknęłam się między plansichtami, zawołał na mnie głos podmylnarza: Panienko, tu tak latać nie można, za włosy złapie...

Przestraszyłam się tak gwałtownie, jakgdyby pasy transmisji biegnące z hukiem już porywały mnie w górę.

— Jak ci się powiodło? — spytał ojciec.

— Dobrze — odpowiedziałam. Było mi bardzo sucho w gardle i ciężko na sercu.

— Popołudniu możesz już odpocząć. — Nie zędziłam się. Wróciłam do moich worków z małym opóźnieniem. Byli już przy nich wszyscy i szeptali między sobą. Kiedy weszłam, umilkli. Sęczkowska

uśmiechała się jeszcze z czegoś i już szybkim, automatycznym ruchem przyklejała na worku błękitną etykietę. Znów szczeżała waga i w drewnianych przewodach ze stukiem zsypywała się mąka.

Przy mnie nie rozmawiano, byłam pewnego rodzaju dozorem. Może zresztą nie było o czym ze mną mówić. Przyszłam tu, tak jak przychodzi się do wiejskiej chałupy skosztować swojskiego chleba po domowych smakołykach.

Do gryzącego pyłu, do opuchniętych nóg i startej skóry na palcach przybywała gorzka poczucia, że jest się tu poza nawiasem. Może tylko moja niezręczność była winna?

Mój fartuch i moja chustka na głowie były już szare. W gardle pył leżał jak gruby zwój. Powiedziałam do Sęczkowskiej: Ciężko mi. — Uśmiechnęła się — panienska niezwyczajna.

Chciałam zapytać ją, czy już dawno pracuje, ale nie wiedziałam jak powiedzieć „pani“, czy „wy“ i zamilkłam. Potem zaczęłam znów nieosobowo: — Przy workach lżejsza praca...

— A lekciejsza, ino, że trza stoic — i znów rozmowa się urwała. Kiedy szukałam słów zrozumiałych dla niej, miałam przykre uczucie „udawania“. Kiedy mówiłam swojemi, zdawało mi się wciąż, że ona mnie nie rozumie. Żałuję, że poszłam tam, nie mając nic prócz dobrej woli. Nie mogłam wiedzieć, że ludzie znani od lat mogą być dla siebie tak okropnie obcy.

Wiedziałam już, że nie wytrwam długo i nietylko dlatego, że to ciężka praca, ale dlatego, że będę tu może tak zawsze milczała, bo nie mogę patrzeć na

ten dzień, jako jeden z nieskończonego szeregu jednakowych jak oni. 'Bo dla mnie ten cały ból pleców i nóg i pył w gardle to „przygoda“, przeżycie, które opuszczę za chwilę i kiedy myślę, że tak mogłoby być zawsze, codzień, ogarnia mnie smutek śmierci. Wydaje się, że największa trudność to wyjść ze swojego światka, ale tak wcale nie jest, najtrudniej wejść w inny.

---

Kiedy po trudnych, pracowitych dniach w jakiejś wolnej chwili rozważą ludzie swoje życie, przychwycą się nagle na najprostszym spostrzeżeniu, że jest straszliwie jednostajne i żałosne.

Spostrzegną małość swoich własnych spraw i odnajdzie się zaraz żal, że inni, szczęśliwi dostają się na niedosiężne wyżyny zaczarowanej kariery. Dobrze, jeżeli udaje się to obcym, nieznanym, ale kiedy ktoś bliski znajomy, człowiek jak ja i ty, bierze nagle wysokie szczeble, przyłączają się zaraz przecucia, nie wytrzyma, powinie się.

Ot Zygmunt, Jeziorów chłopak, za niemieckich czasów jeszcze do gimnazji szedł. Ustała we wojnie nauka, ustał i on, ale kiedy zaczęły się nanowo lekcje, też się w szkole pokazał. Już za rok, dwa miał być fertig, kiedy starym do rozumu udało się przemówić. Chłopak z tej nauki do niczego. Ani się nim posłużyć, ani nic. Przecie go nigdzie wysyłać nie będą, starczy tej nauki, na szesnasty rok mu się obróciło.

Wtedy, któregoś dnia znienacka, zamiast pod pachą dusić zeszyt i książkę w rzemyczku, szedł chłopak

niewysoki, barczysty, chudy na twarzy i gniewny, za ojcem do elektrotechnicznego warsztatu Kralla.

Ukłony ojca i jego splątane w uśmiechach słowa zasłoniły go tego dnia zupełnie. Dopiero nazajutrz zatrzymała się na nim uwaga nowych przełożonych.

Nim nienawykłe czegoś, prócz książki, łapy nauczyły się rozumnej roboty, posłyszał niejedno o tych, co się w górę pchają na profesorów, a sznurka do lampy założyć nie potrafią. Trudne były pierwsze dni.

Masz codzień książki szkolne przed sobą, to patrzą na ciebie nudne, pomazane komentarzami, pozakreślane odtąd, dotąd... Nie masz ich, brak ci nagle ich zdań pewnych skończonych, rozświecających znie-nacka mgliste zadumanie błyskiem zrozumienia. Każda pamiętna jest trudem, którym ją zdobyto. Kupiona za ciułane długo grosze, albo za świeżniętą matce złotówkę, inne czytane tylko na pauzach, nigdy nie posiadane na własność.

Mijają tygodnie nim czar pogardzanych „knyp” przyćmi zbudzone nagle zrozumienie dla przewodów, drutów, biegunów, nim potrafi się samemu stworzyć mały cud, założyć u własnych starych, pełnych szpar drzwi, które od czasu jak się je pamięta otwierały się same, dzwonek donośny, dźwięczący jak zwycięstwo.

Już inni lepiej niż on sam pamiętają minione lata nauki. — Zygmunt za uczoney, żeby na dziewczyny patrzeć, co?...

Po trzech latach ciągle jeszcze kręci się u Kralla druty, zakłada lampy i dzwonki, wstawia nowe korki.

Po głowie chodzą rojenia. Płatny uczeń, już awansował. W niedzielę ma na kino.

Dziwna ta familja Jeziorów lust ma do szerokiego świata. Zawsze im się czegoś zachciewa. Chłopak w dziewiętnaście lat, w takim miejscu, gdzieby na człowieka wyszedł, któregoś dnia ni z tego, ni z owego parę groszy i swoje łachy w garść, bywajcie sobie.

Gdzieś go ktoś widział na dworcu, inny w pociągu z paczką pod pachą. Poszedł. Niema co lamentować, niech mu bieda dokuczy, wróci.

Po tygodniach przychodzi karta zdaleka. Z Łodzi. Gdzie są fabryki i warsztaty, gdzie powinna być praca.

Jest w karcie coś o biedzie, o zgubionych koszulach i długiem chodzeniu piechotą, o powrocie nic.

Niewidziane rzeczy, żeby się pomorski chłopak aż do Łodzi dostawał. Ale chciał mieć naukę, niech ma. Kiedy znajdzie się w obcem mieście bez pracy i znajomych, pójdzie z innymi. Wyżyje. Jak? Samemu się nie wie. Przenocuje na ulicy, we wnące przy murze, w przytułku. Zje resztkę, ogryzek.

A znajdzie pracę, pomieszka z chłopakami w piątce w ciasnej kuchni tapeciarsza, przechoruje tyfus w tej klitce obok pieca (co to tak wtedy grzało gorączka czy piec?), zbudzi się w szpitalu i wydzwignie.

Pochwyci kiedyś chorobkę młodzieńczego wieku (głupi, czego się wstydzisz, kto nima?) wszystko przejdzie.

Muskuły się ściagną, stwardnieją plecy, w głowie zapalą się słowa pochwycone przypadkiem, gdzieś w gazecie, w książce, albo pod gołym niebem, w gęstej

cizbie. Lata pobiegną szybkie jak ptaki i czasem tylko szerzej odetchnie pierś, kiedy wysoko nad ludźmi na dachu, przymocuje dokładnie strzelistą antenę, która pochwyti i przyniesie komuś do mieszkania głosy ludzi z całego świata wołające...

Co one tam wołają w okrągły, lśniący głośnik radjowy?

W letnie, niedzielne popołudnie leżą w Staszewie na oknach kolorowe, jaskrawe lub wypełzłe poduszki. Na balkonach stoją krzesła, na najmniejszych uliczkach przed domkami, ławki.

Conajmniej tylu ludzi, ile wyrusza w święto w swobodę i przestrzeń, zostaje w domu i ze swoich okien przygląda się cudzej niedzieli.

Komuż nie zdarzyło się pozostać w domu w pogodne święto, przypadkiem, wbrew woli i rzadko, lecz jednak niekiedy, dobrowolnie, żeby w pędzącym naprzód życiu, które przytłacza potęgą wynalazków, olśniewa wysiłkami, zdumiewa potęgą wiedzy i ciemnoty zatrzymać się w truchcie codziennej pracy i spojrzeć na małe, nieważne sprawy, których nigdy nie ma się czasu zauważyć.

Kto nie pragnął nigdy przyjrzeć się jak splata się krata balkonu sąsiada, jak wyglądają niedorzeczne, przestarzałe ozdoby domu naprzeciwko, jak na drugim piętrze zawieszono nowe firanki?

Drobne, ważne sprawy, stare rekwizyty, dekoracje naszego życia. Ale zawsze najbliższe, ciekawe są twarze ludzi, sąsiadów bliskich, czy dalekich, a może nawet nieznanomych. Jak żyją, z czego, jak mówią do



siebie, jak się kochają, czy nienawidzą, jak walczą z sobą, co myślą, gotują i jedzą, czy ciężar życia wydaje im się znośny?...

W Staszewie w niedzielne dni wiele okien patrzy chciwie w cudze życie. Mali, nieważni ludzie, których interesują małe, nieważne sprawy.

Nieświadomie hołdują indywidualizmowi. Życie jednostki wydaje im się tak doniosłe. Nietylko w Staszewie. W największym mieście, w szalonym tempie życia, w wielkich domach tuż obok fabryki, teatru, szpitala i więzienia są ciche mieszkanka, schludne do znudzenia, skromne do pustki i w wirze ogólnej pracy i nateżenia, spokojnie patrzą przez swoje okno z nad kolorowej poduszki, w okno sąsiada.

...Przez gospodynię, służącą, szofera wie już pół miasteczka, że Brandtowie wysyłają córkę z domu. Wielu, słysząc o tem wzdycha, że czas tak pędzi. Tu przecież każdy wie dobrze, że Janina Brandt ma już osiemnaście lat.

Dlatego uznano w domu, że powinna poznać oświadczenie świat. Dość pośrednictwa nauczycielek i lektury. Wyjazd, ludzie, zabawy, trzeba poznać życie.

Chce się uczyć? Dobrze, można też. Czy może należy przewidywać jakieś trudności od krnąbrnej Janiki, której się wydaje, że we wszystkim może zabierać głos i urządzać świat według recepty przeczytanych książek?

Ach, kogo odstraszaają te głupstwa? Każdy ma za sobą młody, marzycielski okres, w którym hojnie ofiaruje siebie samego dla dobra ludzkości.

Wystarczy poznać trochę jej niewdzięcznych

przedstawiciele, żeby ograniczyć swą wspaniałomyślność, rozdawać maleńkie dawki rozłożone na wiele lat i pokazywać je światu: oto co ci dajemy...

Już ojciec Janki i jej matka byli ludźmi nowszej daty, wyrozumiali dla potrzeb czasu — uczęszczanie na mieszczańskie bale, entuzjazm dla pacyfistycznej literatury. Może obeszloby się też bez przeszkód, cóż kiedy trudności były w duchu czasu. Dawniej, ach jakże niedawno, inaczej jeszcze usuwano trudności.

Brandt wątpił, czy to się zmieniło. Ale mylił się. Był to przecież rok 1932, przedziwny. Cyfry bezrobotnych w poszczególnych krajach Europy wzdymały się, pęczniały, nabierały groźne, straszliwe wrzody, których dotykano drżącymi palcami.

Na zachodzie ministrowie składali teki, trudności przerastały ich. Z poza przemówień o zaprzestaniu zbrojeń wypływały strugi krwi przelewane na żółtym froncie. Wynędziali mieszkańcy baraków dla bezdomnych dowiadawali się stłoczeni przed redakcją gazety, że w dalekiej Brazylii palono w piecach wonną, rozgrzewającą kawą i ziarnem pszenicy.

O wysiłkach bliskiego Wschodu krążyły trwożne, wielkie legendy. Świat słyszał dość ciężkich oskarżeń. Patos przemówień przesłaniał prawdę. Oskarżyciele byli utożsamiani z oskarżonymi.

Po staremu różni ludzie za różne prawdy męczyli się i oddawali życie.

Jakże tedy w tym roku powszechnych trudności nie miały się one znaleźć w życiu nawet tak dobrze

zaopatrzonych w dobra życia Brandtów? Nie myślano o tem.

Jak w każdym przededniu nowych zjawisk, ponad patosem wstrząsających światem przemówień, ponad spęczniałymi cyframi rozsadzającymi jego porządek, nad symfonią oskarżeń, jęków i zawodzeń, na lśniących posadzkach dancingowych lokali drobniutkiemi krokami ciup, ciup, tańczono ostatni przebój, rumbę...

Stara pani Jerzmanowska miała w tym roku dwóch młodych gości. Swoją wnuczkę Jankę i młodszą od niej o rok Madzię, córkę kuzynki.

Uważała to skojarzenie za szczęśliwe mimo odmiennych warunków, z jakich pochodziły obie. Zależność nauczyła Madzię rozsądku. W ciągu wielu lat omijała starannie drogi kolizji. Posiadała trudną sztukę rezygnowania, której w najmniejszym stopniu nie mogła mieć jej kuzynka.

Codzienne życie Madzi nie było łatwe. Jego jedy-nem urozmaiceniem były trzy razy w tygodniu lekcje muzyki bardzo nudnej nauczycielki. Pomimo to wychodziło się na te lekcje o pół godziny zawczasie i spotykało na najbliższym przystanku syna przy-bocznego dentysty domu Jerzmanowskich.

Bo oczywiście miało się swojego lekarza i swojego dentystę. Nie odstępowało się od nich jak od swoich przekonañ.

Lekcje i resztę czasu spędzało się w ściśle ozna-czony sposób. Do programu któregoś popołudnia za-liczono wreszcie przyjazd Janki.

„Panieński“ pokój posiadał przewagę jasnych

kolorów. Łóżka były śnieżnie białe, etażerka filigranowa dźwigała przestarzałe książki dla dorastających panienek i czerwono złoto umundurowanych klasyków. Poduszki na kozetce były kokieteryjnym spiętrzeniem wełnianych loczków i pochodziły z panieńskich czasów ciotki Wandy.

Wieczorem po kolacji i powtarzanych ciągle na życzenie babki opowiadaniach o domu, Madzia i Janka znalazły się w nim same.

Dzielić pokój to było dzielić trochę życia i odczuwały to obie, pokrywając uśmiechniętem spojrzeniem lekki kłopot jednoczesnego rozbierania się. Widziały się pierwszy raz w życiu i postawiono między nimi dwa łączniki, wspólny pokój i słowo „ty“.

Były przecież spokrewnione i musiały tak mówić i każda po swojemu odczuwała tę narzuconą bliskość, którą trzeba było jaknajprędzej wcielić w życie.

Czarna, okrągła, ostrożna i sprytna Madzia zajęła postawę wyczekującą. Znała lepiej zwyczaje i ludzi niż starsza Janka, ale Janka znała więcej książek, a w książkach ludzie zawsze od razu znajdują słowa docierające do istoty rzeczy. Dlatego zapytała Madzię poprostu: Jak tu się żyje w domu babci? — kiedy ukryła się już pod kołdrą, zapięta po szyję w swojej nocnej koszuli...

Madzia osądziła to pytanie jako naiwne i prowincjonalne (dobra sobie, tak od razu). Czesząc się przed małym lusterkiem, rzekła powoli: — No chyba podobnie jak wszędzie. Nie rozumiem o co chcesz zapytać. Kto tu bywa, myślisz?

— Chcę zapytać o bardzo dużo — powiedziała we-

soło Janka — przecież my jesteśmy tu jedyne młodsze istoty i pewnie mamy podobny punkt widzenia...

Jak tu każdy spędza dzień? Babka, wuj Adam, ty? —

Madzia wyciągnęła się w swoim łóżku bez uczucia zwykłego zadowolenia i odpowiedziała powoli. — Ot poprostu, żyje się, babka zajmuje się domem. Wuj Adam udziela się bardzo mało, jest zwykle u siebie. A ja pomagam trochę babce, uczę się muzyki, francuskiego. —

Kiedys później przeczytała Janka słowa Wildea: Tylko odpowiedzi bywają niedyskretne — i pomyślała, że Madzia była wzorem dyskrecji.

Wtedy jednak zadała jeszcze kilka pytań, których później wstydziła się nieco. Zapytała czy babka jest wyrozumiała. Madzia w ciemności ze swojego białego łóżka odpowiedziała uprzejmie i krótko: tak.

Wreszcie Janka z pewną nieśmiałością już, chciała się dowiedzieć, czy Madzia dobrze się tu czuje i usłyszała na to w odpowiedzi. — Naturalnie, jest mi bardzo dobrze u babki. —

Wtedy nareszcie do strony łóżka Janki rozległo się dobranoc. Ale ona sama długo jeszcze walczyła jeszcze z uczuciem obcości nowego łóżka i pokoju, patrzyła na zarysy przedmiotów mroku i rozważała, co Madzia kryła za swojemi opanowanemi słowami. Uczyla się ze wstydem swojej pierwszej lekcji, że najprostsze pytania są najtrudniejsze i trzeba je zachować na czas, kiedy odpowiedź wyprzedzi je sama. Ale to właśnie, że jeszcze tyle można się było nauczyć, że jutro należało do niej, że mogła być sama detektywem



codziennego życia i na własną rękę dochodzić jego tajemnic, to było radością dni, które miały nadejść.

O szóstej rano otwiera się drewniana furta mły-  
na. Ludzie wchodzą pojedynczo, codzien jednakowym  
krokiem z blaszankami w rękę. Do pracy. Pierwsza  
zmiana. Ci, którzy pracowali w nocnej, wychodzą zga-  
szeni, zawsze zlekka zziębnięci i idą bardzo szybko.

Niewiele po ósmej przychodzi pan dyrektor.  
Wchodzi tak samo jak przed dwudziestu laty, niedo-  
strzegalnie powolniejszym krokiem i tak samo po-  
chyła się przed nim ubielona postać dozorczy. Jego  
wąsy są już białe, nawet bez mącznego pyłu. Nie  
dlatego, że lata samą goryczą go poiły, miał i coś  
swojego, córkę, Łuckę o dziewięć lat młodszą od Bron-  
ka, ale czas sam go tak naznaczył.

Bronkiem wszyscy mu uszy kłują: No tak, pan  
Kaliński uczonego syna ma, gimnazję skończył. A na  
co go teraz uczyć da?

A Broniek właśnie prosto ze szkoły. O rok spóź-  
niony, bo chorował. Dwadzieścia lat. Za szczupły, za  
wysoki, jasne włosy i oczy. Wesoly jak matka nie-  
gdyś.

Przed miesiącem on i jego koledzy poprzecinali  
czapki na krzyż. Na uroczystość popisu włożyli już  
wszyscy wysokie kołnierzyki i długie spodnie, popili  
się w knajpie hałaśliwą, szumną radością wyzwolenia  
z ciasnych ławek i szeregów „parami”. Ale tak, jak  
po kolejkach konjaku i ponczu wychylanych lekko,  
z pieniącą ochotą, przyszedł dzień zamglony bólem  
głowy, mdłościami i bezdennym smutkiem, przyszła

zaraz następnych słonecznych czerwcowych dni obawa, co przyniesie lipiec, sierpień i wrzesień.

Bronek Kaliński, który najgłośniej wrzeszczał w knajpie, najwięcej wydudnił i najdłużej musiał „wietrzeć“, doznawał czasem strachu jak pchnięcia nożem, że teraz przyjdą jednakowe dni, wolne od wiecznej podniety, że to on, syn starego Kaliny pnie się żywo w górę. Tak było dopóki trwały szkolne lata.

Bronek wcześniej poznał cierpką radość zdobywania niedostępnych wyżyn i jak każdy nie mógł się z nią rozstać.

Zostać na zawsze w Staszewie. Może na poczie, albo w magistracie, w dzień przy okienku, wieczorem spacerek w stronę „banhofu“, czarna kawa w Savoyu, dziewczęta i kino. Powiedzą nawet — Kalińskich syn na ludzi wyszedł.

Jest w Bronku coś, co tę karierę odpycha, gorzej, jest ktoś, kto mu inne rojenia podsuwa.

Matka. Zmieniła się naturalnie. Jest tęga, wysoka, rumiana na twarzy, kroczy jak żołnierz, wie czego chce, wiedziała przez wszystkie lata. „Na pana“ ma wyjść.

Jeszcze zamało tej nauki. Dwa razy w tygodniu, na targach masło żółte jak słońce, ser miękki jak piana, prosiaki najbardziej spasiono, własnego chowu.

W starej barchanowej halce wszyta jest duża kieszeń. Halka jest w wieku Bronka ma z dwadzieścia lat.

Teraz dni Bronka są pogodne latem i swobodą, noce są ciężkie nużącemi snami i obawą czy życie

nie oszuka. W monotoni Staszewa zjawia się wtedy ktoś nowy. Tutaj wszyscy nowi są ważni, nawet jeżeli gość kieruje swe kroki do sionki, gdzie mieszka stary kuczer Jeziorowski.

Ktoś nowy wkracza w życie Bronka. Jest prosty i swój, twardy i lakoniczny. Nie obalić go łatwo. Dużo pyta i dużo wie. To Zygmunt Jeziorowski. Wyrzuciło go życie na stary ład. Powszechna sprawa. Bezrobocie. Sześć lat temu wędrował w stronę „bathofu“, przemykając się ukradkiem ze swoim zawiniątkiem. Nie przywiózł teraz więcej niż zabrał. Starzy przywitali go ze zdumieniem, z nieśmiałością, wreszcie doznali rozczarowania, przyzwyczaili się.

Dla Trudy przywiózł jeszcze trochę sentymentu. Chętnie z nią rozmawia, a jednak nie należy do starszego pokolenia, wydaje się Bronkowi czasem bliższy niż kolega; Broniek maturzysta dobrze rozumie przewagę Zygmunta. To się czuje zaraz, tego, co wie Zygmunt, nie nauczył żadna szkoła.

Któregoś dnia rozgadują się na dobre. To popołudnie, kiedy ściemnia się już wcześniej i od strony trzech jezior nadciągają bure, wilgotne, rozwleczone mgły, pierwsze zwiastuny pomorskiej jesieni, jest podobne do tego, w które wędrował niegdyś Zygmunt. Dlatego rozmowa wraca do niego i z niej wynika dla Bronka wiele. Przykucnięty na pniaku, z łokciami wspartymi na kolanach, zapatrzony w Zygmunta, chłonie Broniek to opowiadanie bardziej cudowne i sensacyjne, niż jakakolwiek opowieść. Przez wiele lat przecież otaczała Zygmunta w domu, ba w całym miasteczku, romantyka jego ucieczki.



Ale nie to jest najważniejsze. Najbardziej przykuwające staje się zagadnienie, jak uniknęło się wtedy prostej, zwykłej śmierci z głodu, lub zimna.

Zygmunt rozgadał się. Dni powstają przed nimi, w których rękami i zębami trzymał się człowiek życia, rwał o pracę. Dopraszanie się o pozwolenie dźwignia ciężarów, oczyszczenie dołów kloaczych, nim osiągnęło się swój szczyt, pracę w zakładach elektrotechnicznych.

Bronek zna tylko mniejsze niż Staszewo wioski, duże miasto to Grudziądz. Dwie linje tramwajowe, urzędy, oświetlone ulice wieczorem, taksówki przed lokalami. Teraz w opowieści Zygmunta huczy od szyn, dźwigów, maszyn, olbrzymich ulic, gdzie obok siebie żyją i umierają ludzie. Fabryki po dwa, trzy tysiące robotników.

Praca, maszyny, coraz nowe, więcej zrozumienia wymagające i życie wciąż to samo, nie, wciąż trudniejsze.

Tempo. Każdy człowiek jedną maszynę, rozumiesz? Jutro jeden na dwie. Na ulicy napisy złote, czerwone, zielone. To najlepsze, najtańsze, najbardziej interesujące.

Wszędzie te same napisy, w każdej dziedzinie walczą o człowieka, ciągną go w różne strony. Czasem chwyta się, już jest prawda. Ta, która rozświeci życie jedynem możliwym światłem, nadzieją.

Wielkie miasto, czar jego ulic i domów, okrutne piękno rojowiska ludzi, szalony wyścig myśli. Co upiększa opowiadanie Zygmunta, tęsknota Bronka do

nieznanych światów, czy miłość opowiadającego do życia w każdym przejawie?

Domy. Nie wiesz ile tego, ile mieszkań w każdym. W trzech pomieści się całe Staszewo. A baraki. Myślisz takie jak tu? Nie, całe miasto baraków, całe armje bezrobotnych. Wszędzie ludzie, o wiele za dużo ludzi pod mostami, na dworcach nocą.

Broniek pocichu w godzinach zwątpienia pocieszał się. Jednak matura to klucz do wszystkiego. Zygmunt poprostu, surowo zdiera tę zasłonę: z większymi sztukami zdychają z głodu.

Pod nogami trzeszcza heblowiny. Broniek rozrzuca je drżącą stopą. Rozmowa wytrąciła go z równowagi. Okienko na poczcie, lub w urzędzie staje się w myśli nieznośną wizją. Pragnienie poznania, wchłonięcia w siebie całego ogromu życia chwyta go boleśnie, gwałtownie, tak jak jedynie umie porywać chwilami bardzo młodych ludzi. Broniek zwierza się ze swoich skrytych pragnień. Wyjechać, za wszelką cenę.

Mówi o tem jak o swojej tajemnicy, Zygmunt uśmiecha się:

— Jedź, trochę pobiedziesz niema nieszczęścia. Na początek jeszcze nawet z domu będziesz coś miał.

Zygmunt przegarnia szeroką dłonią włosy i uśmiecha się. Jego oczy czepiają się nagle nieustępliwie twarzy siostrzeńca. — Powinienbyś mieć dosyć na naukę...

Zuchowata twarz Bronka posepnieje. Odpędza niechętnie, nieuważnie jakąś przykrość. — Eh nie.

— Wiesz?

— Wiem, — powiada Broniek — ale co mnie tam. Tu są moi rodzice — i pokazuje na niskie drzwi domku.

Pod ich stopami chrzesczczą suche, złote heblowiny. Szare rozwleczone pasma mgły wiszą nad podwórzem. Szeroka dłoń Zygmunta leży na wysokich, wąskich ramionach siostrzeńca.

Kiedy wieczorami Truda cerowała teraz chłopakowi skarpetki, szykowała koszule i czerwonymi niciami znaczyła chusteczki, podsuwając oczy pod samą lampę, stary Kaliński czytał pożyczoną gazetę i drzemał nad wiadomością, że towarzystwo wiosłarskie urządziło dobroczynną zabawę na rzecz ubogich. Gorycz ma dla swoich wybrańców jedną łaskę, nuży oczy i myśli.

W tygodniu, kiedy Kaliński „wartował“ w nocy, drzemał przez cały długi wieczór i noc. Udawał, że wcale nie widzi, kiedy Truda przywlokła od matki starą, wielką walizę z rzemyczkami. Tylko kiedy jeden z nich oderwał się, sam z przyzwyczajenia zbliżył się, żeby to zreperować.

Odzywa się mało, najczęściej do Łucki, ale Łucka wcześniej wchodzi do łóżka matki i potem wieczór jest samotny.

Tego wieczoru, kiedy spakowano starą walizę i zamknięto ją na wszystkie rzemyczki. Kaliński idzie wcześniej spać. O piątej pieją koguty, nocna mgła opada. Klumpy starego stróża stukają wcześniej niż zwykle. Truda gotuje kawę. Broniek śpi i mała Łucka chrapie. Truda ustawia dzbanek na stole. Zbudzić, nie zbudzić, mają się żegnać czy nie?

Kiedy w ciemnej kuchni stary pije prędko kawę, Truda, zakładając ręce na brzuchu powiada: — Śpi jeszcze. —

— Niechta śpi — odpowiada Kaliński i wciska czapkę na czoło.

Potem na siatce w przedziale trzeciej klasy kołysze się brzuchata, szeroka waliza między pudłami i kołbami i do szyby okna przylepiona jest młoda, rozgrzana, rozciekawiona twarz.

Oczom nie uchodzi żaden z widoków migających za oknem. Przy pochyleniu uwiera zlekka na piersi pod koszulą szorstki woreczek ze zwiniętymi banknotami od matki.

Bronek Kaliński wyjeżdża ze Staszewa w swoją pierwszą, wielką podróż.

Na stole, na małych, modnych serwetkach z drewnianych koralu stały filiżanki kawy w starym błękitno białym serwisie babki. W cienkich filiżankach zastygła kawa jak lśniąca laka. Nikt nie pił. Nie wszyscy jeszcze mieli kawę w filiżankach, a ręka starej pani Jerzmanowskiej, trzymająca dzbanek, przez długą chwilę trwała przy jego uchu.

Babka mówiła, a wtedy wszyscy patrzeli na nią nie pijąc. Wszyscy natężali pełną współczucia uwagę, wszyscy, oczywiście prócz wuja Adama. Bo wuj Adam nie podtrzymywał nigdy rozmowy. Zjadał swoje szybko, cicho i rzadko rzucał na kogoś spojrzenie niespokojnych wypłowiałych oczu.

Mówiono ciągle o małej Alince, córeczce ciotki Wandy, która była silnie przeziębiona. Pani Jerzma-

nowska nalewała kawę z dzbanka usianego chabrami i mówiła z żalem. — Wanda ją rozpieszcza, zawsze to mówię, sweterki, pończoszki, rajtuzy, a potem dziecko jest wrażliwe na lada wietrzyk. —

Pani Janowska cichym, śpiewnym głosem i wymową kresowianki łagodziła niepokój.

— Toż tylko przeziębienie moja pani. —

Ale pani Jerzmanowska nie chciała się pocieszyć:

— Widzę dzieciaki na ulicy, chociażby mojej praczki trójkę. Latają boso od rana do wieczora bez okrycia, a zawsze są zdrowe. Coprawda to one przychodzą na świat z zupełnie innymi siłami.

— Babciu, tam na sześcioro dzieci żyje troje, albo dwoje. Te, które mają silny organizm wyrastają rzeczywiście na zahartowanych ludzi. U nas w miasteczku widzi się ile takich dzieci umiera. Może jest dosyć ofiar tego latania na bosaka we wszystkie pogody. —

Przedział na boku, gładko uczesana głowa Janki z krótkimi, jasnymi włosami, duże, żywe oczy to wnuczka pani Jerzmanowskiej. Do niej należą wypowiedziane słowa. To jej zręczna figurka w szarym pullowerze ze skórzanym paskiem siedzi swobodnie w ciężkiem krześle, to ona zabrała głos.

Wygląd zupełnie zadawalający, maniery, niestety, małe miasteczko. Babka naturalnie nie odpowiedziała wprost, uśmiechnęła się tylko do doktora Jasińskiego, przysuwając mu kryształową patere z ciastkami.

— Widzi doktor jaką statystykę prowadzi moja wnuczka? Panie doktorze, w gardle nie znalazł pan przecież nic poważnego u Alinki?

Doktor Jasiński starannie ubrany, z łysiną, którą

pokrywały długie pasma ułożonych z ręcznie włosów, przysunął się bliżej stołu i powiedział łagodnie, wyjaśniająco, obszernie jak zawsze: — Jak już powiedziałem to nie jest przecież zapalenie, angina. Dziecko ma stale powiększony migdał i ten jest wrażliwy na wszelkie zmiany atmosfery i teraz w związku z deszczami wykazuje znowu silne obrzmienie. —

Pani Jerzmanowska wysłuchiwała uważnie słów doktora, które płynęły łatwo i potoczyście. Kiedy Janka rozejrzała się wkoło, zdążyła spostrzec, że niespokojne, rozbiegane źrenice wuja Adama znalazły przez chwilę oparcie w jej twarzy.

Zdążyła, bo natychmiast znów, mrugając nieco przeniosły się na inny przedmiot.

Babka wróciła do poprzedniego tematu. Tym razem zwróciła piękną, siwą głowę wprost do Janki. — Moje dziecko, ja też nieraz bywałam na wsi i zawsze zastanawiało mnie zdrowie i siła, niepożyta siła naszego ludu...

Wtedy doktor Jansiński powiedział swoim spokojnym głosem, lejącym z łatwością potokę słów:

— Pomimo to, łaskawa pani, niestety trzeba stwierdzić, że po wsiach gruźlica zbiera niemałe plony i nie tylko gruźlica... Ale przede wszystkim ona, którą przecież zwykle kładzie się na karb złych warunków wielkomijskich. Naturalnie ciemnota... —

Janka zaczęła wcześniej niż zamierzała i wpadła w środek zaokrąglonego zdania doktorskiego jedynym wyrazem: — Bieda. To tylko bieda. W małych miasteczkach u nas jest tak samo. Kilka osób, a w zimie jeszcze trochę inwentarza, gnieździ się w jednym po-

mieszczeniu. Marnie jedzą, marnie żyją. Na letniskach, dokąd się przyjeżdża po wspaniałe powietrze, miejscowi ludzie umierają na gruźlicę. Tam u nas też są takie letniska. —

Wszystko to w jednej chwili stłoczyło się do Janki. Obrazy istniały w niej zawsze, ale nigdy nie nazywała ich głośno. Teraz nagle ubrały się w słowa i dały jej radość ucieleśnienia czegoś nieuchwytnego.

Wyraźnie nie odpowiedział nikt. Doktor Jasiński szepnął coś, co brzmiało: Oczywiście, do pewnego stopnia... — a od strony wuja Adama dało się słyszeć spóźnione parsknięcie.

Milczenie przy stole jest nietylko nieprzyzwoite, jest kłopotliwe. Nie jest do pomyślenia, żeby przy stole pani Jerzmanowskiej panowało milczenie. To też przerwały je natychmiast łagodne, dźwięczne głosy i tylko w przerwach delikatnie pito kawę ciemną i lśniącą jak chińska laka i ehrupano cieniutkie ciasteczka, z których każde było ozdobione koroną złotej rodzyнки.

Milczał tylko stale wuj Adam, ale pomimo to, on właśnie był milczącym winowajcą tego, co powiedziała Janka. Babce odpowiadało się zawsze tym samym łagodnym, umiarkowanym głosem, którym mówiła ona sama i zawsze uznawano słuszność tego, co twierdziła.

Nieoczekiwana chęć wypowiedzenia swojej własnej myśli, swoim własnym głosem, wtargnęła w świadomość Janki, kiedy na ułamek sekundy spoczęły na niej wiecznie wędrujące oczy wuja Adama. To on, który wydał się Jance zrazu nienormalny, a potem

nieznacznie zaczął ujawniać cechy ludzkie, podobne do jej własnych odruchów, wzbudził w niej ciekawość jak postąpi, kiedy raz jeden przy stole powie ktoś coś innego niż jego matka, naprzeciw której siedział zawsze jako milczące, wymowne uosobienie protestu.

Ale wuj Adam nie powiedział nic. Zabierał zawsze tylko głos w sprawach obojętnych i Janka nie mogła zbadać, czy niedość umiejętnie uderzyła w strunę jego myśli, czy też oczy jego były już tak niespokojne i rozlatane, że nie umiały się zatrzymać na nikim.

Na dużej tacy zabierano prędko i cicho opróżniono błękitno białe filiżanki, odsuwano krzesła, mówiono głośniej i serdeczniej, żegnano się.

We drzwiach Janka zetknęła się ze zgarbioną zlekką postacią, widziała zbliżoną twarz powleczonej cienką, żółtawą skórą i myślała: ile on może mieć lat?

Wuj Adam mijał ją już. Wtedy z pragnieniem pochwylenia ulatującej jakiejś jedynej sposobności zapytała: — Wuju, dlaczego nie wypowiadasz się nigdy?

Przedwcześnie postarzała twarz z oczyma w czerwonych obwódkach zbliżyła się do niej. Sepleniac zlekką wuj Adam wyrzucił zgrzytliwie.

— Zadużo pytasz. Kolekcjonujesz różne poglądy? Kolekcje są słabością naszej rodziny, u nas w domu kolekcjonowano porcelanę. Tobie się zdaje, że wiesz bardzo dużo, co?

Może wiesz ile godzin pracują robotnicy u twojego ojca? —

— Osiem — odpowiedziała Janka chłodno — ale



chętnie biorą nadgodziny, dlatego przeważnie wypada więcej.

— Wiesz? — przerwał, sepleniąc silniej — Za moich czasów to nie należało do edukacji młodych panien. Jaka szczęśliwa zmiana. — Jego niespokojne oczy w czerwonych obwódkach ześlizgiwały się po zarumienionej z przykrości twarzy Janki. Był już za drzwiami kiedy odwrócił się do niej jeszcze raz. — Nie żyje się spokojnie z temi wiadomościami — powiedział.

Ale nie dosłyszał już odpowiedzi Janki: Nie jest mi jeszcze potrzebny spokój.

— Ach, tylko spokój — mawiała zawsze babka.

Dni Janki są ważne i pełne, szybkie i treściwe. Pokratkowała zajęciami cały dzień. Uczyniła to z zapalem nowicjuszki i nie odstępowała ani na chwilę od oznaczonych godzin.

Wykłady, nauka, francuski, stenografja. Wszystko wybrane nieco przypadkowo z tak zwanych względów praktycznych. Janka sama z gorliwością dokonała tego wyboru.

Nieustający zapal ożywia ją. Ranne godziny, kiedy na twarzach leży zawsze znużenie, kiedy miękka bezbolesność snu pochłaniają łapczywie codzienne troski, były dla niej radością przebudzenia.

Dom spał jeszcze, kiedy myła się w łazience lodowatą wodą, chlapiąc z rozkoszą w zimnych strugach. Grzebień z pasją torował sobie drogę w jasnych, gęstych włosach. Radością była jazda w tramwaju

między bladymi uczniakami, naprzeciwko urzędniczek i pańnek sklepowych. To było „codzień“ Janki i Janka kochała je.

Miejsce jej było wśród tych, którzy pracowali cały dzień. Poczwała to odrazu po przyjeździe i natychmiast w przytłaczającej powodzi nauk, książek i wykładów, doznała zrozumienia własnych braków i rzuciła się żarłocznie na wszelką wiedzę. Zapobiegliwość gromadzenia żyjąca w krwi jej ojców znalazła ujście dla siebie. Pragnęła się uczyć. Dziwiła się kiedy wątpiono w szczerść tego zapału. Była pełna chęci poznania, płonęła nią.

Z tym samym zapałem kreśliła coraz szybciej znaczki stenograficzne i z rękami zanurzonemi w miękkich, jasnych włosach wystukiwała palcami w czoło prawdy historii powszechnej.

Nigdy pragnienie osiągnięcia jakiejś doskonałości nie było w niej tak silne, jak w tych dniach ważnych i pełnych, niezmaconych jeszcze poznaniem żadnej wielkiej prawdy życia. Każdy z ich był zamkniętą w sobie całością, każda następna godzina mogła przynosić objawienia. Kto powiedział, że poznanie mogło być bólem?

W przepelnionej sali Biblioteki Publicznej, w ciemnym skrzypieniu piór i szeleście przewracanych kartek, doznawała naiwnie gorącego ściśnienia serca radością dopuszczenia do jakiejś powszechnej pracy.

Mała, nieważna samodzielność była jej celem i wyrażała wszystkie obecne dążenia. Madzia któregoś dnia uderzyła szorstko, rzeczowo w to marzenie: Nie powinnaś może zabierać chleba innym — i to nie-

oczekiwane postawienie kwestji wytrąciło Jankę na chwilę z równowagi.

Odrzuciła je jako nielogiczne, ale sprawiło jej ból. Minęło kilka dni, nim mogła się nanowo cieszyć pełnią życia. Zło, niesprawiedliwość, tak, były gdzieś, konieczne akcesorja życia, żeby wzbudzać pragnienie walki.

Staszewo wydawało się wtedy punktem na innej planecie. Któregoś dnia przypomniało jej się niespodzianie. Na szarych, granitowych schodach wiodących z westibulu uniwersyteckiego pod białą balustradą ujrzała niespodzianie znajomą twarz ze Staszewa. Syna dozorca Kalińskiego. Kiedyś przed laty nosił trepy i brązową welwetową kurtkę. Wplatał się w jakieś mętne wspomnienia widzianych przelotnie na ulicy twarzy. Pozbierał kiedyś korale.

Wyrwał się ze Staszewa (ktoś opowiadał, że ten chłopak chodził do szkoły) i był tu jak ona. A to jak znalazł się tu i jak mógł teraz siedzieć spokojnie nad bruljonem, gryząc w zamyśleniu ołówkę, czyż to nie było częścią wiedzy, jaką należało zdobyć? Jak dokonują się wysiłki ludzkie, to było najważniejsze. Wpatrzyła się uradowana w niego, musiał przecież spojrzeć, zauważyć i ucieszyć się jak ona wspomnieniem rodzinnego kąta, który po staremu budzi wspomnienie ciepła i jakiegoś najmilszego sobie, domowego zapachu.

Powinienby się zdziwić i ucieszyć. Ale przedewszystkiem trwało bardzo długo nim podniósł oczy. Wtedy jednak nie zdążyła spostrzec wyrazu jego twarzy. Poprostu nie zdążyła. Wymknął jej się w jakiejś

sekundzie, kiedy nieoczekiwanie już podniósł głowę. Ukłonił się, może się nawet uśmiechnął, może się zdziwił, ale tak niedostrzegalnie i obojętnie, że Janka poczuła się odepchnięta.

Odeszła szybko, otworzyła niepotrzebnie jakieś drzwi, uświadomiła sobie, że nosił okropny garnitur, prawdziwie staszewski i wtedy przyszło jej na myśl, że może coś go krępowało. Odległość, jaka istniała między nimi w Staszewie. Ze zbudzonym nagle nowo zapalem nawróciła i udzieliła sobie gorliwie nauki: to ja pierwsza powinnam się zbliżyć do niego.

Wróciła szybko, radośnie, ale na szarych schodach pod białą marmurową balustradą nie było już nikogo. Było po dzwonku, w salach zaczęły się wykłady.

Starym marzeniom Janki o kimś bardzo bliskim nie jest dane ziścić się.

Oto Madzia naprzykład wrasta w jej codzienne życie. Jest jej miła, ta okrągła zrównoważona, sprytna Madzia z czarnymi oczyma w białej twarzy. Madzia się przydaje, jest solidarna. Chce w niektóre dni wychodzić i „zato“ ułatwia Jance też niektóre spaceru.

Janka mówi: Więc jednak przymierze młodych? Madzi takie powiedzenia wydają się nienaturalne.

Ale niektóre wycieczki byłyby nie do pomyślenia bez pomocy Madzi. Naprzykład pójście na Walne Zebranie Bratniej Pomocy. To Madzia ofiarowała się otworzyć cicho drzwi przy umówionym dzwonku. Oficjalny termin powrotu został wyznaczony na dziesiątą, ale Janka odrazu żywiła wielkie obawy o możliwość punktualnego powrotu. Samo Zebranie zostało przy stole przedstawione babce bardzo łagodnie,

przekształcono je poprostu w rodzaj niewinnej herbatki.

Zresztą Janka nie wiedziała sama jak je sobie wyobrazić. Dla zaspokojenia swej ciekawości wybrała się z grubym, niskim kolegą z wykładów, którego postanowiła niezłomnie zgubić w tłoku przy najbliższej sposobności.

Co okazało się później najważniejsze i najstraszniejszego z tego pierwszego ważnego wieczoru w życiu Janki? Nigdy nie umiała później myśleć o tem jak o innych minionych zdarzeniach, mogła tylko zawsze, zamknąwszy oczy, widzieć wciąż nanowo, co widziała tego wieczoru i tej nocy.

Na początku był tłok, upał napchanej ludźmi auli, rzędy krzeseł pełne zgrzanych, rozprawiających, grupy pod ścianami, przy drzwiach, przy katedrze zamienionej w trybunę.

Pierwszą sprawą, którą Janka zrozumiała z przyśłuchiwania się była gwałtowna sprzeczka o wysłanie depeszy kondolencyjnej na śmierć pravicowego działacza. Sprawa wybuchła gwałtownie, sala zakotłowała się i w namiętnych okrzykach za i przeciw wyczuła Janka wielkość zdarzeń, kryjących się za prostemi słowami: depesza kondolencyjna. Nim się zaczęło głosowanie, sala zahuczała ruchem.

Przywódcy stronnictw biegali zgrzani, spoceni; na kolanie we dwóch, trzech redagowano rezolucje, potem znów jacyś niemianowani adjutanci roznosili swe wiadomości wśród stronników.

Pionki skaczące na niewidzialnych nitkach. Czuło się obecność mechanizmu kierującego tą całą biega-

niną, gorączką, rezolucjami, oklaskami i protestem. Był gdzieś blisko, ale jego prawda jak w dziecinnej zabawie „zimno, ciepło“ wymykała się Jance z rąk.

Wśród rozczarwionych, przejętych twarzy zobaczyła znajomą twarz Kalińskiego przy ścianie. Wtedy zgubiła swojego znajomego. Natychmiast znikła mu za najbliższą postacią, wchłonęła ją ciżba, nie dojrzał jej więcej tego burzliwego wieczoru w tłumnej sali.

Szybka i zdecydowana, podszedłszy do Kalińskiego, niespodzianie dla niego przemówiła sama. — Dobry wieczór, pan mnie przecież pamięta, prawda?

Wesoło skinął głową. — Naturalnie — i uśmiechnął się zupełnie przyjaźnie.

Wtedy Janka zarzuciła go pytaniami, co się dzieje, czy on rozumie wszystko, a jeżeli tak, to ona bardzo chciałaby wiedzieć..

Brzmiało to tak, jak pytanie zadane pierwszego wieczoru Madzi i Janka nie posiadała jednak jeszcze nauki, że nie dociera się odrazu do wnętrza tajemnicy prostym słowem.

Rozumiał, naturalnie. Od pierwszego dnia swego pobytu w Warszawie kręcił się ciągle wśród tych wszystkich nowych spraw, ale sposobność pouczenia kogoś, jemu zdarzyła się po raz pierwszy. I kogo. Powiedział ostrożnie:

— To jest przecież najprostsza walka stronnictw o wpływy. Przegląd własnych sił.

— Sejm? — spytała naiwnie.

— Pani myśli, że tylko w sejmie uprawia się politykę, a gdzieindziej ona nie istnieje? —

— Eh, coś już rozumiem, ale tu nie oczekiwałam tego. —

— Naturalnie, że tu też, przecież tu są pieniądze. Dostaną się na te cele, na które zechcą je wydać ci, co będą rządzić. —

— A depesza? —

— Ma znaczenie demonstracyjne. —

— No, pan jednak wie grubo więcej odemnie. —

Roześmieli się z tego oboje. Janka wyznała prędko temu szczupłemu, wysokiemu chłopakowi, który okazał się taki prosty i wesoły swoją chęć poznawania wszelkich spraw. Słuchała już obok niego do końca przemówień. Odwróciła się, kiedy głoszował przeciw jakiemuś wnioskowi, którego słuszność i jej wydawała się problematyczna.

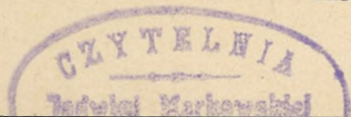
Wreszcie wyszli razem, ciągle pełni jeszcze żaru rozmowy i pochwycili najbliższy, styczny temat, Staszewo. Rynek i drzewa akacji, które wycięto w tym roku. Było im trochę ich szkoda. Mówili o ludziach ogólnie, ostrożnie, jacy są nieciekawi, jak ważne traktują swoje skromne życie, mówili o tem niewiele, ponieważ musiałyby wyjść najaw, że w tem małym, ciasnym Staszewie nie znają tych samych ludzi.

Kiedy skręcili w mioczną, opustoszałą Miodową było już po pierwszej.

— Gdzie pan mieszka? — zapytała Janka.

— Daleko, ale to nie szkodzi, odprowadzę panią, przecież to już blisko. —

Janka aż przystanąła, chciała pójść sama, nie bała się wcale i pałała chęcią dowiedzenia swej od-



wagi. Jej własne, głośno wypowiedziane słowa w ciszey pustey ulicy zmniejszyły nagle tę odwagę. Spojrzeli oboje przed siebie i zdaleka na jezdni ujrzeli kilkunastu ludzi przy czarnym wozie.

Szli w milczeniu, sami mężczyźni. Na ścianach domów z jednej strony ulicy rysowały się ich ogromne, wyolbrzymione cienie. Czarni, cisi, szli śpiesznie obok wozu. Budzili romantyczne myśli, dreszczyk tajemnicy. W każdym przecież żyje skryta wiara w istnienie niecodziennych, tajemniczych rzeczy.

A te ponure sylwetki w nocnej ciszy były tajemnicze jak walterscotowscy rycerze. Ale byli to rycerze nowocześni w paltach, z nadstawionemi kołnierzami i szli prędko obok czarnego wozu.

Oboje patrzyli na ich cienie na jezdni, a cichy, miarowy krok po wilgotnym asfalcie przejmował Jankę dreszczem zimnej, niezrozumiałej zgrozy jak lęki dzieciństwa przybywające z obcego świata bólów.

— Niech pan spojrzy — szepnęła — jaki tajemniczy pochód.

— Czy pani nie wie co to jest? —

Zaprzeczyła ruchem głowy. Jego twarz była mizerna w sinem, nocnym świetle ulicy.

— Nocny pogrzeb.

— Dlaczego nocny? — słowa drżały.

— Nocą — odpowiedział Kaliński, czerpiąc ze swego nowego doświadczenia — chowają politycznych, jeżeli zginęli w ulicznej walce i na pogrzebie mogą być demonstracje. Już raz widziałem taki. —

Szli przez chwilę w milczeniu i oczy ich poszukały znów czarnego pochodu. Szedł przed nimi kro-



kiem innym niż ten, który widuje się na zwykłych pogrzebach.

— Rodzinie niezawsze wolno iść też — powiedział cicho Broniek.

Skręcali w Kapucyńską. Czarne, olbrzymie cienie uciekały ukośnie w dal pustej ulicy, aż przesłoniły je domy.

Ich własne kroki samotnie, nierównomiernie uderzały o chodnik. Odkąd ustała wędrówka czarnych cieni na asfaltowej tafli jezdni, nie zamienili słowa.

— Co pani jest, bo? się pani? —

— Nie, chciałam coś powiedzieć, zapytać o coś. Pan wie, polityczni, kary, sprawy, to wszystko zdaje się było niegdyś, dziś wydaje się, że ta walka wygląda inaczej. A tymczasem po starym wciąż ktoś za coś umiera, a my sobie spokojnie w jasnych mieszkaniach... To jest tacy jak ja. I gdzie jest słuszność? A jeżeli nie u nich, to dlaczego trzeba nocą, w taki sposób? —

— Nie o to chodzi — powiedział Kaliński porwany nagle potokiem tych słów, które spłynęły z ust Janki. — Nikt nam nigdy nie mówi, że istnieją takie konflikty. Całą sprawiedliwość wyobrażamy sobie inaczej, skąd mamy wiedzieć zresztą? Całą naukę przyjmuje się przecież „na wiarę”. Potem nagle któregoś dnia zjawia się świat, o którym się nie ma pojęcia i trzeba się do niego ustosunkować. —

— Tak — powiedziała Janka — właśnie to, trzeba.

I to, że myśleli podobnie napełniło ją zaufaniem. Z poczuciem solidarności wyznała:

— Starsi są bardziej surowi, może dlatego my-

ślimy podobnie, że jesteśmy młodzi. Wtedy młody Kaliński wysoki, szczupły, taki miły i swojski chłopak zbliżył się tak, że szorstki materiał jego płaszcz otarł się o jej rękaw:

— To nie byłoby dziwne gdybyśmy byli podobni usposobieniem. —

Zaczerwieniła się. Naturalnie, przesady, wszyscy je mieli i on chciał powiedzieć z ironją, że mogą być podobni. I to właśnie jej, Jance. Teraz, kiedy widzieli to razem. Postanowiła wyjaśnić natychmiast:

— Nie widziałabym w tem nic dziwnego gdybyśmy byli podobni, — starała się pochwycić jego spojrzenie.

Stali już przed ciemną, żelazną bramą ich domu, ale Janka nie zamierzała wracać, dopóki nie powiedziała wszystkiego. Dlatego przecież ma się dziewiętnaście lat, żeby pragnąć wszystko zrobić i wypowiedzieć dziś, natychmiast, Do jutra, kto mógłby czekać tak długo?

— Przejdźmy się jeszcze — poprosiła — czy pan myśli, że ja mam jakieś uprzedzenia wywiezione ze Staszewa, zresztą mniejsza o to skąd, tu też można je zdrowo hodować. — Było to pierwsze weselsze słowo, które wypowiedziała.

— W tej chwili nie myślałem o tem — przyznał, a jego jasne oczy patrzyły z mieszaniną jakiegoś uporu i żalości. Gniewał się sam na siebie, gaduła.

— Więc o czem?

— Niepotrzebnie to powiedziałem. —

Janka zapłonęła. — Proszę mnie nie zbywać niczem. Dlaczego pan myśli, że nie zasługuję na zaufa-

nie? Dlaczego? — Serce jej weszło nagle dziecinną, ciepłą falą chęci posiadania przyjaciela, któremu (przecież pocichu wierzy się zawsze w tę możliwość) mogłoby się mówić absolutnie wszystko...

— Może łączą nas jakieś węzły — odparł.

— Jakie? — spytała krótko. Czy było coś nie-możliwego jeszcze w ten straszny wieczór?

— Poprostu węzły krwi — powiedział spokojnie z sercem skaczącem do gardła.

— Jesteśmy spokrewnieni, kiedy zacząłem, mogę skończyć, mamy wspólnego ojca — powiedział twardo.

— Skąd, dlaczego? — Niepotrzebnie nadbiegały śmieszne, dziecinne lzy.

— Wiem od lat. Chłopcy wykrzykiwali. Słyszeli od swoich matek. Kiedy ktoś kłócił się z matką zawsze mówiono o tem. Zdaje mi się, że wiem od zawsze...

— A matka? — Janka chciała zapytać o nią i nie znajdowała słów.

— Nie zna jej pani, ale starego Jeziorowskiego, który jest u was (u was powiedział teraz) pani zna chyba? To jej ojciec.

— Znam go. —

Stary Jezior. Niedołężny furman, bez zębów z miękko zapadniętą szczęką. Jego cała twarz ukrywała się w fałdach skóry. Ojciec twierdził zawsze, że stary nie pracuje już zupełnie, a trzyma go się tylko z litości

— I mojego ojca pani zna, dozorcę?

Skinęła głową w milczeniu. Czy można było zapytać o tego drugiego ojca? Jakże to było wtedy,

w tych odległych, zamierzchłych czasach, kiedy ojciec znał tamtą... matkę. Tak jak dzieje się w książkach, krótka miłość, a potem dwa małżeństwa? I co myślał o tem tamten wysoki, szczupły, jasnowłosy, do nikogo, nie, napewno do nikogo niepodobny. Brat. Nigdy dotychczas nie przychodziło na myśl, że rodzice mają jakieś własne, skryte życie. Myślało się o nich tak, jak oni myślą o dzieciach: przecież znamy ich od pierwszej chwili życia...

Znowu nierównomiernie stukwały ich kroki na cichej ulicy, jej drobne i prędkie, jego powolniejsze i dłuższe. Szli milcząc. Od chwili kiedy wiedzieli oboje, że są rodzeństwem byli tak bardzo obcy sobie.

Janka, patrząc zukosa dostrzegła w jego chłopczej twarzy niewidziany przedtem ostry zarys ściśniętych szczęk i myślała: to o ojcu pamięta... i zaczęła sama.

— Powiedz mi (dlaczego mówić „pan“?), co ty o tem myślisz? —

Spojrzał na nią dziwnie spokojny. — Czy on jeden? Moja matka nigdy nic nie mówi. Może się wstydzi, może nie zdaje sobie sprawy, że wiem. A zresztą nie taka to ważna sprawa. Jest bardzo późno. —

— A on nie interesuje się wcale?

Słowo ojciec stało się takie trudne do wymówienia.

— Nigdy, ani razu — rzekł Bronek Kaliński — ale to niepotrzebne i teraz pójdziemy do domu, prawda? —

Na ulicy było bardzo cicho, w żadnym oknie nie paliły się już światła.

Wtedy uparta, nieznudzona Janka zlekka drżącymi wargami podjęła jeszcze jedną próbę:

— Dlaczego nie chcesz mi mówić „ty“, czy nie sądziś, że to byłoby śmieszne? —

Poczerwieniał jaskrawo, po chłopięcemu i zmieształ się, nim wypowiedział z trudem:

— To, że jesteśmy rodzeństwem z przypadku, niczem przecież nie zmienia stanu, że wychowaliśmy się w zupełnie różnych warunkach, w innym świecie, że jesteśmy... no... obcy ludzie. —

— To znaczy, że nie można mi ufać na kredyt? — zapytała. Była wysoka, szczupła jak on, choć znacznie niższa, ale kiedy teraz wznosiła głowę, pytając, odczuli oboje jakieś niejasne podobieństwo między sobą. Odgarnęła długie, jasne fale włosów, które wysunęły się z pod granatowego beretu.

— Może z czasem... — powiedziała z żalem.

Zimna ręka bez rękawiczki ujęła jej dłoń.

— To jeżeli... chcesz, dobranoc... —

Serce biło dziecinnie mocno i szybko. Janka wracała kuchennymi schodami w zupełnej ciemności i trzymała się wąskiej, miejscami złamanej poręczy. W korytarzu nie było nikogo, zsunęła szybko pantofle. Jeszcze nigdy w życiu nie pragnęła tak bardzo być sama. Kiedy dotarła do drzwi ich wspólnego pokoju, odwróciła się dla upewnienia. Mieszkanie spało rzeczywiście. Z otwartego stołowego pokoju rozróżniało się w mroku meble jak wielkie, ciemne bryły. Prostokątny stół mógł być ciemnym wozem. Korytarze ciemnymi ulicami. Otwierały się z obu stron stołowego czarne, milczące Tylko na prawo w głębi

z ostatniego pokoju przez mleczną szybę w górnej części drzwi padało matowe, zmacone grubością szkła światło. To chyba wuj Adam nie spał. Może ludzie, którzy kiedykolwiek widzieli coś podobnego nie usypiają już nigdy prędko, przyszło Jance na myśl. Weszła do pokoju na palcach. Madzia nie obudziła się, i ona sama, kiedy ją objęła chłodna, miękka pościel usnęła natychmiast. Tylko pierwszą myślą, która przedarła się rano przez jej świadomość był wyraz: brat.

W małym Staszewie tak samo jak w wielkiej Warszawie, kiedy opustoszeją ulice, ostatnie pojedyncze postacie przechodniów rzucają długie, ruchome cienie poprzez jezdnię i bruk. Łukowa lampa kołysze się na wietrze i dźwięczy. Jest jasno, wietrzno i bardzo zimno. Cień Zygmunta Jeziorowskiego dyga dziwnie naprzeciwko poczty, na pustej ulicy. Jest pierwszy zimowy wieczór. Już rano po zbudzeniu się zrozumieli wszyscy, że zaczyna się zima. Chłód przyszedł nagle, niespodzianie, prawie bez przejścia po mgłach. Tego rana Jeziorowski poszedł po raz trzeci do elektrotechnicznego zakładu Kralla, gdzie miał dostać pracę. Nad bramą wisiał duży, czarny z białym szyld: Francisek Krall. Instalacje elektr. wszelkie naprawy.

Z obu stron bramy dwie, niewiadomo kogo oznaczające kamienne figury, kobieta i mężczyzna w twarzych kamiennych zawojach, miały obtłuczone nosy i poryte twarze. Jeziorowski był w samej marynarce, bo zimno zaskoczyło go po wyjściu z domu i drżąc biegł prawie po kamiennych flizach podwórza do par-

terowych drzwi warsztatu. Kiedy je otworzył spły-  
nęło nań trochę ciepła. Był w dobrze znanym, podłuż-  
nym pokoju z kolorowymi pakami po żarówkach. Na  
podłodze stały staroświeckie lampy z wielkimi bar-  
wnymi kloszami. Przybyły tylko radjoaparaty róż-  
nych rozmiarów, baterje i akumulatory i siedział no-  
wy pomocnik, piegowaty blondyn, płatny. Do tego  
mógł dojść niegdyś Zygmunt Jezior, gdyby miał ro-  
zum.

Stał teraz w wyczekującej pozie przy podłużnej  
ladzie, a sam Krall wysoki, chudy majstrował coś  
ostrożnie przy aparacie. Skinął Zygmuntowi głową  
w odpowiedzi na powitanie i milczał. Zawsze tak robił  
od lat. Kiedy zjawiał się ktoś, żeby go o coś prosić. —  
Tamten miał interes, niech sam zaczyna... —

Wtedy Zygmunt, rozgrzawszy się po ostrym chłó-  
dzie ulicy zapytał, żeby coś powiedzieć:

— Co słyhać, panie Krall? —

Zapomniał, a może nie dostrzegął, że to najbardziej  
zraża ludzi. Zwyczajny, poszukujący pracy elektro-  
technik nie może pytać właściciela zakładu co słyhać.

To są rzeczy, o których się nie mówi, trzeba je  
wyczuwać. Jeziorowski, choć z czapką w ręku zapytał,  
ale kiedy Krall dowiadywał się w ciągu następnych  
kilku minut czy jest zimno, nie odrywając wzroku od  
swego aparatu, Zygmunt spytał:

— A z tą pracą jak? Będzie? —

Wtedy Krall, trzymając w zębach koniec drutu,  
przesunął go i powiedział z namysłem:

— Chętnych mam z dziesięć, żeby tylko słowo  
im powiedział, ale, że się znamy i już obiecałem, to

niech będzie. Tylko z płacą jak mówiłem, bez żadnej stawki i godziny. Niema u mnie fajrantu o jednej godzinie. Jak jest robota, trza dłużej posiedzieć, a jak nima można wcześniej iść... —

Zygmunt zrozumiał: cały wieczór — i nie odpowiedział nic.

Krall rzekł obojętnie — Jak sami chcecie. —

Wtedy po raz ostatni błysnęła Jeziorowskiemu nadzieja, że może dziś będzie list i powiedział, ryzykując nawet utratę tej roboty, o którą tak zabiegał: — To ja jeszcze jutro przyjdę —

Krall skrzywił się i nie odrzekł nic. Piegowaty pomocnik podniósł głowę ze zdziwieniem i Zygmunt wyszedł, odsuwając po drodze z chrzęstem tekturowe paki. Myślał o tem, że jeżeli dziś nie przyjdzie list, trzeba tu będzie przyjść jutro i codzień odtąd. Krall zapłaci ile zechce, robota będzie trwała cały dzień. Już był na podwórzu i opadł go znów przejmujący chłód zimowy, szedł szybko drząc i stukał butami po kocich łbach niebrukowanej czystej, odludnej uliczki. Tylko list mógł coś zmienić, można było z niego wyczytać, że możliwy jest wyjazd i praca. Koledzy mieli się tem zająć tak gorliwie. Ale zbyt upragnione listy nie przychodzą nigdy.

Zygmunt nie czuł się właściwie przygnębiony, myślał o tem, że praca jest wszędzie jednakowa bliska i ciekawa i w gruncie rzeczy jednakowy jest wszędzie człowiek pracy, prosty, twardy, uparty i niezłomny. I tu będzie można żyć, ale mimo to w jakiejś skrytej, milszej niż te myśli nadziei szedł na pocztę.

Poczta była z czerwonej cegły, miała duże, wyso



kie okna i zegar z zewnątrz. Wewnątrz wszystko mieściło się w małej, zakurzonej salce z zapluta podłogą, pełną niedopałków, przy okienkach stały „ogonki“. Zygmunt doczekał swojej kolejki za panną w wytartym palcie i spytał czy jest list pod Z. J. — Nie było. W południe czekał drugi raz. Teraz nie drżał już tak. Nosił letnie palto i pod niem swetr. Kolejka była dłuższa i przed nim stał suchy, żółty na twarzy staruszek z czerwonymi oczyma, który podnosił się co chwila na palce, żeby zobaczyć czy urzędnik załatwia interesantów. Robił to tak często, że jakiś niepokój udzielił się Zygmuntowi. Myślał o tym koledze, od którego miał przyjść list. O tem jak konstruowali raz wspólnie aparat radjowy w Łodzi dla klubu robotniczego. Miał je teraz przed oczyma to zapomniane ni by, prostokątne pudło, które o wiele kilometrów od Staszewa chwyciło może w tej chwili słowa i muzykę z dalekiego świata i nieoczekiwanie zatęsknił w tej chwili gwałtownie do drutów, lamp anodowych, spinaczy, płytek, do tego tworzywa, które urastało posłusznie w rękę w coś żywego. Czuł w końcach palców dotknięcie „materjału“.

Pamiętał znów o pracowni Kralla. — Czy jest list pod Z. J.?

— Niema —

Wieczorem przychodzi ostatnia poczta. Właściwie niema już celu pytać o nią.

Ale może właśnie?

Zygmunt ziębnie teraz w swoim letniem palcie. Jest jasno, wietrzno i bardzo zimno. Łukowa lampa na wietrze kołysze się i dźwięczy. Cień Zygmunta Je

ziorowskiego dyga dziwacznie naprzeciwko poczty, na pustej Kolejowej.

Ojciec wydaje się być chory. Pewnie będzie musiał przestać chodzić do pracy. Stary „kuczer” ma sześćdziesiąt dwa lata. To dużo dla robotnika, starość. Blaszane talerze fryzjera stukają dźwięcznie. Może się zdarzyć, że wyczekiwany list przyjdzie właśnie w ostatniej chwili. Ojciec też już pytał, co u Kralla. Okienka pocztowe są zamknięte. Za jednym pali się światło. Zygmunt stuka lekko. — List pod Z. J.? —

— Jeszcze nie wysortowane. —

Opierał się o ramę i czeka. Jutro odpowie Krallowi. To prawda, dziesięciu, nie, dwudziestu innych zgłosiłoby się na to miejsce. Krall wie dobrze dlaczego woli czekać na młodego Jeziorowskiego. Wiadomo jak on jest bestja fachowy... Staszewo ma czterystu bezrobotnych i ojciec będzie jutro, pojutrze bezrobotny. Czasem sięga się wbrew własnej woli jasnowidząco w przyszłość.

— Zamrze — myśli Zygmunt z bólem i nie może się powstrzymać od tej zbyt prawdopodobnej myśli.

Szybka okienka w drewnianej ramie stuka. — Niema takiego listu. —

Zygmunt schodzi po raz trzeci po wilgotnych od szronu stopniach poczty, na blade oświetloną ulicę Kolejową.

Jutro i odtąd codzien u Kralla. Na wspomnienie jego chudej, przebiegłej twarzy robi się ckliwo. Może za zasloną piegowatej twarzy obudzi się drgnienie myśli u bladego pomocnika. To bywa tak. Jakaś niedo-

rzeczna nadzieja żyje zawsze w człowieku. w palcach czuje się już drżące prądy drutów.

Zygmunt w letniem, sportowem palcie z paskiem, marznie w pierwszy zimowy, bezśnieżny wieczór. Wiatr, który zmiata kurz na pustej ulicy, przejmując go dreszczem. Trudno oswoić się z myślą, że tu już będzie biegło życie, trudno jest wrócić do domu. Dlatego długo na Kolejowej stukają równomiernie kroki i poprzez całą jezdnię i bruk pada cień człowieka. Szczęśliwego człowieka, ideału swego czasu, człowieka, który dostał pracę.

Perswaduje sobie sam, że jest szczęśliwy, ocenia swe szczęście i nie może się niem ucieszyć.

...W tę straszliwą pogodę dyrektorowa Brandt zostaje w domu. Przez okno swojego pokoju rzuca smutne spojrzenie na ulicę. — Miły Boże, kto idzie tak powoli na tym wietrze? — myśli, kiedy samotny, długi cień człowieka pada na bruk naprzeciw jej okna.

---

### *Notatki Janki.*

Kiedy zarzucam dziennik na dłuższy czas, nie umiem później wcale pisać. A jednak co pewien czas postanawiam notować ważniejsze wydarzenia, to ułatwia przemyślanie ich. Przyszłam do wniosku, że nie potrzebnie zachowuję ciągłość wydarzeń. Streszczam wszystkie fakty, jakbym ich nie znała, a przecież piszę jedynie, wyłącznie dla mnie...

Nie pisałam nigdy dotąd o Bronku i nie mam potrzeby robić teraz komentarzy. Nie będę opowiadała

żadnych wydarzeń, notuję tylko to, co było dziś, bo chcę się nad tem zastanowić.

Bronek okazał mi wielkie zaufanie. Nie wiem tylko, czy to wynika z jęgo przyjaźni dla mnie, czy też poprostu z chłopięcej lekkomyślności.

Wczoraj przed południem spotkałam go na wykładzie. Przychodzi często na psychologję i poznaję go zawsze zdaleka. Jego jasna czupryna sterczy tak wysoko. Lubię jego oczy, są takie jasne i szczere. Kiedy widzę jego śmieszne ubranie w jakąś buraczkową kratkę, cieszę się zawsze, że się przyjaźnimy.

Rozmawiamy ostatnio dużo z sobą. Opowiedziałem mu, że Madzia wyjechała i ja zabiorę się dziś do czytania. Wtedy zaczął namyślać się nad czemś i narreszcie powiedział:

— Gdybyś chciała, możesz przyjść dziś do mnie. Chcemy zorganizować kółko. —

— Kto?

— Jest nas kilku znajomych —

— I dziewczęta? —

— Są też. Dwie.—

— Jakie to kółko? —

— Takie, badań społecznych, skonomicznych.

Bronek wydał mi się w tej chwili dziecinny ze swą ją rozwichrzoną czupryną i zamiarem dokonywania społecznych badań w kółku znajomych.

— Nie wiem czy przyjdę — powiedziałam szczerze — to mi się wydaje dziecinną pozą.

Spowaźniał odrazu i wpadł w zły humor, bo on jednak nie ma do mnie zupełnego zaufania:

— Wahałem się nawet czy ci powiedzieć —

Zrozumiałam, że kóiko mogło mieć niezupełnie ten cel, o którym mówił Broniek. To, co on powiedział, było najogólniejszą nazwą.

— Pójdę — zdecydowałam odrazu, ale teraz Broniek był mniej chętny.

— Nie wiem, czy tobie to będzie odpowiadało. —

— Przyjdę. Obraziłeś się przedtem? —

Rozpogodził się odrazu:

— Nie, nawet gdybyś powiedziała, że nie chcesz. Musisz przecież sama wiedzieć, co uważasz za słuszne.

Broniek jest prosty i wyraźny, nie trzeba niczego doszukiwać się za jego słowami. Ja może staram się być taka, u niego to się dzieje bez wysiłku. Myślałam potem długo co jest słuszne. Postanowiłam pójść napewno. Wszystko, co rozszerza mój horyzont myślowy, moją wiedzę o faktach jest napewno dobre. Słuszne jest, żebym coś poznała, zanim to odrzucę, lub przyjmę. O siódmej miałam już przygotowaną dla babki wymówkę. Muszę powiedzieć, choć to mi sprawia przykrość, że włożyłam palto, nie futro. Lepiej się w niem czuję i wiedziałam, że to jest odpowiedniejsze, ale dziwna rzecz wydawało mi się, jakgdybym postępowała nieuczciwie, jakbym się przebierała.

Broniek powiedział, że mieszka Tamka 10, u Koźlaka. Myślałam, że to jakaś ciupka, ale dom jest duży, od frontu pełno sklepików z barwnymi reklamami towarów spożywczych, wygląda żywo i wesoło. W źle oświetlonej bramie szukałam spisu lokatorów. Spis, jak wszystkie spisy, wisiał tak wysoko, że odczytać mógłby go tylko wielkolud. Jego znaczenie było zupełnie teoretyczne, jak powiada nasz profesor.

Męski i „dziecięcy“ krawiec Koźlak mieszkał na drugim piętrze w oficynie, oznajmił mi dozorca. Broniek pouczył mnie zawczasu, że nie trzeba dzwonić, tylko pukać, bo jego pokój ma wspólną ścianę z sienią i usłyszą zaraz. Rzeczywiście otworzono mi tak przedko, jakby ktoś czekał pod drzwiami. Broniek przeprowadził mnie przez ciemny korytarz zastawiony jakimiś drabinami, potem przez kuchnię również ciemną. Na kuchni świecił błękitny płomyk gazowej maszynki. Było niesamowicie ciemno i cicho.

— Co to za mieszkanie? — zapytałam, ale Broniek odpowiedział tylko: — Cicho! —

Nareszcie otworzyliśmy drzwi pokoju Bronka i olśniło mnie jaskrawe światło nagiej żarówki zwieszającej się od sufitu bez abażura. Było pełno, sami chłopcy, przeważnie w wieku Bronka i dwie dziewczyny. Nie było gdzie siedzieć. Dziewczęta we dwójkę zajmowały jedno krzesło. Jedna była niska, tęga w męskim swetrze, druga szczupła, mizerna miała śliczne oczy i śmiała się wciąż. Widziałam pierwszy raz taki nagi, ubogi pokój. Nikt nie zwrócił na mnie baczniejszej uwagi, może tylko dziewczęta.

Nie było dla mnie innego miejsca jak łóżko z poгниecioną derą. Siedziało na niem już dwóch. Broniek i bardzo mizerny szatyn, bezbarwny, o przenikliwych oczach w szarem ubraniu, o jednostajnie bladej twarzy, robił wrażenie bardzo skupionego.

— Spóźniłaś się — powiedział Broniek bardzo poważnie — już zaczęliśmy —

— Mówiliśmy o tem w jakim celu ma się utwo-

rzyć to kółko — powiedział głębokim, bardzo pięknym głosem siedzący obok mnie szatyn:

— Otóż kilku znajomych wyraziło chęć wspólnego zaznajamiania się z ekonomją polityczną i socjologją w popularnym zakresie. Czytanie i dyskusje nad formami życia społecznego obecnie w różnych krajach byłyby narazie treścią zebrań.

Podjąłem się udzielić wskazówek. —

— Narazie — zapytałem — czy jest też coś przewidzianego na później?

Odpowiedział natychmiast — Kółko samo będzie mogło decydować o takich sprawach. —

Odpowiedź była uważana za wyczerpującą. Dodał jeszcze, że złoży spis lektury na ręce tego, kogo wskażemy. Potem niska blondynka zapytała go:

— Czy nie przyjdziecie już więcej do nas? —

— Przyjdę, ale pokierujecie sami — rzekł — Czy chcecie przeczytać Marxa w popularnem opracowaniu?

Wtedy zabrało głos kilku jednocześnie. Nastąpiło małe zamieszanie. Jedni proponowali Traktat Erfurcki, inni zgadzali się na Kautskyego.

— Przecież możecie jedno i drugie — powiedział szatyn i uśmiechnął się.

— Traktat jest piękny — powiedziała znów blondynka — Taki jasny, zrozumiały i zwięzły. Wyjaśnia odrazu wszystko. To jest książka, która zrobiła na mnie największe wrażenie. — Rozluźniła przy tem swój męski swetr na szyi, jakby jej się zrobiło gorąco.

— Czy ktoś ma jeszcze pytania? —

Nie, nikt nie miał. Brońek zaczął mi pokolei przed-

stawiać wszystkich. Pierwsze zebranie kółka było skończone. Drugie naznaczono na przyszły tydzień. Kiedy poznałam małą blondynkę zapytała mnie czy będę przychodziła na zebrania.

— Będę — odpowiedziałam — powinny być bardzo ciekawe. Chciałoby się samemu zbadać wszystko i zobaczyć, co jest słuszne.—

Przyjrzała mi się. — Tutaj — powiedziała surowo — jesteśmy wszyscy zdecydowani, co jest słuszne, chcemy to tylko poznać dobrze.

Bronek podszedł do nas.

— Będę przychodziła — powiedziałam do niego — szukam odpowiedzi na tyle pytań.

Może są tu? —

— Myślę — odpowiedział.

Dziewczęta są surowsze i bardziej nieufne -niż chłopcy.

Zwróciłam uwagę na jednego chłopca. Był bardzo porządnie ubrany, to spostrzegąło się odrazu w tym niezbyt czystym, gołym pokoiku i miał na palcu pierścionek z krwawnikiem. To był napewno unikat w tym kółku. Biżuterji nawet ja nie miałam. Ale najciekawsze było to, że ktoś jeszcze wymyślał się ze swojej „góry“ i szukał wyjaśnienia dla tego, co nie było w porządku na tym „najlepszym ze światów“. Muszę zapytać Bronka kto to był.

Nie, ten pokoik nie daje mi spokoju. Naga żarówka i jakiś brudny łachman zamiast firanek, a potem znów wyjście zawalonym korytarzem i ciemną kuchnią w zupełnej ciszy.

Myślę często o tem kto opłaca studja Bronka. On



mówi, że matka przysłała trochę. Ale może bierze też coś od ojca bez jego wiedzy?

Czy ojciec nie myśli o nim nigdy, jaki jest, że on może klepie biedę, że gdzieś żyje i obraca się na świecie, że może mnie spotkać, on, syn mojego ojca...

Zaczyna się już wiosna, pojedę już niedługo do domu. Broniek za pierwszym ciepłym podmuchem zrzucił zimowe palto i nosi jakieś żółte deszczowe. Spotkałam go wczoraj znów i rozgadaliśmy się na dobre. Opowiadał o domu i swojej rodzinie.

Słuchałam go cały czas. Później dopiero zauważyłam, że nie zapytał mnie o nic. O dozorcę Kalińskim mówi zawsze ojciec. Ten „ojciec“ rozmawia z nim bardzo mało, zato kocha młodszą siostrę, Łucję.

— Ale ja — powiedział Broniek — rozumiem go. Kiedy byłem mały marzyłem o tem, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, przypodobać mu się jakoś, ale on był zawsze taki sam.

Matka zato ubóstwia go i pokłada w nim największe nadzieje. — Jestem jej ambicją — powiedział i za czerwienił się.

On jest jeszcze taki chłopięcy, naprawdę bardzo go lubię. — Broniek, — powiedziałam mu — jak to dobrze, żeśmy się wtedy poznali, i że od wtedy myślę o tobie zawsze: brat.

— To niesłusznie — odrzekł — nie jestem twoim bratem. Przypadkowy, zapomniany syn.. —

— Ale syn mojego ojca. Kto wie czy zaprzyjaźnilibyśmy się tak, gdyby nie to? —

— Kto wie? — powiedział z przygnębieniem

I mnie było nagle nieznośnie. Opowiadał mi jeszcze o bracie swojej matki. Przed ukończeniem gimnazjum musiał rzucić wszystko i został zwykłym robotnikiem.

Wydawało mi się zawsze, że znam tak dobrze Staszewo i wszystkich ludzi stamtąd, a teraz widzę, że wiem o nich tak mało.

---

O domu myślało się rzadko. Wystarczała pewność, że jest gdzieś: Odsuwały go przez cały czas drobne, barwne wydarzenia codzienne i dopiero w pustym przedziale wagonu drugiej klasy, na prążkowanej pluszowej ławce wynurzyło się przed oczyma Janki Staszewo, tak, jak wynurzają się z od dali dachy i wieże miasteczka w biegu samochodu.

Ulice, rynek, młyn i willa jak widoki na filmie. Potem zaludnili je ludzie, znajome, dawno niewidziane twarze. Wtedy Janka poczuła, że naprawdę wraca do domu. Na podwórzu młyna stróżował teraz pewnie ojciec Bronka, a jego dziad z zapadniętą, starczą szczęką stał na zamączonej rolwadze, w jakimś warsztacie pracował jego wuj, Zygmunt, który wedle słów Bronka mógłby tyle powiedzieć. W domu oczekiwali pewnie rodzice. Wszystkich tych tak bliskich od siebie i dalekich łączyły niewidzialne nici, życia ich spletały się ze sobą bez ich wiedzy, wbrew woli i były nierozłączne.

Wtedy Jance przyszło na myśl jak mało wie i myślała o swoim ojcu. Czyż zna się własnych ojców? Kiedyś, kiedy już są dojrzałymi ludźmi z całym życiem przeżyć i myśli postanawiają wydać dziecko na świat,

albo czasem wbrew ich woli można się zjawić przypadkiem. Od tej chwili już chcą wychowywać, zrobić coś z bezwolnego, bezmyślnego stworzonka, które zjawiło się odrazu z przeczuciem, że trzeba wierzgać przeciw ciasno opasującym pieluchom.

Czyż można wiedzieć jacy ojcowie są naprawdę, przecież w obecności dzieci zawsze „wychowują“. Napewno Janka mogłaby teraz tylko to powiedzieć o własnym ojcu, że jest wysoki, elegancki, uprzejmy i spokojny. Ale jakim był rzeczywiście dziś i dawniej, zanim poznał matkę, zanim ona została urodzona, wtedy, w tych zamierzchłych czasach, kiedy (Czy to może być rzeczywiście?) poczęło się życie Bronka?

Jak taktowny, uprzejmy ojciec rozmawiał z Jeziorowską, z Kalińskim i jak było możliwe, że po tem wszystkim żyli dalej obok siebie, stłoczeni na małym odcinku życia? Co ojciec myślał o pracy i bycie ludzi z młyna? Raz do roku, na Boże Narodzenie rozdawano gwiazdkę ich dzieciom, niekiedy mówiło się przy stole o nieprzyjemnościach w młynie, ale żadne realne fakty nie były Jance wiadome.

Janka ze spokojną stanowczością powzięła natychmiast postanowienie, rozważone tak dokładnie jak plan zajęć dnia w Warszawie: zbadać to wszystko.

Wtedy wstała z wąskiej, pluszowej ławki w przedziale i podeszła do okna. Kiedy pociąg mijał ostatnią, małą stacyjkę przed Staszewem, Papowo, wraz z odległymi zarysami miasteczka ukazywała się na horyzoncie szara smuga dymu. To oddychały Zjednoczone Młyny. To był znak, że w kotłowni na dole płonie

ogień, że z kotła płynie para i wprawia w ruch, lśniące, metalowe, obłe ciała walców. Na dole czarna i czerwona kotłownia, na górze biali ludzie i białe worki. Mieszarki i olbrzymie filtry, w których wewnątrz zagłędała tak często, podnosząc szybkę. Znała je wszystkie na pamięć, walce, mieszarki i przesiewacze nieustające w dziwnym, tanecznym ruchu.

Młyn był istotą, która znała nawskroś, dlatego był jej najbliższy. Janka włożyła palto i zapięła rękawiczki. Kiedy zegarek wskazywał czwartą czterdzieści, stanęła znowu przy oknie wagonu. Serce jej biło. Tak, jak bije często, choć oczekują sami przewidziani ludzie i przedmioty. Ale wtedy nagle przetarła ręką oczy. Walizka stuknęła i obija się twardo o drzwi przedziału, odrzucona kołysaniem pociągu.

Nie było widać dymu. Za Papawem jego szara, długa, wełnista smuga kołysała się jeszcze napewno wysoko w górze i opadała nad czarnymi, wiosennymi skibami. Janka widziała go wtedy wyraźnie i przywiódł jej wówczas na myśl młyn. Ale teraz nie było go. Przechylona przez okno wagonu, napróżno czepiała się źrenicami pustej, bladej przestrzeni. Było niebo i pola, ale dymu nie było. Ustał nagle, w biały dzień i niemylnem przecuciem bliskiego człowieka, Janka wiedziała, że się coś stało.

Nim jeszcze ustało kołysanie pociągu, kiedy dopiero zwolna zaczęły zgrzytać hamulce, wyskoczyła ze swoją walizką na twarde żwir peronu.

Przebiegła cichą stacyjkę Staszewa, gdzie wysiadło tylko kilkanaście osób i wyszła przed budynek stacyjny. Stała tam bryczka i zniszczony Ford, jej

nie oczekiwał nikt. Spojrzała w górę, ale tego, czego bała się najbardziej, łuny ognia nie było na niebie. Stało się coś innego.

Nie można było nawet snuć domysłów co. Nic nie może zatrzymać młyna w ruchu w ciągu dnia, tak, jak nie ustaje bicia żywego serca. Zatrzymuje je tylko wypadek. Grzęznąc stopami w rozmięklej, polnej drodze, która wiodła od stacji, pędziła Janka ze swoją walizką, mijając baby z koszykami, usiłowała przegonić wszystkich, którzy szli przed nią. Serce uderzało boleśnie, kłując aż pod ramionami.

W kotłowni leżała góra miękkiego, błyszczącego mialu węglowego. Szufła palacza zanurzała się w nim co chwila i zsypywała z chrzęstem maleńkie węgielki w czerwone ognisko olbrzymiego pieca. Czarne ściany były wilgotne od pary. Kotłownia była sama czarna i czerwona jak otchłań pieca, ale obok w maszynowni wszystko lśniło jasno i biał.

Kaflowa podłoga połyskiwała wilgocią, stalowe walce i ciemne koła były pokryte rosą pary. Stal walców jaśniała srebrzyście. Przy maszynie stał w cieniu bluzie Jan Stępień, maszynista. Ostrożnie, ze znanstwem smarował oliwą mały tłok i żółty tłuszcz kapał mu po palcach. Mruczał coś wesoło, bo w południe pił. Kilka sznapsów u Maka. Tylko kiedy się piło, można było poradować się. Po trzeźwemu nie było czego. Ale maszynista Stępień miał mocną głowę. Mógł lać bezbarwny, ognisty sznaps jak wodę. nieprędko zapominał gdzie jaka śrubka i tłok. Pamiętał zawsze dobrze o wszystkim i dlatego nie mógł się

nigdy oduczyć raz zapamiętanej gadaniny o złych warunkach robotniczego życia i pracy. Gadał jeszcze nawet dziś, kiedy każdy kleszczami swoją robotę trzymał i mniej się bał śmierci jak tej straty. Ale Stępień był nieżonaty i mógł ryzykować. Dlatego gadał sobie po dawnemu, ale pił całkiem inaczej jak kiedyś przed laty, kiedy odmawiał śmiesznie kieliszka: niepijący.

W kotłowni palacz Bukowski nabierał miar, ale zostawała na szufli tylko odrobina, reszta rozsypywała się na podłodze przed piecem.

W południe pił ze Stępieniem u Maka. Pił więcej niż Stępień i miał słabszą głowę. Ludzie pracujący w kotłowni piją chętnie. To jest niewzruszone prawo maszynistów i palaczy.

Na dworze topniał śnieg. W maszynowni palacz rozpiął już koszulę. Gęste, powietrze duszne od ognia i węgla, wilgotne od pary z trudem napełniało płuca. Koszula jak mokra szmata dokładnie przylegała do pleców. Chciało się spać. Ale była to dopiero ósma godzina pracy, a fajrant palacz miał po dwunastu. Ludzie w kotłowni pracowali na dwie zmiany,

W głowie szumiała wódka. Trzeba czasem człowiekowi małej odmiany. Choćby pośmiać się przy kieliszku.

Obok w maszynowni zgrzytały walce i szumiał pas wielkiej transmisji. Palacz Bukowski nabrał jedną po drugiej trzy pełne szufle czarnego lśniącego miaru i przyduśił nim czerwony ogień, aż po chwili dopiero nanowo buchnął ponad czarnem szkliwie węgla olbrzymim, płomiennym słupem.

W maszynowni po stalowych walcach gęstemi

strużkami spływała skroplona para. Stępień grubemi palcami ostrożnie sprawdzał naoliwienie łożka. Walce szczękały, obracając ze zgrzytliwym trudem wielkie koło z transmisją. Tu biło serce młyna. Palacz Bukowski miał mętne oczy i zlepione włosy na czole. Usiłował liczyć, ile godzin pozostało jeszcze, ale nie mógł. Nie wiedział, czy jest dopiero osiem, czy już idzie dziewiąta, wiedział tylko, że jest „wstawiony“ i kiedy myślał o tem, chwycił w podnieceniu nanowo szufłę i strącał czarną chmurę miazgi w czerwoną czełuść paleniska.

Wtedy otworzyły się drzwi i z podwórza wpłynął czysty strumień powietrza. Pot na czole palacza spłynął zimną strużką. Dyrektor Brandt przychodził codzień o innej porze na inspekcję kotłowni.

W tej samej chwili maszynista Jan Stępień, podśpiewując wszedł do kotłowni i dźwiękiem raptownie załamał mu się w gardle na widok dyrektora.

Nie istnieją żadne zakazy śpiewania przy pracy, ale każdy robotnik wie: tego się nie robi.

Dyrektor Brandt miał swą zwykłą, obojętną twarz, która nie dostrzegała ludzi, tylko maszyny. Stępień zakłopotany zbliżył się do kotła. Machinalnie spojrział przez szybkę na poziom wody. Jego oczy były mętne.

Wtedy w dusznej, mrocznej maszynowni, czarnej od węgla, czerwonej od płomieni wybuchnął straszliwy okrzyk maszynisty: — Wody niema! —

Z szufli palacza wysypał się miazg czarna chmura u stóp dyrektora. Jeden przez drugiego rzucili się do

maszynowni. Stępień oburącz pochwycił koło, oparł się na niem, dysząc ciężko i wykonał niem lekki ruch.

— Do pieca — krzyknął Brandt nienawistnie palaczowi i chciał nacisnąć dzwonek alarmowy.

— Nie, — ryknął Stępień z rękami na kole —  
rozwali młyn —

W kotłowni leciał już na podłogę czerwony, gorejący żar z szufli palacza. Wyrzucał ogień z oszalałą myślą: może jeszcze nie pęknie...

Dyrektor Brandt ciągle jeszcze trzymał rękę na tabliczce z czerwonymi literami: Dzwonek alarmowy. Był blady jak ściana maszynowni, pamiętał o śmierci.

Czała się w rozgrzanym, suchym kotle. Huk mógł lada sekunda zwiastować ją wszystkim ludziom w kotłowni, na młynie, obok w budynku biurowym, na cichej, pełnej wiosennych kałuż ulicy. Dziesięciotmrowy kocioł, eksplodując, mógł za chwilę opaść rumowiskiem trupów maszyn i ludzi, żelaziwa i rozniezionych kości. Trzej ludzie w kotłowni widzieli je dokładnie, dwaj podpici i jedyny trzeźwy.

Koło w dłoniach maszynisty wykonało drugi ruch. Z czoła spływał mu pot, opierał się na kole całą górną częścią ciała i wtedy w dusznej ciszy, w której szeleściły krople spadające z wałków, koło wykonało trzeci, ostatni ruch, który zamykał obrót. Walce zgrzytały ciężko, coraz wolniej, aż wielkie czarne koło zapędowe stanęło nieruchomo. Coś zatrzęszczało. Potem usłyszeli dalekie zgrzyty i wreszcie szybkie kroki ludzi w biegu.

Ktoś pchnął drzwi kotłowni, wszyscy wtoczyli



się. Podmłynarz Herbst krzyknął pierwszy — Co się stało? —

Dyrektor Brandt błdy śmiertelnie, opuściwszy rękę z czerwonego napisu, odpowiedział ochryple: — W kotle nie było wody — i zaraz zapytał — pewnie są szkody? — Herbst machnął ręką — Musiało się parę śrub popsuć, ale żebym dzwonek dostał... —

— Walceby pękły, zaprędkoby stanęło — powiedział z nad kotła Stępień głosem, jakby zasypanym piaskiem.

Obok w kotłowni ludzie mówili beładnie. Każdy o sobie, jak spostrzegł, że młyn staje. I jeden z nich wysoki, szary od mąki wypowiedział wspólną myśl: — Żeby tak kocioł... —

Dyrektor Brandt wszedł do kotłowni. Wyrzucony z paleniska bladoróżowy żar stygł na cementowej podłodze. Palacz Bukowski żółty i biały na twarzy opierał się na szufli. Przy kotle stali biali ludzie z młyńa. Zdawało im się, że słyszą ciche trzeszczenie kotła. Sinemi wargami rzekł dyrektor do palacza:

— Jutro przyjdźcie do biura. —

Palacz zmełł w wargach jakieś niedosłyszane słowa i spuścił głowę. Liczył swoje dzieci i pamiętał teraz, że było ich siedmioro.

Dyrektor Brandt wrócił do maszynowni. Biała wilgotna posadzka kafłowa nosiła ślady mnóstwa brudnych stóp. Para przestała unosić się w powietrzu.

Mokre walce i koła srebrzyste i czarne lśniły. Brandt wyjął z kieszeni dwie srebrne monety. Nie mówiąc nic podał je Stępieniowi, i powiedział do podmłynarza:

— Włączyć drugi kocioł — i wyszedł.

W maszynowni ludzie zaczęli się tłoczyć do Stępień-  
nia, niektórzy podeszli do palacza. Wtedy Jan Stępień  
blady i spocony jak wyjęty z wody, puścił wreszcie  
koło i stał trzeźwy, jakby nigdy nie pił. Gubiąc i po-  
łykając słowa musiał sto razy opowiadać na żądanie  
jak to oni wszyscy i cały młyn mogli się stać kupą  
gruzów, żelaziwa i popiołu tego, co nigdy żyło, prze-  
rabiało zboże na chleb, czegoś pragnęło, coś usiłowało.

Słuchając go myśleli wszyscy biali ludzie o dwóch  
monetach, które miał w kieszeni. —

Na podwórzu owiało dyrektora wiosenne powie-  
trze. Poczuł wracające życie. Serce ciągle jeszcze ude-  
rzało nierówno. Wtedy zobaczył kogoś zdaleka.

Ktoś biegł, ktoś mu się rzucił w ramiona.

— Głos zamiast — Tatusiu! — zawołał —  
Młyn? — i drżał.

— Nic się nie stało — powiedział Brandt, trzyma-  
jąc córkę — zatrzymaliśmy w porę. Łotr, palacz nie  
zauważył, że niema wody. Ale skąd ty wiesz? —

— Zdaleka, już z pociągu widziałam, że młyn  
stoi.—

Była zarumieniona od biegu, jasne włosy spycha-  
ły mały beret. Brandt uderzył się nagle w czoło —  
Ale... W tym zamęcie nie posłałem auta, ani koni po  
ciebie. Jakżeś ty przyszła, dziewczyno? —

— Pieszko — uśmiechnęła się, dysząc jeszcze cięż-  
ko.

— Ależ — zaprotestował ojciec — trzeba było  
wziąć samochód. Nie miałaś pieniędzy?

Ież to ostatecznie mogło kosztować, pięć, dziesięć złotych —

— Który to jest Stępień? — spytała córka, patrząc na młyny. Stały spokojne, masywne, wysokie. Wtedy Janka Brandt poszła z ojcem w stronę willi.

Na lśniących, wyfroterowanych schodach leżał czerwony kokosowy dywan. Pachniało zaprawą do podłogi i terpentyną. To był zapach rodzinnego domu. Wieczorem całe Staszewo mówiło o niedosłej eksplozji. Maszynista Jan Stępień został jeszcze sto razy zmuszony do powtórzenia historii. Zaproszono go ze trzy razy na kawę.

U palacza Bukowskiego nie było tego dnia codziennej pomorskiej kawy. Zapomnieli, ale wielka kupa dzieci przypomniała hałaśliwie. Nie zapominały nigdy.

W sobotę rano nadeszła karta w pośpiechu modym bleiszyttem pisana od Bronka, że nie w sobotę, ale w środę dopiero do dom przyjadzie.

Popołudniu w sobotę cud w młynie się stał, że kocioł, choć bez wody nie pękł i maszynista wszystko w porę zatrzymał. W wieczór po robocie stary włożył niedzielne ubranie, wąsy wyszczotkował i ruszył do cugu. Jechał do siostry do Małych Radowisk na chrzciny, bo jej się po pięciu latach pierwszy dzieciak narodził. Dlatego na niedzielę Truda sama została, bo Łucka zara zrana do babki poleciała.

Ubrała się spokojnie, żeby iść do kościoła. Włożyła co najlepsze, długą suknię z czerwonego musłinu

w czarne kropki z długimi bokami, które wypływały z pod starego palta.

Wracając z kościoła wstąpiła do prywatnego pomieszczenia państwa Brydzewskich, tych, co największy i najstarszy skład apteczny w rynku mieli. W piątek pani Brydzewska putę własnego chowu od Trudy wzięła i powiedziała:

— No, to niech pani Kalińska w niedzielę do nas po tapetę wstąpi. Już ja naszykuję. —

Truda chciała pokój nową tapetą okleić i nigdy jakoś się nie składało. Teraz poszła. Bywała nieraz u Brydzewskich jako młoda dziewczyna, bo sama pracowała u nich w składzie przez trzy miesiące. Wtedy mówili jej zwyczajnie: Truda — i nieraz jej się obe-rwało.

Ale szła chętnie. Znowu ze wzruszeniem przypatrzyć się mogła jak mieszka bogate państwo. Czekala na panią Brydzewską w stołowym. Wprost drzwi wisiały tam w czarnych ramach portrety pań w gorsetach, z wysokimi kołnierzykami u bluzek i panów w tużurkach. Niektórzy mieli bokobrody, a jeden nosił halsztuk. Pod obrazami stała pluszowa otomana, rozłożysta, z oparciem i wałkami po bokach, zielona, szeroka i stateczna. Gipsowe figurynki były ustawione na brunatnym kredensie, okrągły stolik o dziwnym blacie dźwigał porcelanowy przybór do herbaty. Na mniejszej ścianie wisiał ogromny landszaft dziwne go miasta, gdzie środkiem płynęła woda, a po bokach stały pałace.

Truda pamiętała to wszystko, stało tak przecież od lat. Nieraz przyglądała się w zadumie cudownym

meblom, a był czas, że je przenosiła w marzeniu do czerwonej willi, w której nigdy nie była.

Może tam, na takiej pluszowej otomanie wypoczywał, może pił z malutkich filiżanek, a panie na portrecie to były krewne.

Truda nigdy nie widziała wnętrza willi i nie mogła się przekonać, czy tam jest podobnie, przez długi czas omijała ją nawet zdaleka, aż wreszcie rana przestała być bolesna i czerwona willa nie była inna jak pozostałe w miasteczku.

Kiedy pani Brydzewska weszła, zaczęła z nią wybierać tapety, wyszukała co najlepsze, przy rachunku zęcznie urwała, co jej się za putę należało, i poźegnawszy się wyszła.

Nie było się dziś do czego spieszyć, poszła tedy powoli uliczkami zapehionymi ludźmi, na promenadę nad jeziorem i choć było jeszcze mokro i wietrzno o tej porze, zasiadła na pustej ławce, wyciągając przed siebie lekko obrzmiałe nogi. Tęskniła za Bronkiem. Oj, niechby też miał kiedyś takie pomieszkanie z meblami i porcelaną.

Między nim i starym wielkiego kochania nie było. Cóż wiadomo i tak był dobry. Przecie niewłasny. Tak, były czasy. Teraz już przytyła mocno. Włosy były przygładzone, rzadsze, znalazłoby się parę siwych, oczy tylko zostały czarne i błyszczące, choć powieka nad nimi pomarszczyła się lekko. Tak to życie wyciekło potrochu jak woda z pękniętego nieznacznie dzbana, podziewało się nie wiedzieć gdzie, upływało nie wiedzieć jak... Wczoraj rano była karta, potem przyszła matka i o Brysi Nastowej powiadała, jak jej

maż trochę kości policzył. A później tylko o młynie i kotle ciągle ludzie powiadali i o szczęściu maszynisty.

A ten sam Stępień? No, jak ten się zmienił! Pił, a do nich nigdy nie zaglądał od lat. A jeszcze wcześniej, w piątek po południu był pogrzeb proboszczowej siostry i czterej księża szli za nim, a ludzi, mój ty jeny! Cała ulica i cmentarz był pełny. Któż to też jej bogactwo weźmie? Pewnie bracia na kościół przepiszą, czy jak? Wędrowała myśl Trudy po sprawach dalekich i bliskich, o tem, że Łucce buty trza kupić znów, i kiedy stary wróci.

Wtedy z zakrętu pokazał się zdaleka maszynista Jan Stępień i prosto do ławki zmierzył, poznavszy Kalińską zdaleka.

— I pani Kalińska tu przyszła? — przywitał ją.

— Zmęczyłam się to siadłam. Niedziela dziś, to jest czas. No, pan Jan nienabożny — rzekła z przekąsem.

— Ni, posadzek w kościele nie wyciram, pani Kalińska słyszała może jak to mówią: modli się pod figurą, a djabła ma za skórą, co? —

Już mu Truda coś ostrego odpowiedzieć chciała, kiedy na nią nagle wspomnienie spłynęło, jaki ten Jan cichy i spokojny przed dwudziestu laty (ach, już dwadzieścia!) do Staszewa przyjechał i zaraz w któryś letni wieczór przed nią na ludzi tutejszych się uzał.

— Odmienił się pan Jan — powiedziała tylko.

— Z innych stron przyjechałem — odrzekł ponuro. Tu ino same święte i lizuchy. Ja dobrze wiem, co pani Kalińska przemyśliwa, że się pić nauczyłem.

Nie wyprę się, — dużą pięścią w piersi się huknął — a co mam robić? Psie życie, co wczoraj było, jutro będzie i za rok i za dwa jak nierozchorujesz się i nie zdechniesz. Choćbyś do łokci ręce urabiał zawsze tylko, że się nażresz i w szmatach chodzisz. Żeby to ja tu się urodził i chował jak wszystkie, ale coś niecoś słyszał na świecie...

— Pijany od samego rana, przy niedzieli — pomyślała Truda, bo oddech maszynisty wiał wódką i przypomniała sobie jak to zaraz od początku mówił, że Stępień chętnieby w Związku chciał wszystkim być i dlatego zawsze przygaduje.

A on sam zaczął nanowo:

— Tera może nabierają rozumu sami powoli. Przecie ten prezes Jackowski to za przeproszeniem tyłek... Gada i gada, a jak do czego przyjdzie, tu wielmożny, a tu szanowny, a do rzeczy nie powie. Jak w zeszlą niedzielę nowa pralnia przyszła, to Herbst wszystkich wołał, żeby ją w niedzielę ustawić. Każdy przecie na to leci, żeby jeszcze co zarobić. To byliśmy i stawiało się te maszyny —

Od męża słyszałam — wtrąciła Truda, ostrożnie prostując swoją czerwono kratkowaną suknię.—

— A jak do zapłaty przyszło — gniewnie krzyknął Stępień — to jak za zwyczajny dzień płacić chcieli. Powiadam do Jackowskiego: toć w święto była praca, podwójnie się należy za ten wolny dzień. A on, no pewnie że podwójnie. To ja do niego, że co myślisz, sami dadzą? Odezwać się trzeba. I na zebraniu wszyscy też już krzyczeć mu zaczęli. Poszlim w delegacji Jackowski, Cieślak i ja. Na to szef się rozło-



ścił. Co, powiada, toćbym bezrobotnych z ulicy wziął za połowę, a Jackowski mu zara, to wielmożny dyrektorze, choć połowę. — Niechby poszli bezrobotni mówię, już my odżalujemy. Popatrział na mnie, a Jackowski znów zaczyna skomleć. Mnie nie omyli. Wiem kto czyj człowiek. —

— Co pan Jan na szefa taki zawzięty? — spytała Truda.

Uśmiechnął się gorzko — Nie jezdem zawzięty. Szef, jak szef, swego broni. Nie gorszy i nie lepszy jak inni. Ale my co? — zamilkł i trochę błędnym wzrokiem przed siebie popatrzył.

— Myślę — chrząknęła Truda z godnością, ciężko jej szło, bo w mądrych rozmowach rzadko udział brała — Ze złością trudno co zrobić. —

— Ino cudze pięty lizać. No, wam nic brak. Panna Truda posażna panna była — wyrzucił z siebie szybko te obelżywe słowa, krztusząc się niemi aż mu twarz poczerwieniała i oczy mgłą się pokryły. Nie żegnając się dźwignął swoją wysoką postać ruszył naprzód szybkimi krokami, aż go gęste sitowie na brzegu jeziora przed oczami Trudy zasłoniło.

— Warjat — mruknęła w pierwszej chwili, wstrząśnięta tak, że na swojej niedzielnej sukni ciężko przysiadła. Skryte przycinki w jego urągliwych wyzywaniach boleśnie ją za serce schwyciły — Kongresowiak zwarzjowany, czegoś mu zamłodu w głowie nakładli i zawsze mu się zdaje, że świat poprzewraca. Łatwo komu łatę przypiąć. Gniew i żal zalewały Trudę, tajona złość, że pamiętał i znał dawne czasy, grzechy młodych lat, że które dosyć łez wylała i wymodli-



ła się dość. Ruszyła się wreszcie z ławki z omdlałemi kośćciami i rozpalonemi oczyma. Wcale o tej rozmowie przestać myśleć nie mogła, ani o nim, bo przecież coś w nim było z rzetelności i prawdziwości, że swoich słów strzymać nie umiał i ona sama zatłukłaby go chyba przed chwilą. Idąc wzdłuż jeziora ku cmentarzowi, gdzie wiodła droga do miasteczka, ostygła powoli z uniesienia, wracała myślą do codziennych spraw, do dzisiejszej wizyty, do sprzedanej puty, do domu i Łucki.

A kiedy już ukazał się biały płot cmentarza i za nim najpierw małe mogiłki, pod którymi dzieci i biedacy leżeli, kiedy doleciał zbliska zapach wędnących wieńców i kwiatów, wtedy znów smutek wpełzł do jej serca i powróciła żałośliwa myśl, że to życie ludzkie jak woda z pękniętego nieznacznie dzbana nie wiezieć gdzie się zapodzieje.

Dyrektor Brandt wiedział o sobie, że był nadmier nie wrażliwy. Przejmował się głęboko wszystkim, co zdarzało się nie po jego myśli. Ilekroć jedno drobne zdarzenie wytrącało go z równowagi, pociągało za sobą cały łańcuch innych, fatalnych w następstwach, w których postępował wbrew własnej woli.

Na kilka dni po przyjeździe Janki zdarzył się taki dzień. Do południa był właściwie jak każdy inny. Jego przykrości zaczęły się o zmroku. Sciemniało się teraz już dość późno, około szóstej. Brandt stał przy furtce. Płot pomalowany ubiegłego lata na soczystą zieleń, pociemniał przez zimę. Z za budki dozorczy wysunęła się kobieta. Nie poznał jej w mroku, nie po

znałby może i za dnia, nie widział jej conajmniej z dziesięć lat, tak starannie schodziła mu widać z drogi. Dziś przyszła, niesmaczne, przykre wspomnienie dawnych szumów, żona dozorca Kalińskiego, który dziś pracował w nocnej zmianie i dlatego nie było obawy, że mógł nadejść teraz.

W pluszowym czarnym palcie, tęga i wysoka stała przed nim w źle włożonym kapeluszu, zanadto postarzała na swój wiek, pospolita, wspomnienie nieprawdopodobne jak wszystkie minione miłości.

— Przepraszam pana szefa — powiedziała zawstydzona. Brandt uchylił kapelusza. Jego nieśmiałe oczy niespokojnie prześlizgnęły się po jej twarzy. Miała wypieki.

— O co chodzi? — spytał zmieszany.

— O syna — szepnęła Kalińska dobitnie.

— Mąż nie chce mu za naukę płacić. Powiada, że dosyć. Bo chłopak w Warszawie do tera był. A pieniądze, co były to tak... — zaczęła wyliczać dokładnie. — Raz tośma stracili już dawno, co to marki i miliony były. —

— Przynajmniej raz byliśmy wszyscy miljonami — przemknęło Brandtowi.

— Teraz znowuj Chojnicki, na Radzynie zbankretował i trzystaśmy stracili. No, to na naukę nima. Z moim bratem też tak było. Na inżyniera miał iść, a jak pan Cieślewski z gimnazji umarł, to na niczem się skończyło i tyla nauki poszło precz. —

Dyrektor uderzał stopą w twarde grudki ziemi. — Tak... — wymamrotał.

Płomienie uderzyły nagle na twarz stojącej przed

nim kobiety. — Toć to nie chłopski syn — wyszeptala szybko.

Słowa ukłóły.

— Więc chcielibyście, żeby się dalej kształcił? —

— Na adwokata chcielim —

— Zdolny? —

— O Jeny — aż się zachłysnęła, ale dyrektor nie pozwolił jej wypowiedzieć całego zachwytu.

Kroki nadeszły z ulicy. Córka dyrektora szczupła, wysoka w czarnem, lśniącym futrze.

— Już są pierwszki. Dobry wieczór, widziałam pierwsze. Ach, przepraszam... —

Tęga, wysoka postać Kalińskiej spłaszczyła się, zmalała tuż przy płocie.

— Przyjdź później Janko. — Weszła na dziedzi-  
niec młyna.

— Załatwię to — powiedział Brandt do Kalińskiej  
zbyt prędko i zbyt cicho.

Pluszowe palto i głowa w starym aksamitnym ka-  
peluszu wykonały śmiesznie niski, niezdarny ukłon.

Szczęśliwy, jakby uniknął niebezpieczeństwa, po-  
szedł dyrektor Brandt przez pokój ćwierkających Re-  
mingtonów do swego gabinetu. Głęboki fotel był jak  
spokojna przystań. Ale na krótko. Zapukano do drzwi.

— Chcieliśmy z panem dyrektorem w ważnej  
sprawie...—

Czapki zmięte w rękę, skupione twarze. Na nic  
miękką przystań w fotelu. Działać. Nim zdążyli coś  
powiedzieć, Brandt wyprostował się.

— Posłuchajcie mnie najpierw. Już o was, Bia-  
łw mówiono mi. Ludzi buntujecie, deputat wam się

nie podoba. Wiecie przecież, komu się u mnie nie podoba może iść, wolna droga... — Krzyczał więcej niż zamierzał.

Zwykle ostrożniej przesiewał doniesienia magazyniera Krzemińskiego, białowłosego brutala o bezmyślnych oczach. Piotr Biały pracował już dziesięć lat. Był rozrosły, wysoki, cery jego twarzy nie rozoznawało się pod mącznym pyłem. Na słowa Brandta poruszył się gwałtownie.

— Wiedziałem ja, że on nagada. Pan Krzemiński nie lubi jak człowiek co u niego zobaczy. Ja cichy jezdem. Przecie pięć dzieci mam w domu.

— Panie dyrektorze — wtrącił się z uśmiechem Jackowski i szepnął tajemniczo.—

— Pan Krzemiński się na Białego jadowi, a żeby to tak na Spychalskiego popatrzal. —

— Bo co ze Spychalskim? — zapytał żywo szef, odwracając się w fotelū ku nim.

Bure oczy Jackowskiego znikły w fałdach skóry poza szerokim uśmiechem. Ręce wykonały błyskawiczny, okrągły ruch.

— A wy też coś wiecie, Biały? —

Ciężki but stuknął w podłogę. — Ni.—

— Słuchajcie. — Dyrektor wstał i odwrócił się zupełnie od biurka, jego twarz nieznacznie przybrała życzliwy wyraz.

— Wszystko jedno u kogo, jeżeli tylko zauważycie jakąś nieuczciwość, macie mnie zawiadomić. Každy otrzyma wynagrodzenie.

Kiedy to piękne, magiczne słowo zostało powie-

dziane, wyblakłe oczy Białego zabłysnęły na chwilę. Nastąpiło krótkie milczenie.

— Zrozumieliście? —

— Chcieliśmy też, proszę szanownej dereceji -- odchrząknął szybko Jackowski — wedle deputatu. Stawki nam zniżyli od czerwca, żeby choć w mące pan szef dodał — wyczekująco, przymilnie wysunął głowę.

— Niech pan szef sam obliczy jak to z rodziną wyżyć za te 30 złotych na tydzień. —

— Dlatego się ludzie robią takie złodziejskie i chytre — rzekł Biały.

— Toż to wasza stawka, moi drodzy. Przecież więcej wam nie mogę dać jak Związek wyznacza. Gwiazdka blisko, na Gwiazdkę dostaniecie. —

A kiedy ruchliwy Jackowski, wyginając górną część ciała znów coś powiedzieć zamierzał, dyrektor Brandt uczynił szybko ręką odpychający ruch:

— Dostyc na dziś, to wszystko na nic. — Podniósł się. — I pamiętajcie com wam mówił. —

Grube buty leniwie zastukały po błyszczącym linoleum. Rozmowa była skończona. Z piersi Brandta wyrwało się westchnienie ulgi, usiadł w fotelu, kiedy z przeciwległego kąta pokoju, z za wieszaka i półek ze skorowidzami usłyszał wzmożony szelest.

Jego własna córka w zgniecionem od siedzenia w kuczki futrze wydobyla się stamtąd. Uroczy urwis.

— Tam byłaś Janeczko? —

— Tak, tam. —

— I podsłuchiwałaś? — Fe, brzydko. —

— Brzydko — powtarza Janka zgrzana, zaczerwieniona.

Dyrektor Brandt pieszczotliwie ujął podbródek córki.

— Słuchaj, to jest straszne... —

— Coo? —

— Dlaczego ty obiecujesz im nagrody za doniesienie —

Twarz Brandta zeszywniała:

— Ach, moje dziecko, doprawdy, przecież ty zupełnie nie masz doświadczenia w tych sprawach, nawet najmniejszego pojęcia. Dziewiętnaście lat i teorie z książek dla młodzieży. —

Potoki, zawieruchy słów spadają, okrążają Brandta

— Więc dlaczego wychowujecie nas temi książkami, a nie podług tej moralności, którą się stosuje naprawdę. Dlatego książki „dla młodzieży“ są śmieszne w późniejszych latach. Śmieszne tylko w stosunku do niektórych zresztą. —

Janka niedbale zrzuca futro i siada przy biurku. Ojciec jest bardzo błady.

— Nie biorę ci za złe tego, co mówisz. Słyszałaś jak oni oskarżali się nawzajem. Każdy kradnie. Nie masz pojęcia ile oni kradną w takim przedsiębiorstwie jak nasze. —

— Nic dziwnego, przy takich bajecznych zarobkach. —

— Cóż mam robić u licha, podwyższyć im, żeby mnie zrujnowała rozsądna konkurencja? Niech sobie żądają przez Związek podwyżki. Robią to ciągle. —

— Tak, a wtedy wy podnosicie ceny na mąkę, wszystko drożeje i stosunek między płacą a kosztami utrzymania zostanie ten sam. —

Mimo przykrości, jaką Brandtowi sprawiała ta rozmowa po jego twarzy przemknął jaśniejszy cień.

— Może. —

Janka patrzyła mu w oczy.

— Co mamy robić my, dzieci bogatych rodziców? Nie możemy się zgodzić na to, co robicie... z waszej winy. Dlaczego uczy się nas zasad etyki, której nie wolno stosować. Nie jesteśmy winni krzywdom, które się dzieją, a musimy być współobwiniani. Przecież korzystamy z nich.

— Kto ci tem nabił głowę, dziecko? —

— To bije w oczy... —

Twarz ojca nachyliła się blisko, szepnął tonem zwierzenia:

— Ja też myślę o tem. Oczywiście oni mają bardzo, bardzo mało. Ale ja sam, co mogę. W miarę możliwości robi się zresztą. Dajem im zimą węgiel, sprowadzamy umyślnie. Dostają po cenie hurtowego zakupu, czekam aż zapłacą... tygodniami. —

— Ta kropla filantropji, żeby nie widzieli całej zgrozy swej sytuacji. Jak trudno zrozumieć ojczy, że to możliwe. W rzeczywistości to chyba my, ludzie zamożni najmniej możemy zrozumieć jak oni mogą żyć z tych groszy. —

— Problem zaczyna się dziś od bezrobocia — rzekł Brandt, zapalając cygaro — robotnik pracujący może żyć ze swego zarobku.

— Nie — zawołała Janka tak głośno, że ojciec z wyrzutem uczynił przyciszający ruch w kierunku sąsiedniego pokoju:

— Mogą zaledwie jeść, mieszkają straszliwie

i jaknajędzniej odziewają się, a przecież uczą nas i my uczymy ich, że to niewszystko, że trzeba czegoś więcej i...—

— Życie nie jest domkiem z kart, nie wystarczy dotknąć ręką, żeby zburzyć. Nie karty będą padać, ale ludzie...—

— Nie dla wszystkich ma się jednakowe współczucie — zamruczała Janka przez zęby, wpatrzona w lśniącą politurę biurka.

Delikatnie zapukano do drzwi.

— Panie dyrektorze, korespondencja do podpisu.—

— Proszę. Poczekasz, Jasiu? —

— Nie, wolę się przejść. —

Czarne, lśniące futro owija szczupłą postać. Brandt podpisuje listy. Dzieci, młodość, co zostanie z tych buntów? Oni myślą, że są lepsi niż ich rodzice, zdaje im się, że poprawią grzechy ojców, odwieczne grzechy ludzkości. Ale dawniej tak realnie nie myślało się jednak o tych sprawach, takimi faktami.

O wpół do siódmej dyrektor Brandt wychodzi. Pa nienki w pokoju Remingtonów zanurzają już noski w puderniczkach, ostatni wóz wyjeżdża z podwórza. Trzecia zmiana wchodzi. Dozorca Kaliński zmienia Woźniaka. Nadchodzi właśnie ze swoim niebieskim dzbankiem kawy.

Pomówić? Ach, nie. Tyle już było dziś przykrych rozmów, można poczekać. Dyrektor Brandt podejrzewa w sobie rozwijającą się chorobę serca. Duszność, lęk, wzmożone bicie powtarzają się często. I teraz już



delikatnie, zlekka, niewidzialne więzy ściskają serce. Trzeba oszczędzać się.

Na ulicy zmierzch. Jeziora uwolniły się już od lodu, Szare, rozproszone strzępy mgły owijają lampy łukowe. Pogoda. W niektórych oknach błyszczą światła.

Brandt odnajduje jak codzień pomarańczowy krąg światła rzucany przez lampę stołowego pokoju z czerwonej willi z wieżyczką. Trudno wrócić do równowagi. Przed furtką willi potyka się prawie o dwie osoby stojące w cieniu. Czarne futro i mała czapeczka, obok męskie palto. Janka i jeszcze ktoś. Mrużące się z podniecenia oczy Brandta poznają młodego syna dozorczy, o którego przyszłość troskała się dziś tęga matka w pluszowym palcie.

Pod marynarką serce bije mocno. Chwilami jego uderzenia kłują. Machinalny uprzejmy ukłon i mija ich.

Na schodach kroki, lekkie, szybkie po dwa stopnie.

— Janka?—

— Tak, czekaj tatusiu.—

Brandt uśmiecha się powoli — Z kim tam konferowałeś? —

— To młody Kaliński, poznałam go w Warszawie.

Oczy ojca ostrożnie badawczo śledzą zaróżowioną jej twarz. —

— Jaki to chłopak? —

— Miły, prosty, bardzo miły. —

— Nooo? — Zapytanie ma figlarny odcień, ale uderzenia serca są znów ukłóciami.

Janka przeskakuje jeden stopień.

— To byłoby niemożliwe — mówi spokojnie i pewnie.

— Tak — usiłuje uśmiechnąć się Brandt. Nie odrazu jak zwykle idzie do stołowego.

— Umyję tylko ręce.—

W łazience, przy białej umywalni opiera się znów i garbi się.

— Skąd mogłaby wiedzieć? Niemożliwe. — Ręce opadają bezwładnie.

Ktoś puka do drzwi.

— Tatusiu, kolacja. —

— W tej chwili.

Wysoka sylwetka ojca ukazuje się na progu. Na gładko ogolonej twarzy rysują się głębiej niż zwykle dwie bruzdy. Od dzieciństwa już uwielbiała, je Janka w męskiej twarzy ojca. Ujmuje go lekko pod ramię.

— Wie i chce się okazać wyrozumiała? Nie, pewnie nie wie nic. —

— Czy chciałabyś jutro jechać do Torunia? —

— Dobrze, matka zechce napewno. —

Gdybyż to jedno wiedzieć, czy ona wie?

W stołowym przy nakrytym stole w brązowej sukni z białym kołnierzykiem siedzi pani Ania.

— Nareszcie, dlaczego tak późno? —

— Szkaradny dzień, kochanie, same nieprzyjemne sprawy. —

Uśmiechnięte spojrzenie przesłane Jance chwyta ją nagle w ponurem zamyśleniu z oczyma wbitemi w obrus.

Serce drga gwałtownie. — Wie... —

Pani Ania mówi niechętnie. — Zawsze jakieś kło-

poty, tyle lat to samo, mogłeś się już przyzwyczaić, Witku. Tu też szukała ciebie jakaś kobieta.

— Kiedy? Tu? —

— Zaraz po twojem wyjściu. —

— I nie wiesz kto? — zdziwił się Brandt.

— Zdaje się, że Kalińska, żona stróża. —

— A, wiem. — Jaki przykry dzień.

— To ładna kobiecina. Figura oczywiście nie, ale twarz ładna. —

— Eh... — Brandt szybkim ruchem odsunął talerz.

— Nie znasz się mój drogi. Ale wiesz, chciałabym jechać jutro do Torunia.—

Brandt wstał.

— Mówiłem już z Janką. Pojedziecie. —

— Wychodzisz? — zapytała z żalem pani Ania. —

— Mam jeszcze jeden niemiły interes... —

Nie zapytała nawet jaki. Była znudzona samotnością, rozżalona i smutna. W swojej zręcznej brązowej sukience siedziała jeszcze młoda i pełna chęci życia. Nawet Janka, jej młodziutka, ładna córka wydawała się mieć mniej tempermentu i werwy.

Kiedy siedziała tak naprzeciw niej zauważyła nagle wyraz zamyślenia na tej młodej twarzy.

— O czym tak myślisz Janko? —

— O... niczem — odpowiedziała Janka, jak mówi się zwykle, kiedy myśl zaprzętają najważniejsze, najtrudniej dające się ująć w słowa sprawy.

— Dziecko jeszcze — pomyślała, pani Ania.—

O dziesiątej wieczór Staszewo śpi. W mieszka-

niach światło pali się krótko. Małomiasteczkowi ludzie są oszczędni. W rynku tylko kilka jasnych prostokątów ożywia czarne fronty domów. W ramie czerwonych i zielonych lampek tkwią obrazy filmu „Szalona noc“, fascynującego dramatu potężnych napiętości. Mali ludzie lubią potężne napiętości.

A jednak nie wszyscy śpią. U Krawczyka, w „Bristolu“, w „Barze Obywatelskim“, wszędzie przy tych samych stolikach z serwetami w żółtą kratę, z wazonami sztucznych, zakurzonych kwiatów, przy dużym jasnym, przy małej czystej siedzą ludzie, którzy nie lubią iść wcześniej spać. Stare, tłuste dowcipy, powtarzane od miesięcy, krążą co wieczór jak kufle piwa i kieliszki monopolki.

Jeden długi nieprzykryty stół jest najgęściej obsadzony. Zziajani, rozgrzani w napięciu gracze i kibice. Pokier. Staszewo bawi się. Nie jest gorsze od innych miast.

W „Savoy“ są tańce i dziewczynki. Te same wozony na stolikach i kanapy kryte zielonym pluszem. „Bristol“ jest solidny. Można się tam tylko upić do utraty przytomności. Tak upił się raz obywatel pan Orzechowski, który o zakład z referentem Izby Skarbowej pił całą noc. Nad ranem kiedy trzeba było sprzątać, wyniesiono go delikatnie za ręce i nogi do czekającego od wieczora auta.

Można się zgrać uczciwie i z drżącym sercem zapukać rano do własnego mieszkania, z niesmakiem w ustach i bólem głowy. Staszewo upodabnia coraz do wielkiego miasta. Każdy lokal ma swoich sztam-gastów.

W „Bristolu“ przy stoliku siedzi co wieczór referent Izby Skarbowej, Wałkowski. Pił trochę z doradcą prawnym, ale tamten wyniósł się po paru kieliszkach. To, co się wypilo nie wystarczy na nabranie humoru. Starszy referent drzemie ospale. Toć chyba jeszcze ktoś przyjdzie? Bezdenna nuda ogarnia go. Senne, mrużące się oczy widzą wrzaskliwy stół karciany, bufet z butelkami i kurz wirujący koło lampy z postrzępionym papierowym abażurem.

— Pannowie, kto daje karty?...

— Dwa konjaki, pani Błażkowa. —

Drzwi skrzypią, wpuszczają mroźny powiew. W drzwiach staje wysoka postać. Wałkowski otwiera przymykające się oczy, oburącz trzyma stolik i chłodne dotknięcie blatu budzi go zupełnie. To dyrektor Brandt wysoki, blady, nieco sztywny. Jego szkła polyskują.

— Uszanowanie panu dyrektorowi. —

— Dobry wieczór. —

Futro z szarym karakułowym kołnierzem zajmuje ostatni próżny wieszak. Słabnąca przytomność mówi Wałkowskiemu, będzie interesik. Szykuje się od dawna z dostawą dla magistratu.

Chyba nie do kogoś innego przyszedł. Z „grubych ryb“ dziś nikogo. Karty tasuje zbankrutowany bławatnik, obok kierownik szkoły powszechnej, bogaty właściciel składu skór, sami niepotrzebni Brandtowi ludzie różnych zawodów i sfer, zmieszani w małym i stęczkowym tyglu ciasnoty.

— Co pana dyrektora sprowadza? — pyta Wałkowski, kiedy Brandt siada naprzeciwko.

— Przechodząc wstąpiłem. Co słyhać? Konjak, panie starszy, dwa konjaki. —

— Nie, nie dla mnie. —

— Ależ, niechże pan pozwoli. —

— Nie można, panie dyrektorze, nie to, co dawniej...—

— Więc jeżeli pan odmawia. Jeden koniak, panie ober. —

— Ludzie zaraz gadają. Co słyhać, panie dyrektorze?

Podobno — dyrektor Brandt bawi się popielniczką — zamierzacie u Polanowskiego wziąć mąkę dla bezrobotnych? —

— Mówią. — Wałkowskiemu całkiem widocznie podbródek zadrgał w uśmiechu.

— Dlaczegoż to nie u mnie? —

— Może zadrogo? — zapytał niewinnie referent.

— Nie drożej pewnie niż u Polanowskiego. —

— Konjak, panie ober — Wałkowski wypił szybko, ale konjaki odbierały zdolność prowadzenia dyskusji. Osłabł.

— Mówią jedni, że to pan dyrektor podobno z Niemców pochodzi, no i tak... —

Brandt stracił spokój. — Od lat jesteśmy osiadli tu. Kto tak mówi?

— Ja mówiłem? Gdzie to pan dyrektor słyssał, żebym ja mówił.—

— Więc wracając do mąki — Brandt stracił nagle cierpliwość i postanowił szybko zmierzać do celu — jeżeli pan to przeprowadzi nie pożałuje pan tego... —

Świadomość referenta zbudziła się na chwilę:

— Tylko tyle, ile mnie będzie kosztowało, więcej nie chcę. Dla mnie nic, ale pan dyrektor rozumie, inni. Dwieście złotych.

— Ależ panie Wałkowski, taki drobiazg. Ile sądzi pan zarabiamy na tem? Grosze. Musimy sprzedawać po najniższej cenie. Sto. —

— Dwieście, tyle mnie musi kosztować. Łyszewski i Gurt. Dla mnie nic. —

— Panie Wałkowski, więcej nie mogę przeznaczyć, doprawdy.—

— Nnie. —

— Więc muszę zrezygnować. Polanowski na pewno da gorszy gatunek. My nie wyrabiamy wcale tak niskich. Niech się pan zdecyduje. —

— Nnie — Popielniczka wykonała parę obrotów w palcach Brandta.

— Więc trudno, cóż pozatem, panie Wałkowski? Kiepskie czasy, kiepskie. — Rozczerwieniona twarz Wałkowskiego zbliżyła się.

— No, panie dyrektorze? —

— Doprawdy nie mogę, niechże pan ustąpi.—

— Nie — westchnął sennie Wałkowski. Oczy pokrywały się miłą, wilgotną mgłą.

W pewnej chwili, z której nie zdał sobie sprawy, futro z szarym kołnierzem znikło z wieszaka, popielniczka przestała wykonywać obroty, stół naprzeciwko także opróżnił się nieco.

— Panie dyrektorze, dla pana postaram się, niech będzie — szepnął z uśmiechem, ale dyrektora już nie było.

W ciszy dolatywały dźwięki z mieszkania Błażka. Zegar bił trzecią.

Dyrektor Brandt wyszedł z „Bristolu“ przed drugą, zmęczony, zły, z bólem głowy od zapachu złego tytoniu w salce i pijanego oddechu Wałkowskiego.

Fatalny dzień był dziś, życie wydawało się nie-miłe.

Trudno sobie wyobrazić, żeby ten dzień, jakkolwiek fatalny dla dyrektora Brandt, ale w gruncie rzeczy składający się przecież tylko z codziennych, nieważnych zdarzeń, mógł stać się powodem ważnych dla samego Staszewa wypadków. Było tak dla tego chyba, że należał do trzystu sześćdziesięciu pięciu dni w roku, w którym zewsząd wyrastały trudności.

Nawet wygląd Staszewa od szeregu zim jednakowy, uległ pewnej zmianie. Polityka oszczędnościowa magistratu kazała skasować trzy duże lampy łukowe. Na tych odcinkach o zapadającym zmroku główna ulica tonęła w ciemności. O innych nie było co mówić, ponieważ nigdy nie były oświetlane wieczorem, chyba gdy księżyc spełniał swą dobroczynną misję. Nie sprzątano też w porę śniegu. Wszędzie było głębokie, grząskie błoto i nawet najsilniejsze wiatry od trzech jezior nie mogły go osuszyć. Chłód i melancholja wiały od tej wiosennej zimy.

Wśród bezdomnych dzieciaków z koszar i Luksusu walki o piec na poczcie stały się groźne. Duże odpychały małe, chłopcy zwyciężali dziewczęta, wyrostki w podartych spodniach chłopców, a wszyscy razem policjanta, którego Staszewo nazywało Kajtuś.

Tęgi, niewysoki, z czerwoną, spoconą twarzą roz-



pędzał Kajtuś cisnącą się koło pieca gromadę i ry-  
czał: — „Jutro przyniosę pałkę na nich“.

Niektórzy z amatorstwa walczyli o przytulny, bu-  
chający ciepłem kaflowy piec staszewskiej poczty,  
ale w przeważnej większości były to dzieci bezrobot-  
nych z koszar i baraków na Luksusie.

Na Rynku bezrobotni zmienili miejsce postoju.  
Przeciw dawnemu protestował pan Wieliczański, wła-  
ściciel magazynu bławatów i rzeczywistego tuzina  
potomstwa. Bezrobotni zasiadali zawsze przed jego  
sklepem, bo był po słonecznej stronie Rynku i miał  
szeroką kamienną barjerkę okalającą wystawę. Pan  
Wieliczański protestował. Widok tyłu bezrobotnych,  
u licha, komuż nie odebrałby chęci do zakupienia na-  
wet najbardziej uroczego jedwabiu w „pariski“, jak  
głosił napis desień?

Tej to wiosny błotnistej i smutnej wydział gospo-  
darczy magistratu w Staszewie z zakłopotanym wiecz-  
nie burmistrzem Leskim na czele, musiał wyznaczyć  
pewną sumę na zakup mąki dla bezrobotnych.

Nadzór nad tą sprawą objął w pierwszym rządzie  
pan Wypiszcz, w drugim Jeske, w trzecim Wałkow-  
ski. Pierwszy przekazał ją drugiemu z powodu na-  
wału zajęć.

Pan Jeske załatwiał ją sam. Przedewszystkiem  
zaządał ofert od miejscowych młynów. Wtedy sprawą  
zainteresował się Wałkowski. Rozmawiał codzień  
z Jeskem o gatunkach mąki, o wypieku i rozczesywał  
przytem palcami długie, gładkie pasma włosów. By-  
stre, szare oczy Jeskego śledziły go przytem nie-  
ustannie.

Któregoś dnia zjawił się Wałkowski nastrojony z wyraźną nieprzychylnością dla produkcji Zjednoczonych Młynów. Zdołał to kilka razy w ciągu dnia zaakcentować.

Dlatego w czasie przerwy na herbatę pan Jeske, patrząc przez szkła na Wałkowskiego, narysował subtelny zygzak na zielonej bibule biurka i rzekł od niechcienia.

— No, tego... tą sprawą mąki niech się już pan zajmie, panie Wałkowski, zniecie się na tem lepiej ode mnie — i położył łyżeczkę na spodeczku.

Wałkowski rozpromienił się.

— Chętnie, panie Jeske, jeżeli mogę się panu przysłużyć.

Jeske uśmiechnął się. — Trzeba się rozumieć nawzajem, kto wie, kto, kiedy komu... — myślał, dorysowując starannie drugi zygzak na grubej, zielonej bibule.

Odtąd sprawa przydziału mąki potoczyła się szybko. Młyn Polanowski otrzymał zamówienie na ofertę niższą od tej, którą przesłały Zjednoczone. Mąki dostarczono w terminie i rozdzielono ją natychmiast.

Nazajutrz lekarz kasowy został wezwany aż do trzech pacjentów w tej samej sprawie: zatrucie żołądka. Pacjenci byli podobni, dzieci. Przy badaniu pytał — może mięso? — i sam ugryzł się w język, był u bezrobotnych.

Następny dzień przyniósł zwiększoną ilość wypadków, przeważnie u dzieci z groźnymi objawami

wzdęcia kiszek. Wieczorem u Walczaka z Wodnej zmarło dziecko.

Na ulicach zaczęli gromadzić się ludzie jak na wieść o epidemji. Nowa mąka wzbudziła podejrzenie. Wstrzymano rozdzielanie, przestano używać jej w domach.

Jednocześnie umarła dwuletnia dziewczynka bezrobotnej krojczyni Nitkowej. Kobieta podniosła lament tak straszny, że wszystkim matkom zamarały serca. Ludzie zalegali Rynek wzburzeni, wściekli, groźni.

To był ostatni wypadek śmiertelny. Kiedy zaprzestano używania mąki, ustały choroby. Przyczyna była stwierdzona. Tylko tych dwoje małych powędrowało na cmentarz nad jeziorem, starsze wyzdrowiały. Ale nim jeszcze zdołały roznieść się uspakajające wieści, nim dzieciom zadzwoniły dzwony, gromada mężczyzn i kobiet rozprawiająca, wzburzona poszła przez Rynek ku cichej Alei Wolności, gdzie znajdowały się wszystkie urzędowe budynki.

Stał tam podobny do willi z wieżyczką magistrat z czerwonej cegły, cichy i czysty. Tylko tablica przed wejściem zwiastowała jego przeznaczenie. Zdaleka nie różnił się niczem od innych domów. Miał takie same krzewy bzu w ogródku i czerwone pelargonje w doniczkach przed oknami. Łukowa lampa wisiała tuż przed jego oknami. W jej świetle lśniły napisy na tablicy i szyby.

Tego wieczoru ożywiła się ulica głośnemi, gniewem i rozmowami. Ludzie ustawili się naprzeciw ci-

chego domu, tuż pod łukową lampą. Zdaleka niespokojnie przyglądał im się Kajtuś.

Janka Brandt szła Aleją. Przystanąła i słuchała okrzyków mężczyzn i kobiet: Słyszała o najmłodszych, które umarły.

— Zbóje, — wołały kobiety. — Byle ludziom gęby zatkać. Żryjcie, choćby g... — Truciciele! — wrzasnął kobiecy cienki, zrozpaczony głos. Ukłął stojących w gromadzie jak igła. Nim przebrzmiał, rozległ się trzask, brzęk i ostry deszcz z trzech rzędów czystych, lśniących szyb opadł odpryskami aż do jej stóp. Coś drasnęło jej policzek. Odruchowo krzyknęła: — Co to? —

Ktoś obok powiedział ironicznie: — Szkło. —

Jance krew zbiegła do twarzy. Spojrzała. Znała z widzenia i opowiadań tę szeroką twarz z gęstymi brwiami. Syn kuczera, wuj Bronka.

Miała już słowa na ustach. Nie obrazy, wyjaśnienia. Chciała je wypowiedzieć, umykały. Wbrew własnej woli była urażona i nie mogła tego pokonać. Stała wciąż z sercem bijącym niespokojnie w oczekiwaniu własnych słów i milczała. Obok, na swoim miejscu trwał syn kuczera. Stali tak, aż zjawiała się policja. Wtedy jak za dmuchnięciem znikli wszyscy.

Tęgi, dobroduszny burmistrz był w rozpacz. Przerażony, zaskoczony wypadkami wezwał pana Wypiszca. Ale ten, tłumacząc się gęsto, zdjął natychmiast z siebie odpowiedzialność, sprawę mąki załatwił pan Jeske...

Subtelny, małowówny Jeske, oburzony zresztą na postawę tłumu, czerwonym z podniecenia końcem

nosa, wskazał na Wałkowskiego jako wykonawcę polecenia. Jemu jako znawcy mąki uważał za stosowne pozostawić sprawę zakupu.

Wałkowski zbolały, zdenerwowany wyłożył drżącym ze współczucia dla poszkodowanych głosem, jak padł ofiarą swego zaufania dla Polanowskiego. Omówił z nim przecież dokładnie termin, cenę, gatunek i czyż mógł przypuszczać?...

Pan Polanowski zagrożony wysoką karą i wyrokiem, mogącym zamknąć jego przedsiębiorstwo na zawsze, był zupełnie niewinny. W dostarczonej, czyż można sprawdzić przez kogo pszenicy, musiał się znaleźć jakiś szkodliwy dla zdrowia gatunek ziarna.

Tak więc, mimo szczegółowego, surowego badania niepodobna było orzec, kto był bezpośrednim winowajcą.

Dyrektor Brandt szczerze i głośno objawiał swe oburzenie: — Solidność jest podstawą przedsiębiorstwa, na nic szumna reklama...

Nie pamiętał prawie o tem, że jego własny fatalny dzień odegrał tak wielką rolę w biegu wydarzeń. Myśl o tem zjawiała się tylko jako oderwana reminiscencja:

— A byłby wziął odemnie, gdyby nie wstawił się wtedy... drań...

Jesienią i zimą, wieczorami w Rynku i wzdłuż Kolejowej połyskują niektóre okna oświetlonemi taflami szyb, ale na długo przed północą szyby ciemnieją i tylko z zewnątrz odbija się w nich światło łukowej lampy z ulicy.

W dużej większości mieszkań drżą tylko na oknach rumiane połyski świeatek naftowej lampy.

Latem mało kto pali światło. Nikt nie kupuje żarówek ani lamp. Radja i malutkie, niezgrabne detektory zaplątane w sieci sznurków, cudowni dobroczyńcy prowincji, nadają muzykę i rozmowy pełne suchych trzasków.

Zakłady Elektrotechniczne Franciszka Kralla zwalniają swego technika „aż będzie robota”.

Zygmunt Jeziorowski nie ma pracy. Jego ojciec ma pracę, ale powinienby ją opuścić. Jest chory. Kradnie tylko swemu życiu jeszcze dzień, dwa i idzie. Żeby go tak syn mógł zastąpić. Ale stary nie chce, nie może, myśli o tem wprost nienawistnie.

Dlatego w zwykły, roboczy dzień Zygmunt siedzi w staszewskim parku nad książką i nieuważnie przebiega po kartkach oczyma. Odwykł od parku i od książki. Ostatnio czytywał tylko w kradzionych chwilach i narzekał przed sobą, że jest mało czasu na czytanie, ale, kiedy znów jest czas, marzy trwożnie o tem, kiedy go zabraknie i odrywając z wysiłkiem myśl od tego zagadnienia, czyta.

...Kiedy Janka otworzyła drewnianą furtę staszewskiego parku, myślała, że znajdzie tam tylko dzieciaki w piasku i kilka nianiek. W Staszewie przed południem nikt niema czasu na spacer. Park jest maleńki z kwadratowym placem tenisowym i łukowatym mostkiem. Wszędzie w miasteczku jest tyle zieleni, że nikt nie dba o kilka sztucznie wyhodowanych i przyciętych krzewów. Z jednego końca łatwo dostrzec drugi, ale cisza jest tu taka, jakiej nie zna

żadne miasto. Dlatego Janka tu przyszła i szukając ławki, zobaczyła syna kuczera.

Usiadła na tej samej ławce, nim zdołała to postanowić. Ale gdy tylko dotknęła gorącej od słońca belki i młody Jezior uważniej zajrzał do swojej książki, zrozumiała, że on z tej sposobności nie zechce wcale skorzystać. Dla niej tylko było jasne, że chciała tu usiąść i rozmawiać z nim. Siedziała sztywno i niezręcznie obracała w palcach własną książkę. Wezbrało w niej nagle gorzkie poczucie samotności pośród słonecznego, zielonego parku. Kogóż to się miało blijskiego? Nawet Broniek wciąż jeszcze nie przyjeżdżał.

A ten człowiek obok, zrodzony i wychowany w tem samem miasteczku, syn ich kuczera z ciekawemi kolejami losu był przecież najzupełniej obcy i nie było w rzeczywistości najmniejszego powodu, żeby oderwał oczy od swej lektury. Uporczywość tego czytania powodowała jej obecność.

Dlatego Janka wstała nieoczekiwanie i poszła jedyną, krętą alejką, którą mogła ją zasłonić. Czuła niezrozumiały żal. Matka miała chyba słuszność, Staszewo i jego ludzie byli okropni.

Po drobnych kamykach alejki szeleściły szybkie, duże kroki.

— Pani zostawiła torebkę.

Krew napłynęła jej do twarzy, głos uwięzła w gardle. Kto na świecie uwierzyłby, że nie zostawiła tej torebki umyślnie?

— Przepraszam — powiedziała, usiłując nadać twardość swemu głosowi — nie zostawiłam tego umyślnie.

— Pewnie — rzekł, akcentując z pomorska. Na jego twarzy rysował się nieznacznie uśmiech.

— Nie, pan oczywiście przypuszcza, że umyślnie. Ale zapewniam, że nie. To byłoby już narzucanie się.—

— Dlaczego się narzucać i komu, mnie? —

Odparła z goryczą:

— Przesady są różne. Jedni nie chcą tych, których z jakichkolwiek względów uważają za niższych od siebie, inni nie lubią tych, których jedyną winą jest, że ich rodzice mają pieniądze. —

Elektrotechnik z Zakładu Kralla wyjaśnił łagodnie, przeciągając po swoim:

— To nie takie sobie rzeczy, mieć, albo nie mieć. Z tego wynika dużo ważnych różnic. —

— Dlatego taki ktoś nie istnieje dla pana? Na przykład ja? —

— Nie... —

— Tak. Broniek Kaliński na przykład jest zupełnie inny. Rozumiemy się dobrze. Mówię to zresztą tylko, żeby wyjaśnić, że nie zostawiłabym tej torebki umyślnie, choć kiedyindziej to mogłoby się zdarzyć, nie wstydzę się przyznać. —

— Czy mógłbym też co powiedzieć? —

Zaczerwieniła się i uśmiechnęła.

— Dlaczego pani chce koniecznie mówić ze mną? Jakie my tam n amy wspólne sprawy? —

— Czy to niemożliwe? —

Nie odpowiadając na pytanie rzekł:

— Może nawet miałyby pani nieprzyjemności, gdyby nas ktoś widział teraz? —



— Nie — powiedziała stanowczo i chłodno. Była urażona. Ale on sam spytał:

— Przyjaźni się z Kalińskim? —

— Tak, a on nie boi się, że nie mamy wspólnych spraw.

— Jestem inny niż on i dużo starszy. —

— Więc nie chciałby pan porozmawiać ze mną? — zapytała, przewyciężając z przykrością wewnętrzny opór.

Uśmiechnął się i powiedział coś nieoczekiwanego:

— Czy pani wie, że czułem się kiedyś pogardzony, wyśmiany właśnie przez panią?

Zdumiała się: — Przemennie?

Miał jasny uśmiech w twarzy, która zdradzała niewątpliwie jego pochodzenie szerokimi szczękami i nieco wklęsłym czołem. Zęby Jezioroszczaków szerokie i białe lśniły w uśmiechu. Nim zaczął mówić, Janka poszła naprzód po alejce, a on bezwiednie szedł za nią. Po żwirze twardo chrzęściły ich kroki.

— Miałem wtedy może czternaście lat. Nic pani nie pamięta? No tak, to niemożliwe. Chodziłem do gimnazjum. Rano paliłem w piecach. Starym już było wtedy ciężko, że nic nie zarabiam. Inni w moim wieku pomagali oddawna. Brudzewski z drogerji zaproponował mojej matce raz, żebym pokazywał w oknie reklamy przebrany za Turka. Nie chciałem za nic. Może nawet ryczałem, nie pamiętam. W każdym razie nie pomogło. Włożyli mi czerwoną czapkę i kwiecisty szlafrok. Pokazywałem mydła i wody kołońskie. Nawet dosyć mi się przez chwilę podobało wywoływanie: najlepszy środek od pcheł i pluskiew.

To był targowy dzień i przyglądali się sami przyjezdni chłopci, na szczęście nikogo ze znajomych. Dopiero kiedy przyszedli jacyś chłopcy ze szkoły, zrobiło mi się gorąco. Wtedy pani nadeszła. Mała dziewczynka z dużą kokardą we włosach i naturalnie bona. Rozkładałem pudełka z proszkiem na mole, a pani przyglądała się i nie chciała odejść. Potem razem z tą panną śmiałyście się głośno i pokazywałyście coś. Kiedy spojrzałem tam, to była dziura w kwiecistym szlafroku. Moje własne ubranie przeglądało przez nią. Rzuciłem pudełka i przeskoczyłem przez całą wystawę, zepsułem wszystko. Dostało mi się wtedy dobrze. — Śmiał się zcicha.

— Nic nie pamiętam — powiedziała Janka — ale czy to smutne doświadczenie kazało panu unikać mnie raz na zawsze? —

— Może. —

— Ale ja — spojrzała prosząco na niego — tak chętnie pomówiłabym z panem nieraz. Dlaczego pan... nie chce?

— Ano — powiedział, zaciągając znów z pomorska — jeżeli pani chce...

— Więc jutro o szóstej, dobrze, na promenadzie?

— Dobrze — powiedział krótko.

Janka odeszła. Wyszła z parku, choć zamierzała przedtem zostać długo. Straciła nagle cały animusz. Jej własne, czynne stanowisko zawstydziło ją. Cieszyła się i żałowała każdego słowa.

Wzdłuż ulicy w ogródkach zakwitał bez. Białe i liljowe pąki były jeszcze stulone.

O tej porze, w tem słońcu budzi się w człowieku

nieprzeparate, najgłębiej uzasadnione pragnienie, fizjologiczna potrzeba, być szczęśliwym.

Ale kto myśli o tem, że to właśnie oznacza niezrównoważona, nielogiczna tęsknota wiosenna?

Janka jest niezadowolona z siebie. Trzeba było zupełnie inaczej odpowiadać i mówić. Ale słońce świeci i bez kwitnie, to jedno może pocieszyć.

Nad brzegiem jeziora rosną wysokie, brunatne trzciny, zakończone ciemnymi puszystymi gałkami i płacze się gęsto zielone sitowie. Jezioro leży w dole. Szeroka droga nad niem jest zasłonięta od strony miasteczka wyżej położoną łąką. Rzadkie, ku ziemi pochylone wierzby rosną wzdłuż drogi. To jest promenada. W Staszewie niema ludzi, którzy nie pozostawiliby tu swych wspomnień.

Dbając o moralność, usunął magistrat wszystkie ławki z tej odosobnionej drogi, a jednak zawsze jakaś uparta, nieznaną ręką nanowo kleciła z trzech desek krzywą, wąską ławkę.

W upalne, letnie dni całe Staszewo uciekało na brzeg drugiego jeziora i tam na piaszczystym wybrzeżu plażowano, kąpano się, myto dzieci i psy. Młodzież nosiła kostjomy kąpielowe, starsze kobiety rozkładały się w staroświeckich halkach i wpuszczały do wody nagie dzieciaki. Zdarzało się, że mężczyźni, lub kobiety ubrani zupełnie, przechadzali się na brzegu i oburzali się głośno na bezwstyd, który sprowadzał nędzę i bezrobocie.

W takie dni ciepłe, pogodne, kiedy jezioro od

strony Zamkowej góry jest usiane kolorowemi kostjumami, promenada bywa samotna i cicha.

Dlatego mógł się niecierpliwie kręcić o wpół do siódmej młody Jezior, raz, drugi i trzeci, tam i zpowrotem od dróżki cmentarnej do płotu sadów Lange-go, dobry szmat drogi.

Żałował, że przyszedł. Odejść, wahał się, a czekać dłużej było mu wstyd przed sobą. Ile czasu mogło upłynąć od jego przyjścia, kwadrans, pół godziny?

Stąd nie było widać czerwonej wieży kościoła z tarczą zegara. Zygmunt wstydził się swego czekania. Oczywiście, musiała się spóźnić. Czy nie był po prostu za stary, żeby tak wyczekiwać? Ale czekając na każdą inną, nie liczyłby tych kilku minut. Powiedziała, że przesady bywają różne i nie wyglądała wcale na pannę z willi.

Wtedy nagle zza zakrętu zobaczył ją jak nadchodziła od strony cmentarza w jasnej sukni z kolorowym krawatem i krótkimi rękawami.

— Spóźniłam się? — zapytała.

— Tak — odrzekł — myślałem, że pani już nie przyjdzie.

W myśli odnalazł się wstyd minionych chwil, który był zarazem lękiem: może wcale nie przyjdzie...

— Przecież to ja sama prosiłam, żeby pan przyszedł, aż wstydziłam się później tego.

Zwrócił się do niej szybko: — Dlaczego?

— Widzi pan — odparła, idąc naprzód i zmuszając go jak w parku do postępowania obok siebie — zdawało mi się, że po prostu wymogłam na panu tę rozmowę. Nie mam nic określonego do powiedzenia.

Chciałabym widzieć pana, mówić... — mówiła bez śladu wczorajszego tupetu.

— Ja przecież chętnie — odrzekł cicho i przez długie tygodnie nie mógł sobie darować tych niezręcznych słów...

Kiedy przemierzali już dwa razy promenadę, od cmentarza do ostatniego pola płotu sadów Langego, powiedział do niej: — Muszę już wrócić, mój ojciec choruje. Dziś też mają mi dać znać, czy będzie jutro robota.

— Co jest ojcu? — spytała Janka.

— Ma zastarzały artretyzm, ale teraz są jakieś nowe bóle. Podobno wątroba. Nie leczy się, sam zaniedbuje i zresztą mój ojciec jest bardzo, bardzo zniszczony.

— Pracą? — szepnęła pytająco.

— Trzydzieści osiem lat, prawie bez urlopu. Pani wie, urlopy istnieją dopiero w ostatnich latach. A jeżeli tylko można pracować i zarobić podwójnie to się pracuje. Ojciec nie korzystał nigdy z urlopu. Ma przeszło sześćdziesiąt lat, to bardzo dużo u robotnika.

— Życie jest straszne — powiedziała bezdźwięcznie.

Milczał. Po chwili dopiero powtórzył: — Muszę iść. —

Zawrócili i Janka zaczęła nanowo: — Dlaczego ludzie... Nie, nie mogę zrozumieć tej podwójności w człowieku. Mój ojciec, taki dobry dla nas...

Przerwał jej niechętnie: — Ojciec, tak jakby ojciec pani rządził światem. Co znaczy jeden ojciec, jest ich tylu? —

— Nie umiem myśleć o tych sprawach bez ostatecznej rozpaczy, popadam w jakiś ślepy zaułek. Bronkowi zazdroszczę czasem usposobienia. Nic go nie może przygnębić, chociaż widzi wszystko. Jesteśmy tacy niepodobni — powiedziała prawie mimowoli.

Zdumiał się i spojrział na nią.

— Wiem — powiedziała poprostu.

Ujął jej rękę. Przez chwilę myślała, że powie coś, ale on rzekł tylko:

— Teraz niech pani wraca koło cmentarza, to bliżej, ja pójdę koło Olejarni, poco nas mają widzieć i gadać? —

Nim się spostrzegła, ręka jej została uwolniona z ciepłego, twardego uścisku. Jej własne słowa — do jutra — niepokoiły ją. Szła obok cmentarza, wdychała woń macierzanki i mięty i rozważała tę myśl natrętną, o której mówiła Zygmuntowi, dlaczego to ludzie?...

Obok Olejarni, nierówną, kamienistą drożyną nad jeziorem wychodziło się na Wodną uliczkę z małymi domkami, najgęściej w miasteczku zamieszkaną. Domki były usiane szyldami i tabliczkami. Kiedy Zygmunt przyszedł przed dom, jego matka w całej swej tuszy na wyniesionem krzeselku, siedząc, mówiła do Dębkowej z sklepiku: — Dlaczego to rude ludzie są fałszywe?

Przerywając jej spytał: — Mama, a jak ojciec? —

— Słaby dycht, ale powiada, że mu lepiej. —

Zygmunt wszedł do sionki, schylając się w progu. Dębkowa spoglądała za nim złośliwie.

— Pani Jeziorowska na doctora syna chciała...

Jeziorowska poruszyła się żywo: — No, nie poszczęściło się, to technikiem jest, na elektryczności się wyznaje — rzekła z dumą, ale zakłóło ją w sercu. Po chwili za odchodzącą Dębkową patrząc, rozejrzawszy się dokoła, z całej głębokości swoich olbrzymich piersi, westchnęła boleśnie.

Na promenadzie nad jeziorem stoi ławka, na samym końcu drogi, gdzie już zaczyna się pole. Jest zrobiona z dwóch pociemniałych desek. Przez cały dzień pada na nią słońce. Ławka rozżarza się jak metal. Z lewego ułamanego końca sterczą ostro krótkie, białe drzazgi. Kiedy wreszcie zwolna cień zaczyna chłodzić ławkę, przychodzi dwoje ludzi. Tak jest codzień.

Przychodzą prawie jednocześnie, lub czasem któreś o kilka minut wcześniej.

Jeżeli pierwszy jest on w rozpiętej marynarce roboczego ubrania i ciemnej koszuli, siedzi cicho, wyciąga daleko nogi, prostuje się, czasem bębni palcami po poręczy.

Ona zachowuje się niespokojnie, zrywa kolczaste liście z krzaków, wierci obcasem pantofla w szarym, suchym piasku, roztrąca przydrożne kamyki, wstaje i siada, wpatruje się w jezioro, które jak szklana szyba leży niskó w wysokich trawach i trzcinach.

Potem są oboje. Siedzą obok siebie, niezbyt blisko. Rozmawiają.

Któregoś dnia ona pyta: — A znajomi?

— Mało kogo mam tutaj. —

— Dlaczego?

— Byłem wiele lat poza domem. Za szkolnych czasów nie miałem kolegów. Poza szkołą istniała zawsze odległość między nami.

— Ja też miałam samotne dzieciństwo — mówi ona — a zawsze chciałam mieć kogoś bliskiego, właśnie dlatego. Jakie dziwne myśli miewa się w dzieciństwie. Wie pan, kiedyś czuwałam kilka nocy z rzędu, żeby zobaczyć jak świta. Jak to się dzieje, że z czarnej nocy robi się biały dzień. Zdawało mi się, że to jest tajemnica świata. Wtedy lubi się tajemnice. Ale nigdy nie umiałam wytrwać, zasypiałam. —

— Ja znałem tę tajemnicę, od kiedy pamiętam. Wtedy pod pierzyną było najcieplej i wtedy trzeba było wstać, napalić w szkole w piecach. Najgorsze było wstawanie i droga. Ciemno i zimno. Od drzwi odrzucało się najpierw śnieg. Ojciec wychodził jednocześnie ze mną. Właściwie to nie były najgorsze czasy. Latem kradło się śliwki u Skrzypczaka, koło młyna. Przełaziło się przez płot. Potem jadło się je w pośpiechu razem z pestkami... —

— A później musiał pan porzucić szkołę? —

Nad jeziorem unosił się niedostrzegalny opar. Było jeszcze jasno, ale z trzcin wstawała nocna mgła.

— I to nie było takie straszne jak się zdawało. Ale wtedy było źle. Myślałem, że nie będę mógł. Książki, pani wie, tak łatwo się przyzwyczaić. Zresztą pewnie każdy ma taką chwilę, kiedy ostatecznie widzi, że będzie tylko przeciętnym, nieważnym człowiekiem i to jest ciężkie. A ja, syn kuczera, dostałem się



cudem do gimnazjum i myślałem, że kto wie co... — śmiał się cicho.

— A później?

— Można było żyć, choć nie było się inżynierem. Elektrotechnik, pani widzi.

— Wie pan, dlaczego dzieciństwo było dobre. Teraz przyszło mi to na myśl. Wierzyło się, że jest ktoś, kto wie wszystko i na wszystko może znaleźć radę. Ktoś starszy, może rodzice...

— A dziś myśli pani, nie można wiedzieć wszystkiego?

— To byłoby zbyt proste...

— Można wiedzieć dużo...

— Może...

Na zimnej ławce nad jeziorem nastaje cisza.

W którejś chwili ona mówi:

— Jutro o tej samej porze?

— Tak, jutro.

Przestrzeń zachęca do lotu, powietrze do wchłonięcia całą siłą płuc, zieleń do wesołości, słońce do pogody. Spotkane psy, koty, konie są bliskie i miłe, ludzi bada uważne spojrzenie młodej dziewczyny w jasnej sukni: czy jest wam dobrze? Niech wam będzie dobrze, bo inaczej nie śmiem przecież być tak bardzo, tak poprostu szczęśliwa...

Kiedy dni są po brzegi pełne zdarzeniami i nawet noc czuwa myślą, pragnieniem, nie pisze się o swych przeżyciach. Płoną i spalają się. Kiedyś wrócą we wspomnieniu. Niebieski zeszyt urwany w pewnym miejscu, z wielu jeszcze pustymi kartkami leży ode-

pchnięty, porzucony w szufladzie z dumną pogardą dla życia, którego niewarto zgłębiać, podjęty znów, kiedy nieoczekiwana radość nie zechce uwierzyć w bezcelowość istnienia i znów z kolei zapomniany, może poleży już na zawsze niezapisany, niedokończony jak życie ludzkie.

Jest w tem gorzka, smutna ironja, że meble mniej się starzeją niż ludzie — myślała pani Ania.

Ciężkie, ciemne gdańskie biedermayery stały tak samo poważnie jak dwadzieścia lat temu. Wielki kredens dźwigał błękitną kopenhaską porcelaną, a grubo ciosany delfin, srebrny przyrząd do kawy. Krzesła, z których żadnego nie mogłaby unieść, okrężały kwadratowy stół i słońce, wpadając przez zieloną gęstwinę liści dzikiego wina, tak samo złociło ciemny bronz masywnych mebli i zapalało blaski w kryształach. Wszystko zostało. Lato przychodziło co rok z zielenią liści i złocistością słońca, tylko jej własna młodość znikła niepostrzeżenie.

Nie wolno było się skarżyć. Trwała długo. Jeszcze osiem lat po ślubie brano ją nieraz za pannę, tak młodo i powiewnie wyglądała. Dziś miała dopiero czterdziesty pierwszy rok, wcale niewiele, lecz jakże... dużo.

Nie myślała o tem tak uporczywie do niedawna, ale wczoraj stały się dwie rzeczy. Dwie jednego dnia.

Popołudniu na herbatce u mecenasowstwa Borzkowskich uprzejmy kuzyn domu, młody aplikant sądowy, zaniósł w imieniu „młodzieży“ prośbę, żeby

starsze towarzystwo przeniosło się do gabinetu i pozwoliło im tańczyć w salonie.

Z wyrazem „starsze“ zwrócił się do grona, w którym i ona siedziała. U Borkowskich panował śmieszny, prowincjonalny zwyczaj, panie gospodynie między sobą, panowie przy kartach, młodzież osobno, ścisła segregacja. I pani Ania była starszą osobą. Kiedy stała się nią? Dopiero przecież tańczyła na własnym ślubie w zachwycającej sukni z białej iluzji, dopiero w sześć lat po ślubie była królową balu. Dziś jej córka miała dziewiętnaście lat. Dziecko. Chociaż ona wyszła za mąż w tym wieku. Ale czasy zmieniły się. Dziś rzadko dziewiętnastoletnie dziewczęta wychodziły za mąż, młodość kobiety przesunęła się daleko naprzód.

Czterdzieści lat to nie było tak wiele. Ale ona miała dziewiętnastoletnią córkę i każdy mówił raczej: „Brandtowa dobrze się trzyma“ niż „ona jest jeszcze młoda“. A dziś był list ciotki. Projekt małżeństwa Janki z Wickiem Milewiczem.

Babka. Starość. Bezużyteczna, pozbawiona powabu, ona, uosobienie wdzięku. Czy istnieje coś podobnie strasznego jak stara kobieta? I gorąca aprobata męża: żeby Janka tylko zechciała. Lepiej poszukać dla niej, zanim ona sama pochwyci coś lekkomyślnie. Dwadzieścia lat po ślubie, prawie wciąż w tej strasznej dziurze. Nie, życie nie może jeszcze kończyć się.

W lustrze odbija się jej różowa twarz. Niema zmarszczek na czole, są tylko fałdy koło oczu. Może ten kwiecisty chiffon jest dla niej za jasny, za młody?

Starość, przedsmak śmierci. Oczywiście Janka zgodzi się wyjść za młodego Milewicza. Nikogo nie zna, nietrudno jej się będzie spodobać.

Zniknie jej odziedziczona nie wiedzieć po kim skłonność do rezonowania.

Starość ma w sobie coś pogardzanego. Stary mężczyzna może być coś wart, ale co począć ze starą kobietą?

Dobroczynność kobiet w pewnym wieku, którą wyśmiewała zawsze tak chętnie, zaczęła jej się wydawać zrozumiałą.

W stołowym panuje miły półmrok. Okna zakrywają zielone żaluzje i zasłona liści. Słońce wąskimi strużkami przecieka przez szpary w żaluzji. Przez wiele lat o takim zmroku oczy jej żałośnie spoglądały przez zieleń żaluzji i liści i napotykały zawsze jednokowe wąskie okno przeciwległego domu, przecięte czarnym krzyżem ramy i zawsze myślała wtedy o młodości, która tu upływa, aż dziś niespodzianie nie było młodości, znikła.

Usłyszała kroki w korytarzu, szedł mąż. Wstępował zawsze najpierw do swego pokoju, żeby sprawdzić, czy połączono aparat z centralą telefoniczną w młynie. Tylko w dwóch pierwszych latach małżeństwa zaglądał najpierw na sekundę do stołowego, do niej.

Lata... Przez cały ich szereg do dziś, pani Ania była zawsze z młodymi, sercem, poglądami. Wyniosła to z domu. Kiedy była jeszcze młodą dziewczyną, brat Adam zaczął coraz częściej znikać, pozostawiając pa-

mięć okropnych awantur z rodzicami, napaści przy stole na szanowane osoby.

Kiedys oznajmił młodziutkiej siostrze, że podobnie jak on myślą wszyscy młodzi, a fałszywe udawanie cnoty to przywilej starych. Ania wątpiła w to, bo od czasu jak pamiętała mówiono w domu zawsze, że brat Adam ma potworny charakter i niewątpliwie wpędzi rodziców do grobu.

Potem okrucy podobnych zdań powtarzał kolega Adama, młody Paweł Konarzewski, wysoki, przystojny z piwnemi, błyszczącemi oczami, syn porządnych rodziców, pozostający pod zgubnym wpływem Adama.

Ania podchwyciła je i uwierzyła wtedy, że sprawą młodych jest zdemaskowanie fałszu i usunięcie krzywdy ludzkiej z całej kuli ziemskiej. Zanim zdążyła dokładnie wyczytać tę prawdę z piwnych oczu Pawła, Adam znikł z domu zupełnie i zabrakło pretekstu do odwiedzin.

Może działały też inne przyczyny, ale w międzyczasie przyjechał Wiktor Brandt. Tak zaczęło się to, co sprawiło, że była tu teraz. Ale Ania Jerzmanowska całe życie żywiła od wtedy sympatję dla „młodych“ poglądów. Szydliła z dewocyjnej pobożności ciotek męża i uważała, że nie powinna poprzestać na gospodarstwie i życiu towarzyskiem.

Na nieszczęście nie zdążyła wówczas dowiedzieć się, co powinna robić.

Gospodarstwo prowadziła od pierwszej chwili Marta, gospodyni, dziś staruszka. Teściowa i ona zajmowały się Janką w pierwszych latach życia. Ania

była taka młoda. Nie mogła podolać temu. Malowała tylko markizy i paziów na jedwabiu, z rzadkim darem harmonizowania kolorów.

Nieraz skrycie dręczył ją lęk po śmierci teściowej, co się stanie z gospodarstwem kiedy Marta też umrze. I w nocy, leżąc w łóżku, postanawiała, że od jutra zajmie się dzieckiem i kuchnią. Ale przecież była taka młoda. Tak zestarzała się niespostrzeżenie, Boże.

— Anusiu, dobry wieczór. — Dyrektor Brandt wszedł do pokoju i usiadł naprzeciw żony.

— Nie widziałeś Janki? — Pani Ania usiłowała za tem pytaniem ukryć swe podniecenie. Zbytecznie. Nie dostrzegął.

— Widziałem — rzekł ponuro — właśnie schodziła.

— Co słyhać? — spytała pani Ania bez zainteresowania.

— Żle, marnie, — wybuchnął. — Zastój. Nie ma dowozu i niema zbytu. Zboże jest śmiesznie tanie, nikt nie przywozi. To, co mamy, leży na składzie w te upały — zdawało mu się, że żona słucha pilnie i mówił coraz więcej.

— Nigdy nie było tak źle, chociaż ostatnie lata, wiesz, są ciężkie. — Umilkł i nagle rzekł z żalem: — Jest strasznie. Ja całe życie pracowałem i niewiele używałem. Miałem poprostu pecha. Za Niemców uważano mnie za Polaka, teraz wielu utrzymuje, że jesteśmy Niemcami przez nazwisko. Nie zależy mi na plotkach, ale dziś... Nie wyzyskiwałem nigdy ludzi, albo jeżeli chcesz mniej niż inni, a przecież jestem

kapitalistą, pijawką — mówił gorzko, odpowiadając jakimś niewyjaśnionym myśłom. — Ludzie naszej sfery uważają, że jestem za słaby, skłonny do kompromisów, dla innych jestem tak samo zły jak tamci... Życie jest straszne, nie do zniesienia.

— Tak — powiedziała pani Ania. — Jest tak strasznie, a nic, nic nie można zmienić...

— My nie możemy zmienić — powiedział Brandt.

Słońce ześlizgnęło się z ciemnych mebli, oboje siedzieli w zapadającym mroku. Brandt ujął rękę żony. Rozumiała, to sprawiało ulgę.

Ale pani Ania nie powiedziała, co jej było straszne — i on nie wyznał również, że przed kwadransem na schodach zatrzymała go Janka. Na jego wesołe „dobrywieczór“ rzekła, opierając się na poręczu:

— Chciałam ci coś powiedzieć, tatusiu, mam kolegę, który studjuje i jest w biedzie, nie da sobie rady bez pomocy — i nim zdążył coś powiedzieć dodała:

— Młody Kaliński, naszego dozorczy syn — głos jej był surowy i zarazem drżący.

Nie odrzekł nic, a ona zbiegła po schodach jak wiatr, przejmując jego serce bolesnym chłodem.

Na schodach był miły, domowy zapach pasty do podłogi i terpentyny. Dyrektor Brandt stał na nich długo. — Kara — myślał nielogicznie.

Wyjazd do ciotki Milewiczowej został postanowiony. Matka miała swój dzień melancholji. Zaczęło się od tego, że między zupą, a mięsem powiedziała:

— Już dwa dni nie byłam nigdzie poza ogro-

dem — i oczy jej patrzyły w talerz z żalem i wyrzutem.

Ojciec stał się niespokojny. Nienaturalnie łagodnym głosem powiedział:

— Więc dlaczego nie wychodzisz? Może pojedziesz dziś bryczką? —

— Nie — odrzekła matka krótko — widoki mogę oglądać przez okno.

— Więc czego chcesz, do Krynicy macie przecież jechać dopiero w sierpniu.

— Ale ja tu nie mogę siedzieć do sierpnia, teraz jest czerwiec — zawołała matka bliska łez (wtedy była zawsze taka młoda).

Ojciec patrzył na nią z żalem: — Aniu, uspokój się. —

Milczała przez chwilę. Janka przeraziła się, może matka miała jakiś gotowy plan.

— Miesiąc to niedługo — rzekł ojciec.

— Dla mnie w Staszewie to jest rok.

Wtedy, namyślając się, rzekł ojciec spokojnie:

— Jedźcie do Milewiczów, ciotka zaprosiła przecież. —

Na jego twarzy było znużenie. Janka dojrzała je. Matka siedziała cicho.

— Dobrze — powiedziała po chwili i głos jej drżał jakby od tajonych łez. Janka sama nie wiedziała, czy matka cieszy się z tego wyjazdu. Wiedziała tylko, że ona ani trochę. Odeszła od stołu ostatnia. Wyrzała przez okno, niepotrzebny jej był zegarek.

Wiedziała, że teraz schodzą się ludzie z za wozów, z pod stajni w białych, zamoczonych ubraniach



i wchodzą po drewnianej rampie do młyna. Stukając po kamieniach jechał na ulicy pusty wóz w kierunku młyna. Janka wiedziała, że za chwilę ostry, donośny świst syreny ogłosi drugą. Staszewo wydało jej się przytulne i swoje.

Wyszedszy z dusznego pomieszczenia, w którym był Zakład elektrotechniczny, Zygmunt zmęczony i zgrzany z miłym poczuciem, że za chwilę odetchnie powietrzem Promenady, doznał pewnej przykrości.

Kilka tygodni temu śmiała, ciekawa dziewczyna wywołała pierwsze spotkanie.

Kiedy zaczepiła go wtedy z urazą i żalem, wydała mu się poprostu samotnem, obcem stworzeniem, które szukało sobie człowieka. To, co mówiła brzmiało tak samo jak nieraz u innych dziewcząt: Co to pan Zygmunt taki dumny, nie spojrzysz?

Z urazą, z żalem niezauważonej istności. Wtedy poruszyło go i rozbawiło.

Ale zaraz następnym razem, kiedy rozmawiali na nadjeziornej drodze, znalazł się w tem cierpki posmak nieuchwytniej przykrości. Ciekawość jej była przykra. Pytanie w swej prostocie niedyskretne, niedość skryta chęć badania nieznanych spraw patrzyła jej z oczu. Janka pytała o wszystko.

O dom, pod którym każda ze „swoich“ dziewcząt wiedziała, że należy rozumieć izbę niedość jasną, niedość wietrzoną, z jaskrawymi obrazami, zapchaną łózkami i stołkami, o rodziców ciężkich, spracowanych, zamkniętych w twardej skorupie jednakiej od zawsze rzeczywistości, niezwykłych ujmowania w słowa cze

gość innego prócz faktów jasnych jak dzień, ostrych jak nóż...

Jacykolwiek tam byli jej rodzice można ich było sobie wyobrazić najróżniej.

— Moi są tacy jak dziewięćdziesiąt na sto rodzin robotniczych — powiedział jej, a ona nie rozumiała, czemu muszą zawsze być tak podobni do siebie.

Ciekawość jej, choć uczciwa i prosta, przypominała coś Zygmunтови. W zapomnianych dawno czasach dobroczynnej ochronki, a później w szkole, kiedy pozostawał przez lata unikatem, „syn zwykłego robotnika i bardzo zdolny“, zatrzymywały się nieraz przy nim panie w nieznanym sposobie ubrane, zadawały dziwne pytania, niby proste o rodzinę i własne zamiary, ale wypowiedane z jakąś szczególnie miękką, łagodną tonacją, tak, że odpowiadać na nie było „głupio“. Pod nosem, ze wstydem z gorącą, bolesną niechęcią mruzczało się coś łagodnie i bezmyślnie.

Nieraz z kolegami przyglądał się później tym paniom, które zostawiały za sobą zapach słodki, mdlący i ulatujące ciepło pogłaskania.

Janka pytała podobnie. Jak one zostawiła trochę żywej, dotykanej przykrości i ulatujące ciepło krótkiego zbliżenia. Nie było tylko niepokojącego zapachu, była prostota i rzeźwość. Ale pomimo to, dlaczego ciągle od tyłu tygodni co drugi dzień przychodziło się na Promenadę? Pomyślał o tem niechętnie, z zakłopotaniem.

Dlatego rozmowa w odnalezionym przedwczoraj zakątku pod skrzywioną wierzbą, była urywana i niespokojna. Nim jeszcze Zygmunt usiadł, powiedział, że

nie może długo zostać, bo ojciec jest chory, a on sam pracował bez przerwy obiadowej.

Obcasem wiercił w pulchnej ziemi, aż wreszcie powiedział cicho:

— On pewnie nie wyzdrowieje...

— Może gdyby wziąć dobrego lekarza? — spytała cicho, nie mówiąc już o własnej trosce.

— Tutejszy z Kasy był. —

Dotknęła jego rękawa. — Możeby z Torunia?

Nie oburzył się, choć zrozumiał ją.

— Nie trzeba — powiedział i usiadł ciężko na kamieniu. — Chce pani pomóc? Przecież pani nie ma nic... sama. Możeby ojciec sprawił taki prezent córce, ale co z tymi wszystkimi, których nie zdoła pani zaprotegować, co? —

Milczała.

— On jest stary — powiedział jeszcze Zygmunt: Ma przeszło sześćdziesiąt lat, a pracuje czterdzieści. Doktor niepotrzebny. Jego siły żywotne są wyczerpane...

Rozrywał obcasem ziemię i miażdżył soczystą trawę, która swoją zieloną krwią barwiła jego płócienne pantofle.

Milczeli oboje aż Janka odezwała się:

— Wyjeżdżamy jutro.

Poruszył się i odwrócił głowę. — Już jutro?

— Dłaczego już?

— Myślałem, że pani pewnie wyjedzie.

— Dłaczego? — zdziwiła się.

— Bo latem rodzina pani zawsze wyjeżdża ze Staszewa. —

Serce Janki wezbrało nagle żalem tak gorzkim, że nie umiała go opanować. Takim bolesnym, nieznośnym żalem, jakim odczuwa się, nagle obcość i nieuchwytność ludzi, których pragnęłoby się mieć blisko.

— Żałuję — powiedziała tylko, a kiedy uśmiechnął się nie mówiąc nic, pełna smutku i urazy do wyjazdu, który zapowiadał tyle zmian, położyła mu obie ręce na ramiona. Ale słowa nie chciały przyjść z pomocą. Zygmunt w tem dziwnem objęciu zmarszczył się. — Dobrze, że jestem tyle starszy — mruknął.

Podniesione jej ręce zadrżały. — Dlaczego?... — szepnęła.

— Dlatego, że... — i nagle, przecząc słowom, gorące usta przywarły do jej warg.

Wpijały się coraz bliżej, goręcej, aż dotarły do twardego szkliwia zębów.

Nagle, niespodziane szczęście być tak całowaną ogarnęło ją. Jeszcze w jego objęciu żalowała, że za chwilę zabraknie tchu i przyjdą rozsądne słowa.

Na drodze trzeszczał żwir. Nadchodziła kobieta z koszem. Widziała, czy nie?

Janka gładziła krótkie rozsypane włosy. Kobieta minęła ich. Spojrzał na nią. Spuściła oczy. — Żałujesz? — spytał.

Skinęła przecząco. — Nie? — szepnął — a jeżeli ta baba widziała i jutro całe Staszewo dowie się o tem?

— Nie — powtórzyła tylko.

Dwa tygodnie rozłąki wydały się nagle jeszcze bardziej nieznośne niż przedtem. Teraz, kiedy już po

raz nie wiedzieć który rozchodzili się na skrzyżowaniu dróg, wydało im się, że widzą się po raz pierwszy.

— Trzeba pójść — szepnęła z żalem.

— Janko — głos jego był łagodny i przenikliwy.

— Co?

Po chwili dopiero powiedział: — Pocałuj mnie sama.

W pierwszej chwili samotność wydała się nie do zniesienia. Przytłaczająca, okrutna, pełna przeczuć. Kiedy oddalała się od siebie o wiele kilometrów wszystko będzie inne. Życie, ludzie i miłość okażą swe podwójne oblicza.

Jakże inaczej musiała wyglądać miłość już o kilkadziesiąt kroków stąd, oglądana z domku, gdzie umierał stary kuczer.

Janka szła równolegle do cmentarza. Przez niewysoki płot widać było gdzieś ludzi. Sobota. Dziś najwięcej odwiedzano groby. Obok płotu były najmniejsze dziecięce grobki. Tam gdzieś musiało być tych dwoje, które pochowano zimą. Wtedy stała po raz pierwszy obok niego i to przypomnienie przeraziło ją nagle myślą, jak wiele jeszcze zostało do powiedzenia.

Od grobów padały cienie i w Jance nanowo zrodził się lęk, że jemu może teraz umierał ojciec. Chciała zapłakać, ale nieprzywykła do łez, nie mogła mimo wysiłku sprawić, żeby z niemi spłynęły dręczące obawy.

Matka siedziała na niskim stołeczku z masą barw-

nych fatalaszków na kolanach. Przed nią stała duża waliza do połowy napelniona. Matka dobierała jeszcze swoje stroje z tą samą starannością i uwagą, z zaletnością, której nie posiadała córka. Kiedy zobaczyła Jankę wracającą, zawołała zdumiona:

— Dopiero wracasz? Kiedy zapakujesz rzeczy? Czy ty się wcale nie cieszysz, że jedziemy?

— Cieszę się — powiedziała Janka z bardzo zrównoważoną radością. — Doprawdy ty jesteś dziwna...

— No idę już — uśmiechnęła się — zapakuję moje kreacje mody. —

— Idź jeszcze przedtem do ojca. Prosił, żebyś przyszła. —

Już przy drzwiach Janka zatrzymała się: — Poco? — spytała zdumiona.

Matka z figlarną miną zrobiła ruch liczenia piędzdy. Jej jasne ondulowane włosy rozsypały się przytem miękką falą.

Przeskakując po dwa stopnie schodów wyłożonych kokosowym dywanem, myślała Janka, czy można sobie wyobrazić, że matka będzie kiedyś stara? Że jej płeć będzie jakimś ubocznym, zbędnym atrybutem? I jaka będzie wtedy?

Drzwi do gabinetu ojca były niskie, pomalowane na ciemno brunatny kolor, dziwnie małe w ogromnym pokoju. Kiedy na dworze ściemniało się w gabinecie była noc. W jasny dzień panował tam zmierzch.

Lampa z zielonym abażurem paliła się na biurku, oświetlając je bladym światłem i pograżając resztę pokoju w łagodnym, smutnym mroku. Na dywanie dygotały długie cienie.

— Kazalesz mi przyjść, tatusiu? —

Światło lampy zostało szybko skierowane na nią.

— Przecież jutro wyjeżdżasz, myślałem, że ci się przyda trochę gotówki? —

W zielonem świetle lampy w wielkim, ciemnym pokoju z ciemnymi meblami, twarz ojca wydawała się bardzo blada. Janka była zmieszana.

— Mam tylko drobne wydatki — powiedziała, zbliżając się do biurka.

Brandt pomyślał również, że Janka jest blada w zielonem świetle. Wyjął prędko z portfela przygotowaną setkę, ale Janka nie dotknęła niebieskiego papierka.

— Doprawdy, mam wszystko i nie potrzeba mi tyle — powiedziała, zawahawszy się nagle, bo przyszło jej na myśl, że ostatecznie mogłaby je zużytkować w jakiś słuszny sposób.

Ojciec podsunął je bliżej: — Weź, przydadzą ci się. Ale ty naprawdę dziwnie nam wyrosłaś, Janko.

Odchylił się w fotelu i patrzył na nią, położywszy blade żyłkowane ręce na poręczy.

— Myślisz, że nie jestem podobna do moich rodziców? — spytała. Ale ku jej zdumieniu odrzekł:

— Nie, tylko młodzi nie odnajdują siebie w starzych. My przeciwnie. Pamiętasz o czem mówiliśmy niedawno? Wtedy usłyszałem, że moja córka mówi „wy i my“. Nie, ja nie zarzucam ci... — rzekł szybko, widząc, że Janka chce mówić — tylko o jedno cię proszę. Pamiętaj, proszę cię o to. —

Oczy patrzyły w nią uparcie, prawie prosząco. Ile razy myślał o tem, nim dziś wymówił słowa. Prze-

rażały go same, jakgdyby każdy wyraz mógł wyzwoić niebezpieczeństwo, którego ona sama nie znała jeszcze.

— Dziś jest taki czas, kiedy wszyscy zbawiają ludzkość. Ty jesteś taka młoda. W ostatnich rozmowach przekonałem się, że jesteś pod czyjś wpływem — chciał powiedzieć — może wuja Adama, ale przyszło mu na myśl, że równie dobrze może to być ten, z którym ją widział ostatnio, młody chłopak... — Czekaj, nie rób nic, czego skutki mogłyby pozostać na całe życie. — Znowu przeszkodził jej, kiedy chciała coś odpowiedzieć.

— Powiedziałas ostatnio, że rodzice nie są zwoleńnikami bohaterstwa. Myślałem o tem, my rodzice myślimy nad tem, co mówią nasze dzieci. Tak. Być może. Nie są. Chcemy, żebyście byli zdrowi, silni, dobrzy, ale nie bohaterscy. Może to jest poziome, egoistyczne, ale tak jest, a jeżeli kiedyś przestanie być, to chyba wtedy, kiedy rodzice i dzieci wyrzekną się siebie nawzajem — głos mu drżał z wysiłku i wzruszenia.

Już oddawna Janka chciała przerwać, powiedzieć żartobliwie, że to płonne obawy, że ona nie jest bohaterką i nie rozumie o jakie niezwykle czyny obawia się dla niej, ale w ten dzień wzruszeń, coś ścisnęło jej gardło, kiedy widziała jabłko Adama poruszające się szybko na wychudłej ostatnio szyi ojca.

Patrzyła w milczeniu jak na ciemno brązowej tapecie imitującej skórę, w zielonym półmroku dygotał jego niespokojny cień i słuchała jak mówił wysiłony głos.



— Dlatego chcę, żebyś wyjechała. Nie wiem z kim się tu przyjaźnisz i nie pytam cię o to. — Tu nastąpiła mała, jakby mimowolna przerwa. Może zwierzy się jednak... A potem znów. — Poznasz innych ludzi, coś innego cię zajmie. Dziś myślisz, że ludzi bardzo łatwo dzielić na kategorie. Napiszesz do mnie, prawda?

— Napiszę — powiedziała i to były jej jedyne słowa w tej długiej rozmowie.

Wieczorem, po raz pierwszy od miesięcy zostały w niebieskim zeszytcie zapisane i przekreślone trzy linijki.

„W każdym z nas żyje lęk nie tylko przed złem, ale i przed dobrem, do którego jesteśmy zdolni.

...Zawsze będzie istniało bohaterstwo, choć bohaterzy są zawsze czyjemiś dziećmi.“

---

### *Notatki Janki.*

Węgorzyn jest własnością ciotki Róży, jej syna i córki. Państwewko w miniaturze. 22 włóki ziemi z ludźmi „dworskimi i wsiowymi“. Biały, dosyć zniszczony dwór z filarami na ganku. Ciotka mówi o nim: pałacyk, śliczny ogród i podwórze.

Słupy graniczne głośzą: Dom (inium) Węgorzyn. Między dworskimi, zabudowaniami, a wsią istnieje granica nieoficjalna, ale niemniej trudna. Wąska, błotnista droga, niemożliwa do przebycia. Trzeba ją przeskakiwać. Ale to nic takiego. Poco masz tam chodzić?

Zalety tej miejscowości w redakcji mamy są na-

stępujące: blisko, bliźnięta Warszawy, konie i samochód do dyspozycji, śliczny ogród, no i młodzież, towarzystwo. Próba towarzystwa była w niedzielę. Mały literacko gawędziarski wieczór, powiedziała ciotka Róża.

Ciotka jest chlubą rodziny. Wykształcona, elegancka, pewna siebie, dla mnie bardzo czuła. Zajmuje się filantropją i zna się dosłownie na wszystkim. W domu jest syn, Wacław, na domowy użytek Wicek. Rycerski uprzejmy, ideał Frauendienst. Myślę, że lubi pohulać, ale przy nas jest oczywiście skończenie correct. Jakie nieznośne przyzwyczajenie używania francuskich słów. Ile razy zdarzało mi się to w obecności Zygmunta, było mi przykro i wstydziłam się. Wszystko, co nie jest najprostsze, staje się przy nim takie sztuczne.

Wicek jest przystojny, wysportowany, bywał zagranicą, gdzieś coś studjował. Chce zostać w Węgorzynie, pracować, mówi coś o racjonalnej gospodarce w przyszłości. To brzmi tak, jakby dotychczasowa nie była racjonalna. Być może, że tak jest naprawdę, bo dwór wygląda podupadły.

Myślę o tym wieczorze niedzielnym, bo niespodzianie nauczyłam się tam czegoś. Na początku było okropnie. Przy herbacie i kanapkach rzucało się tematy jak piłki. Małżeństwo, podróże, sztuka. Każdy jak umiał podbijał piłkę i toczyła się pełna bon mottów. Nie wiem dlaczego wzbudziła we mnie taki niesmak. Ale było coś szkaradnego w tem, że nikt nie brał na serjo ani możliwości monogamji, ani domów

Sierot, ani sprawy nowego towarzystwa krajoznawczego.

Wszystko służyło jakby tylko poto, żeby było o czym mówić przy herbacie w salonie ciotki Róży... Każdego tytułowało się o stopień wyżej niż mu się należało. Do dziennikarza „redaktorze“, do kapitana „pułkowniku“.

Ktoś wspomniał o czyjejs śmierci i literat Sliwski (niski, łysy, ugrzeczniiony, pierwszy żywy literat, którego widzę i taki okropny) zacytował wiersz Tuwima: „Jak brzytwą w masło cicho, plusk...“.

Naprzeciwko mnie siedziała pani Nieźwiczowa, bardzo ładna i ekscentryczna. Pani Irena, oczywiście Ira, powiedziała wtedy — jest jakiś ładny wiersz, też o śmierci, Borowicza. Nie pamiętam tytułu. On sam deklamował go, kiedyś słyszałam.

— Biedny Borowicz — westchnęła ciotka Róża — ma samotną starość. —

Pani Biernacka tęga, wielomówna sąsiadka z majątku Glinki, energiczna działaczka w kole Ziemianek, wtrąciła się żywo:

— Droga pani, to jest los każdego, kto w młodych latach nie zakłada rodziny.

Czas, kiedy się ciągle bywało, tworzyło, mija i przychodzi starość na poetów tak samo, jak na nas zwykłych śmiertelników. Wtedy odczuwa się brak dzieci i rodziny. To jest proszę państwa tajemnica ważności i świętości rodziny. —

Mało brakowało, a byłyby oklaski. Tylko dziennikarz Gajewicz powiedział w lirycznym zamyśleniu: — Pamiętam, byłem w ósmej klasie, kiedy wy-

szedł pierwszy tomik jego poezji „Uśmiechy wiosny“. Entuzjasmowaliśmy się tem. Jaki nowy rodzaj ekspresji, jaka siła. A dziś, nie jestem przecież jeszcze taki stary, — uśmiechnął się do młodej pani Niżewicz — a on już zapomniany zupełnie...

Ciotka Róża z wielkiem ożywieniem zaczęła proponować jubileusz dla przypomnienia. Doprawdy, podziwiam jej niezwykłą ruchliwość i inicjatywę. Ma poprostu jakąś niezwykłą wprawę w tego rodzaju sprawach.

Sliwiński odpowiedział jej z uśmiechem:

— Niestety droga pani. Wielki koszt i wątpliwy rezultat. Borowicz ma tylko jeden sposób zainteresowania ogółu sobą. Przykry, ale niewątpliwy. Musi umrzeć. Śmierć pomaga sławie.

— Pan jest złośliwy. —

Czytało się potem niektóre poezje Sliwińskiego i Gajewicza. Krążyły w rękopisie. Niektóre naprawdę ujmujące, ale wszystkie te poezje, nie wiem, czy rozumiem je dobrze, nie wzruszają mnie jakoś. Są piękne, ale dalekie. Liryczne pejzaże, jakiś motyw, wszystko takie, jakby to powiedzieć, niekonieczne, same ozdoby. Nowość ich jest czemś formalnem. Mogłyby należeć do dalekiej przeszłości. Nie rozumiem ich, nie wstrząsają mną. Być może zresztą z mojej winy.

Dosyć tu jest czasu na zapisywanie wszystkiego, co się przeżywa, a kiedy się to notuje, wszystko staje się przejrzyste. Najczęściej pewnie nie rozumiemy

własnych przeżyć, bo nie mamy czasu uprzytomnić je sobie dostatecznie.

Wczoraj przyjechała matka Madzi. Wysoka, chuda, oczy ma podkrążone sinemi kręgami. Twarz jest zupełnie zwiędła i bezbarwna, tylko czarne włosy przypominają Madzię. Ma być bardzo nerwowa. Dlatego pewnie Madzia tak mało bywa w domu. Poruszają przy niej tylko najobojętniejsze tematy. Taktyka ciotki jest przytem bardzo przezroczyta. Zwraca się do niej tylko z pytaniami: czy lubi kompot, czy jej nie szkodzi słońce, lub coś w tym rodzaju.

Mama na moje pytanie odpowiedziała, że to bardzo nieszczęśliwa kobieta.

Nikt nie jest zadowolony z tej wizyty, ale widocznie byłoby wielkiem okrucieństwem przyznać to, bo wszyscy mają wyraz współczucia na twarzy.

Nawet Wicek, chociaż powiedział „warjotka“ dodał zaraz — nieszczęśliwa.

Rzeczywiście, ona ma chwilami niezupełnie przytomny wzrok.

Czas schodzi nam na wyjmowaniu pestek z wiśnien. Jutro zaczyna się smażenie, a wieczorem będzie trochę gości.

Mama, ciotka i ja siedzimy nad wiśniami. Wicek przychodzi „pomagać“ i opowiada przy tem mnóstwo dowcipnych historii. Czasem chwytam wzrok mamy. Zdaje mi się, że łączy nas w myśli. Kilka razy mówiła, że Wicek podoba jej się. Jest tak pewna jego wartości i wrażenia, jakie musi wywierać, że budzi się we mnie złośliwa chęć wyznania prawdy. Często mam olbrzy-

mią chęć zrobić to, dla lepszych pobudek, żeby móc z nią pomówić o tem. Ale czy może być ktoś tak bardzo daleki od wysłuchania przychylnie podobnego zwierzzenia jak matka?

Przedwieczorem zrobiło się małe poruszenie. Gospodyni kilka razy przychodziła pytać o coś ciotkę. Ciotka wychodziła i wracała zakłopotana, a matka Madzi ze swoją wyblakłą twarzą i podkrążonemi oczyma, z głową obarczoną dużym, czarnym kokiem włosów, odpowiadała mojej mamie na pytania, co lubi i co jej służy. Kiedy powiedziałam, że zajmuję u babki pokój z Madzią, powiedziała obojętnie:

— Jesteście w jednym wieku, pamiętam. —

A mama zaraz zapytała, czy kuzynka chce pomagać przy wyjmowaniu pestek.

Ciotka wróciła i zasiadła do wisien. Na werandzie był miły cień. W koszu rosła góra czarnych, broczących sokiem wisien. Nam wszystkim po rękach spływał wiśniowy sok.

— Ten sok jest jak krew — powiedziała kuzynka, a ciotka spytała na to, czy jej nie za chłodno na werandzie. Potem znów wstała i wyszła. Za nią poszła mama, żeby umyć ręce. Zostałyśmy same, a ja nie wiedziałam czy i o czem należy z nią mówić. Siedziała zupełnie spokojna, zajęta wydzieraniem pestek z wiśni i co chwilę garść twardych kulek ze stukiem spadała do miski. Nie mówiła nic.

Potem wróciła ciotka z Wickiem. W pewnej chwili wśród żartów Wicka, zobaczyłam, że mama z głębi niebieskiego pokoju wołała mnie nieznacznie.

— Co się stało? Jaki tu niesamowity nastrój? — spytałam ją.

Mama syknęła: — Cicho bądź. Zosia będzie spała obok nas. Drzwi muszą być otwarte i masz o nic nie pytać. Już ja ci opowiem wszystko.

Zapytałam czy ona jest zupełnie... Mama była bardzo zmieszana:

— Ona jest bardzo nieszczęśliwa, więcej niż człowiek może znieść. A kiedyś była zupełnie ładna. — Tyle tylko dowiedziałam się o matce Madzi.

Wieczorem kładłyśmy się spać przy szeroko otwartych drzwiach do sąsiedniego pokoju. Kuzynki jeszcze nie było. Przy jej łóżku stała szklanka zimnej wody na stoliku.

Leżałam już w łóżku i chciałam przeczytać króciutki list Zygmunta nanowo. Włożyłam go między stronicę „La mare au diable” G. Sand (mama zabijała mnie teraz tą lekturą), ale mama tak wzdychała, że przypomniła mi się sprawa kuzynki. Mama opowiedziała mi część jej historii.

— Zakochała się w młodym Downarowiczu. Ach, jaki to był piękny chłopak. Pamiętam go doskonale. Bogaty też był i wyobraź sobie... zaręczyli się. Wszyscy byli zdumieni, bo on mógł znaleźć zupełnie inną partję. Ale stało się. Może zanadto zazdroszczono jej tego szczęścia. Potem okazało się, że wniósł jej oprócz tego wszystkiego chorobę...

— Zaraziła się?

Mama nie zamierzała może przemilczeć tego, ale było jej trochę przykro, że zrozumiałam odrazu.

— Nie — powiedziała, przyglądając mi się —

jakoś nie. Urodziła nawet troje dzieci. Madzia była ostatnia. Ale ona nie zna już ojca. Był w domu obłąkanych, kiedy się urodziła. Nie dowiedział się już, że miał córkę. Ona potem przesiadywała ciągle z dziećmi u lekarza, czy to tylko są zdrowe. —

Spokojne, człapiące kroki zbliżyły się. Kuzynka w swojej granatowej sukni, chuda i sztywna, jakby z trudem otwierająca usta, zapytała:

— Jeszcze nie śpicie? — i chciała przymknąć drzwi, ale mama poprosiła ją, żeby zostawić otwarte.

— Będzie nam milej — powiedziała. Z sąsiedniego pokoju nie odpowiedziano.

Usnęłam dość prędko, ale usypiając myślałam wciąż nanowo o tej chudej twarzy z podkrążonemi oczyma. Nie była wcale podobna do wuja Adama, ale jakieś podobieństwo istniało w nich obojgu. To były ruiny wielkich uczuć. Ale w wuju Adamie tliły jeszcze niewidzialne płomienie, a ona była wygasła, bezbarwna, prawdziwe gruzy. W ciągu nocy budziłam się nieraz. Pierwszy raz ze snu wyrwało mnie szczekanie psów. Głuche i przeraźliwe, tak, jak tylko w wiejskiej ciszy szczekają psy. Drugi raz była to grzechotka nocnego stróża. Jednocześnie mama uniosła się szybko na łóżku.

— Nie, to nocny stróż — szepnęła mi drząc.

Zrobiło mi się bardzo ciężko. Nie zasypiałam w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, co wisiało w powietrzu. Zasnęłam na chwilę i obudziłam się znów. Nagle zupełnie wyraźnie usłyszałam westchnienie z pokoju kuzynki. Jedno, drugie, jęk coraz głośniejszy nabrzmiewał w ciche, bolesne wycie. To nie był już



ludzki głos, jakiś dźwięk obłąkany, ani zwierzęcy, ani ludzki, ale gdziekolwiek słyszałoby się go, wiadomo było co oznaczał. Nie pamiętam czy zawołałam mamę, czy obudziła się sama. Wbiegłyśmy do jej pokoju.

Leżała z głową wkopaną w poduszki i wołała przerażonym głosem: — Duszno mi, duszno. — Mama zaczęła ją poić wodą, ja usiłowałam poprawić pościel.

Wołała coraz ciszej, aż uspokoiła się. Może nawet zasnęła później, bo żaden dźwięk nie dochodził z jej pokoju. Ale ja nie mogłam już spać. Rano wstałam pierwsza, nie mogłam zostać na gorze.

W stołowym na dole gospodyni Lisowa nakrywała stół dla gospodarzy i praktykantów. Usiadłam na otwartym oknie i przyglądałam się. Żywy, normalny człowiek, śniadanie na stole, zieloność i świeże powietrze za oknem działały kojąco.

— Jak pani Downarowiczowa spała? — spytała nagle Lisowa, przyglądając mi się.

— Źle.

Westchnęła. — To te syny pobite co noc przed nią stają. Na wojnie oba padli. Jeden za drugim. Jeszcze ich dobrze pamiętam. A ona tak wciąż, co noc wnet. Jak mnie brat zginął, też mi we śnie wciąż przed oczyma stawał — rzekła, chuchając na czysty talerz i przecierając go serwetą.

— Strach ją tak ściska co noc — rzekła jeszcze Lisowa. — Zadużo ma bliskich umarłych, więcej jak żywych. To źle. —

Odeszłam do ogrodu. Dzień zaczynał się upalny i rosa już obeschła. Można było usiąść na trawie.

Rosło jej tu tyle, tak bujnie rozrzuconej, z okrutną, lekceważącą hojnością, że koszono ją bardzo często.

Mogłabym wołać teraz jak kuzynka: — Duszno mi — i wiedziałam, że ta duszność to był lęk przed własną zaturatą w nicości, że każdy ma swoje chwile, kiedy mu tak... duszno.

Nie, jeżeli się chce żyć spokojnie to trzeba chyba wierzyć, że wszystkie wojny i krzywdy staną się potwornym wspomnieniem minionych czasów. Dlatego w Węgorzynie nie mówiło się o chorobie kuzynki. Są rzeczy, które trzeba zniszczyć, a jeżeli się tego nie robi, można o nich tylko milczeć.

Miasto, w którym się człowiek urodził i żył, w którym na kamienistym podwórzu stawał pierwsze kroki, gdzie pod nieznanym murem dojrzał swe pierwsze własne, niezrozumiałe odbicie — inne dziecko, miasto z ulicami i domami, dobrze znajome i bliskie; mieszka się w niem latami obojętnie i obco, aż nagle spada z niego zasłona, odkrywa się nieznanne ulice i zakątki, a dobrze znane ukazują swe właściwe oblicze — i zaczyna się rozumieć nagle wymowę ulic i domów, które dotąd milczały.

Obudzona któregoś dnia miłość uczy tej sztuki, miłość do człowieka, lub ludzi, wszystko jedno, jest granica, na której zbiegają się obie, bo każda z nich jest tylko mniejszą, albo większą częścią jednej, wszechludzkiej, przeogromnej miłości życia.

Tam, gdzie szeroka kamienista ulica Mickiewicza w Staszewie przechodzi w szosę wiodącą do Mielnika, jest wielki plac ogrodzony parkanem. To świński

Rynek. Na nim zbierają się targi, jarmarki, zebrania i obchody. Janka nie widziała go nigdy jeszcze w czasie uroczystości.

Na świńskim Rynku był cyrk i karuzela. Jaskrawo pomalowane, wyblakłe od deszczu wozy cygańskie stały długim rzędem. Na przeciągniętym między wozami sznurze suszyły się pieluchy.

Za wozami, w bylejak skleconem ogrodzeniu widać było muskularne i lśniące konie cyrkowe. Na krótkich, grubych łańcuchach stały obok wozów kudłate, brudne niedźwiadki. Cyrk jeszcze się nie zaczął, ale karuzela już wirowała. Połowa ludności miasteczka była tam napewno, a dzieciaki wszystkie. Zygmunt i Janka przepychali się zwolna między tłumem.

— Wolałbym łódkę niż pocić się tu — mruzczał Zygmunt, ale Janka nie ustępowała.

— Muszę raz zobaczyć. Przecież musi być coś, dlaczego to ludzi bawi.

— Dlaczego, to całkiem proste. Co mają innego? Teatr, koncert?

— Ale tu też nie jest zbyt tanio — powiedziała Janka, która poprzednio długą chwilę trwała przycisnięta do płotu nawprost cennika.

— Przy teatrze o tych samych cenach byłyby pustki.

— Bo to nie byłyby teatr dla nich — rzekł Zygmunt — zagranoby francuską farsę, albo coś klasycznego. — On sam wyjaśnił sobie nagle w tej rozmowie, że ile razy udawało mu się pójść do przyjezdnego teatru, nie zajmowało go przedstawienie tak, że zdarzało mu się drzemać.

Na początku zdawało mu się, że to tak „tępieje“ się w tej dziurze, ale to było jednak coś innego. Wszystkie te historie na scenie, trójkąty małżeńskie i zawiłe łamańce psychologiczne nie miały poprostu nic wspólnego z jego życiem. Z ich życiem...

Kędzierzawy wyrostek cygański zbliżył się do nich: — Halba złota ławka, złota karetka. Karuzela. —

Janka wepchnęła się w tłum zanim.

— Panna chce się zabawić między ludem? — spytał. Nie była to ironja, raczej żart, ale Janka co dzień, co chwila w każdej rozmowie czuła jego obawę, że to może być jej kaprys, czy poza i sama najsurowiej kontrolowała się. Dlatego umilkła dotknięta, niezdolna dowieść szczerości swych pragnień. Ale Zygmunt wiedział już sam, że skrzywdził ją i pożalował tego.

Na przepelnionym ludźmi Rynku, gdzie niejednego chłopaka, stojąc obejmował swoją dziewczynę, schylił się prędko i pocałował ją. Przestraszyła się prawie odruchowo, ale nikt w tym tłumie nie widział jej nawet.

Wspinając się z trudem, wsiedli wreszcie do głębokiej czerwono i złoto pomalowanej kolebki. Siedli na wąskiej ławce i zaraz do wtóru wrzaskliwej muzyczce, wielki czerwono biały słup i wiszące na linach karetki ruszyły.

W pierwszej chwili widziało się jeszcze stojących pod karuzelą ludzi i wrzeszczące dzieciaki, które już siedziały w karuzeli niżej na ławkach, potem muzyczka różnęła żwawiej, ludzie zleli się w ruchliwą masę czarnych przecinków, przed oczami migał czer-

wono biały kolor karuzeli, zieleni ogrodów i pól, leżących w dole, coraz prędzej i mocny, gorący uścisk rąk, zwarcie ust, czynią z tej karuzeli najpiękniejszą zabawę świata, zaczarowaną jazdę w szalonym, wirującym pędzie, nie wkrąg już, ale wdał, która tamuje oddech i uskrzydla myśl. Pojęli czar karuzeli.

Kiedy zeszli wreszcie, zataczając się lekko, zmęczonym wiroowaniem, Zygmunt powiedział zlekka drżącym głosem:

— Wiesz, czego chciałbym? Odbyć małą wycieczkę, niedaleko. Nad morze choćby. Albo do Wejherowa. Byłem tam za szkolnych czasów kiedyś z wycieczką. Gdybyśmy mogli teraz jechać na dwa, trzy dni. Chciałabyś? —

Jej oczy spoglądały przez chwilę gdzieś w bok:

— Jakże ja będę mogła? —

— Jeżeli zechcesz. Cóż? —

Janka uśmiecha się znowu z „cóż”. — Doprawdy nie wiem, pomyślę.

— Chciałabym, żebyś powiedziała napewno — mówi Zygmunt cicho, dobitnie.

Janka czuje gorącą falę krwi na twarzy.

— Tak — mówi poprostu, ale oczy patrzą ciągle gdzieś w bok. Wtedy jej ręka zostaje w milczeniu ściśnięta aż do bólu.

Ławki w cyrku ustawione są amfiteatralnie. Lepsze miejsca wyżej. Arena jest na ziemi posypanej piaskiem. Ławki otaczają ją kołem, które zamyka drewniana buda, wejście.

Najmłodsze pokolenie Staszewa znalazło inny, bezpłatny sposób przyglądania się widowisku. Pobl-

skie drzewa, kasztany i lipy na ulicy stały okryte ciężkim owocem młodych chłopaków. Widać było wspaniale, tylko słyszać nic.

Kiedy duże, chude niedźwiadki podrygiwały ciężko przy dźwiękach tamburina młodej cyganki, kiedy konie pędziły w szalonym galopie z jeźdźcami przeskakującymi w biegu, najgłośniejsze brawa dobiegały zdaleka, z wyżyny kasztanów i lip. Kiedy Janka nalegała przed chwilą na cyrk, Zygmunt ustąpił z trudem.

— Chcesz koniecznie to posiedzimy, przynajmniej na przyszłość odechce ci się chodzić do cyrku— i śmiał się swoim szerokim, łagodnym śmiechem.

W przyszłości? Krótka, cudowna chwila, w której kształtuje się ją samemu. Nie odważy się być inna.

Konie tupotały po piaszczystej arenie w wesołym galopie. Dzikie okrzyki jeźdźców przeszywały powietrze. Zrobieni dżigici w cowboyskich ubiorach przrzucali się zdyszani z jednego boku końskiego na drugi, kryli się błyskawicznie pod koniem, którego brązowa skóra ciemniała od potu.

Jance podobali się.

Ładna cyganka z kolorowemi paciorkami i dzwończącym tamburinem przemknęła obok. Potem znów zjawiły się konie i niedźwiedzie, ciężkie, dyszące w podskokach i dygach. Oklaski huczały w uszach szumiącą falą.

W przerwie zjawiły się błazny ohydnie malowane, bielone policzki z ceglastą plamą i czarne jamy oczu, zwój jaskrawych łachmanów, fikały kozły, uderzały

się, pokpiwały z siebie łamaną mieszaniną wyrazów, chichocząc głośno i chwilami, przypadkiem tylko, ukazując ruchy znużonych, czterdziestokilkolrotnych mężczyzn. Oklaski i okrzyki zachwytu wstrząsały cyrkiem.

— Dosyć, co? — spytał Zygmunt.

Skinęła przecząco głową. Teraz mizerny, niedbale na żółto umalowany młodzieniec o semickim wyglądzie, gardłowo przedrzeźniał żyda i wygłaszał serje odpowiednich dowcipów. Niektóre znano już.

Stare — krzyczeli bywalcy, ale oklaski sypały się dalej.

Wtedy tęgi „derekktor“ w wysokich butach ze szpicrutą oznajmił uroczyście naśrodku areny, że na żądanie „szanownej publiki“, za chwilę ukażą się znów wesółki.

Zygmunt poczuł rękę Janki na rękawie. — Chodźmy — szepnęła.

Miękkie odgłosy klapsów towarzyszyły im aż do drzwi.

— Fajny cyrk, co? — spytał, pochylając się ku niej.

Uśmiechnęła się ze skrucą. — Musiałam zobaczyć.

Odetchnęła głęboko wonią zieleni i znów poczuła swe szczęście, ale nie mogło być już tak piękne jak wzlot na karuzeli.

— A nasza wycieczka? — spytał.

— Pomówimy pojutrze, kiedy się zobaczymy — odparła.

Rozstali się tam, gdzie zaczynała się ożywiona

ulica. Pojutrze było tak blisko. Janka odbyła swą drogę z płonącą twarzą. Czowała niechęć do własnego domu. Przed wejściem do willi była nowa, wąska brzozowa ławka. Usiadła na niej. W parnej ciszy wieczoru słuchała stuknięcia talerzy i nakryć w kuchni, na parterze. Nie mogła zdecydować się wstać i wejść do pokoju.

Ale to była nietylko ciężka, słodka omdlałość dziewcząt po uściskach. Coś jeszcze przykuwało ją do miejsca.

— Boję się? — myślała i wchodząc na kamienne stopnie, zapewniała się po raz setny: nie.

Zygmunt odbył swą powrotną drogę w jeszcze większym zamyśleniu. Potknął się w którejś chwili o pustą, zardzewiałą blaszankę i zaklął.

Trzeba było zacząć nanowo. Zaczął więc i obliczał w męce niepokoju, ile co do grosza musi kosztować trzydniowa wycieczka, jeżeli doliczyć koszt podzelowania butów i to, co trzeba będzie zostawić w domu.

Potem przyszła mu nagle myśl, że Franciszek Krall może nie wypłacić w sobotę. To się zdarzało nieraz i poczuł przerażenie, które opłynęło go gorącą falą.

Pani Brandt zaczynała się nudzić już na sam widok stacji kolejowej w Staszewie. Niski, czerwony budynek z pelargonją i margerytkami w skrzynkach u okien, uprzytamniał jej natychmiast monotonię



ulic i ludzi, którzy czekali na wrażenia, siedząc o zmroku na ławce przed domem.

Podstępna, nurtująca myśl, która tak chętnie kusi czterdziestoletnie kobiety, podszeptowała wtedy: zmarnowane życie. Jak urządziłaby je w innych warunkach, nie wiedziała.

Roiły jej się jakieś rozmowy, które prowadziło się tylko w wielkich, dalekich miastach, jakieś wyżyny intelektualne, których Staszewo nie mogło dać. Wiedziało się przecież, że tyle było do zrobienia na świecie.

Pani Ania miała myśli tak szlachetne, jak tylko jej oddalenie od świata mogło na to pozwolić. Przebaczała przestępcom, bo nie dotknęli nigdy tego, co jej było miłe, żałowała nędzarzy porywczo, z gwałtowną czułością, bo życie ich wydawało jej się po prostu nie do pomyślenia, nie lubiła słów ostrych, gorzkich, potępiających, bo nigdy nie zostały jej wyrwane. Dlatego była przeświadczona o swej dobroci. Pięknie było tak patrzeć na świat przez okno wybaczającej wszystko tkliwości.

Pani Ania rzadko załatwiała sprawunki. Nie lubiła chodzić po Staszewie, bo nie zajmowały jej ulice, bo spotykały ją czasem obleczone w godność swych dostojęństw damy, które rozmawiały z nią o swych chorobach i pytały o gospodarstwo. Pomorskie panie były świetnymi gospodyniami, a ona o tych sprawach wiedziała tak mało, że słuchała o nich z pogardliwą niechęcią.

Tylko jedną drogę lubiła, wzdłuż jeziora do mleczarni.

Tam chodziła w pierwszych miesiącach po ślubie, wtedy, kiedy miała urodzić się Janka. Rzucił jej tam kiedyś z konia spojrzenie pełne podziwu młody ziemianin. Przyjęła je jak cudowny dar. Była nieskończenie wdzięczna za nie, bo otrzymała je w chwili, kiedy obszerny płaszcz musiał ukrywać zmienioną postać, a chód był sztywny i powolny. Nauczyła się odtąd chodzić sama do mleczarni i myśleć o rzeczach, które nie stały się nigdy, ale może mogły się stać...

Po obu stronach lśniły brunatne, szkliste tafle obu jezior. Na drodze nie było nikogo. Kiedy mijała ostatnie zabudowania, z któregoś domku wyszedł młody człowiek i ruszył przed nią.

Robotnik, lub ktoś w tym rodzaju. Jego szerokie barki opięte ciemną koszulą były jedynym punktem, na którym mogła oprzeć oko. Upał dokuczał.

W pewnej chwili młody człowiek przystanął. Zrównali się i zobaczył ją. Szła teraz przed nim. Nie ulegało wątpliwości, że patrzył na nią. Odróżnia się uważne spojrzenie od prześlizgującego się machinalnie. Głupie, dziecinne zadowolenie.

Ach, przecież nie jest się jeszcze całkiem starą. Ten człowiek może mieć trzydziestkę. Robotnik. Wiara w to, że kobieta z towarzystwa stanowi dla niego niedostępny urok sprawia, że kroki pani Ani stają się elastyczniejsze i mniej znużone.

Twardemu chrzęstowi piasku pod jej stopami towarzyszy ciągle odgłos jego kroków. Pani Ania szuka chusteczki, maleńkiej, wonnej koronkowej szmatki dla otarcia twarzy. W kieszonce, czy w torbie? I nagle malutka, zamiszowa torebka z szyldkretowem

zamknięciem stacza się po piaszczystym, wysokim brzegu i zatrzymuje ją dopiero zielona gęstwa sitowia na samym brzegu jeziora. Pani Ania stanęła bezradna.

Wtedy młody człowiek powoli w milczeniu zaczął złązić w dół. Był niewysoki, opalony. Miał białe, szerokie zęby i gęste brwi.

— Proszę — powiedział tylko, kiedy miękka zamszowa kula dotknęła dłoni pani Ani.

— Dziękuję — wyszeptała pani Ania — tak mi przykro...

Uklon, bardzo lekki, niezręczny i milczenie. A może to wcale nie robotnik? Lekkie stopy pani Ani przyciskają suchy piach. Za nią skrzypią ciężkie kroki. Pani Ania ma wypieki. Upał.

— Właściwie, gdyby był wykształcony, wyrobiony towarzyszko mógłby przemówić. A może do niej należało powiedzieć coś dla zagajenia rozmowy? Tylko teraz już zapóźno...

— Jej matka — myśli człowiek idący za nią — teściowa... — I widzi w myśli własną matkę spracowaną i ociążałą. Na twarzy ma krople potu. Upał.

Za Olejarnią, na kamienistej uliczce stromo spadającej ku jezioru stał domek, w którym mieszkali starzy Jeziorowscy.

W sionce na prawo mieszkali Wilczakowie ze swoją kupą dzieci, dalej Polowiński, robotnik z tartaku i Kubasiewicz w jednej izbie z kuchenką na dziesięć kroków wszerek i wzdłuż, a na lewo w dużej

na pół przedzielonej izbie, sami dla siebie jak panowie Jeziorowscy.

Było gorąco i wszystkie drzwi mieszkanek stały otworem. Tylko u Jeziorów były zamknięte.

W izbie leciało rumiankiem i zieleń, aż starego Jeziora mgliło. Na drewnianej tacy suszył się żółty, zeschnięty, nieznośnie pachnący rumianek. Stara zaparzyła w garczek rumianku, żeby mu z oczu odciągnęła. Ale wszystko już było na nic.

Staremu Jeziorowi umierało się. Niewiadomo już było kiedy spał, a kiedy nie. Wszystko robił jakby między spaniem, a życiem. W izbie była Truda, stara i Podlasiaczka. Jak to baby, zawsze w kupie najmilej im. Chłop przynajmniej co powi.

Ot, wczoraj Podlasiak, że Konrada, kunia w młynie sprzedali. Za spaśny i do roboty na nic. Że to on sam, kuczer za dużo zryć mu dawał.

No i nima Konrada, a był siedym lat. Tak się do kunia wzwyczaić można.

— Śpi? — spytała Podlasiaczka.

— A tak, wciąż drzymie — rzekła Truda.

— Drzymie, a drzymie — zawiodła stara. — Mało co go boli, ino na oczy mówił dziś.

— Już mi blisko odpoczywania — rzekła Podlasiaczka — nabiduje się człowiek. I śmierć ciężka i życie ciężkie.

— Pewnie — myślał Jezior słuchając bab — życie jak życie. Co tam letkiego się ma?

Słyszał dobrze każde słowo. Możeby i sam co wtrącił, ale koście boleli, oczy boleli, najlepiej było, kiedy leżał cicho, ciężko jak kamień. Przez zmrużone

powieki widział obraz święty na ścianie i komoedę nakrytą laufrem.

A Podlasiaczka mówiła głośno:

— Ten chłopak Talkowskich, co tera choruje to nie wyżyje. Zara jak się urodził taki był lichy. —

— Matka go nie dopilnuje wela — rzekła stara.

— O, ona zawsze niewarta była.

Ale Podlasiaczka ciągnęła dalej: — Pierwszemu górne zęby wyszły, a górne do ziemi, wiadomo. —

Na chwilę zamilkły, potem nie widząc, poznał Jezior, że Podlasiaczka na niego patrzy: — Jeszcze drzymie?

— A drzymie — westchnęła stara.

— Tromny to dobrze Cander robi, tanie i porzonne. Jak Bielicki umarł też on tromnę robił. Ale to droga była. Sto pięćdziesiąt.

— Jezu — westchnęła stara.

Jeziora coś w piersi kłuło. Chciał rzec, że nie trza mu takiej drogiej, że Bielickiego dębowa była. Potem od tego rumianku mgło mu się zrobiło, jakby to nie rumianku, a grobu zapach go doleciał. Nogi stały się ciężkie jak kamienie i później... Nie było już świętego obrazu na ścianie, ani kumody, ani sufitu.

Czarno, choć jeszcze nie była noc. Dźwignął się z całej mocy, podniósł na łóżku, na którym przed chwilą jak kamień leżał, huknął po omacku o coś ręką, krzyknął, boleść i strach zaplątały się w gardle.

Słowa charczały niewyraźnie, tylko w krzyku powtarzał wciąż, że jest ciemno, żeby zaświecili, choć dobrze wiedział, że jeszcze nie była noc.

Stara rozeznała pierwsza. — Już na oczy nie widzi — jęknęła głośno.

— Gromnice — krzyknęła Podlasiaczka.

Zaczęły biegać, odsuwać szuflady, trzeć zapalki i coś przestawiać z łoskotem. A stary Jezior wciąż krzyczał, wołał, spychał z siebie zmorę czarności i śmierci. Gdzieś za tem wszystkim wiedział, że życie się kończy, chciał coś powiedzieć, czego nie zdążył, a że to nie było nic jasnego, dusił się, charczał słowami, aż biała piana zaczęła mu ściekać kącikami ust i umęczył się tym krzykiem śmiertelnie, po raz ostatni w życiu.

Wycieczka była już blisko. Janka myślała o niej w każdej chwili dnia, z wyjątkiem tych nielicznych, kiedy przychodził na myśl dom i wymówka, jaką należało znaleźć. Ale choć to wcale nie było łatwe, nie umiała się zmusić do myślenia o tem. Zostawiała na ostatnią chwilę w przeświadczeniu, że coś się znajdzie.

Dziś mógł powiedzieć, dziś powie napewno — myślała, idąc nad jezioro.

Wtedy przed drewnianem ogrodzeniem koło budynków Zjednoczonych Młynów spotkała ojca.

Był zamyślony i w zakłopotaniu zapinał rękawiczki. Nosił ciemne ubranie i melonik.

— Wybierasz się gdzieś tatusiu?

Westchnął. — Muszę pójść na pogrzeb. Nasz stary kuczer umarł, wiesz Jeziorowski, pracował tyle lat...

Janka zbladła. — Pójdę z tobą. —

— Ależ poco? — zawołał ojciec gniewnie. — Dowidzenia. Zostań.

— Nie, ja też muszę pójść. —

— Janko. —

— Znam jego syna i powinnam pójść. —

Dyrektor Brandt nie odpowiedział. Milcząc szli obok siebie w prażącym słońcu. Kiedy uszli kilka kroków, na kościele uderzyły jęgliwe dzwony.

— Już wyszli z kościoła — szepnęła niespokojnie.

W milczeniu przyśpieszyli kroku, skręcili w boczną uliczkę i krótszą drogą poszli wdół ku cmentarzowi, żeby spotkać kondukt.

Orszak szedł już po piaszczystej cmentarnej drodze. Stopy grzęzły w suchym, gorącym piasku, karawan trząsał się, z brązowej drewnianej trumny zsuwały się wieńce z szerokimi papierowymi wstęgami.

Za rodziną szła delegacja robotników z Młyna. Jackowski w wielkim sztywnym kołnierzyku z podgiętymi do góry brzegami i w białych rękawiczkach, Stępień i Walczak w odświętnych ubraniach.

Pogrzeb był cichy. Nie płakano, a w ostatnich szeregach poszeptywali ludzie.

Dopiero na samym cmentarzu spostrzeżono Brandta z córką... Wtedy zupełnie przestano oglądać się na pogrzeb. Niezwykła to była rzecz i szeptano zawzięcie. Zrobiło się też zamieszanie przy przemawianiu.

Kiedy ksiądz powiedział już krótko i głośno o sprawiedliwym i pracowitym żywocie Jeziora, o znacności nieboszczyka i nagrodzie niebieskiej, maszynista Stępień zechciał przemawiać.

Zaszumiało między ludźmi. Wiadomo, że jak Stępień powie to o ciężkiej pracy i małej nagrodzie, a tu sam szef przyszedł i obrazić się gotów. Stoi zdaleka, choć mu miejsce robią, czarny i sztywny, a córka znów wierci się i rozgląda.

Stępień wydziera się naprzód, aż Jackowski się rozłościł:

— Zawsze jako prezes jezdem, do mnie się przemówienie należy.

— To mówcie pierw, a ja potem. — Stępień na to. —

— Ni. Ile ta przemówieniów chceta na tę garść ludzi? — szeptał Walczak.

Byli tacy, co Stępienia chyłkiem wypychali, ale kobiety nie dały się kłócić. Brysia Nastowa sama Jackowskiego ku otwartemu grobowi pchnęła.

Ugrzęznąwszy po kostki w żółtym, palącym piasku, Jackowski wykrzykiwał głośno poszczególne słowa. Powiedział jak zawsze na pogrzebie o skromności i cnocie zmarłego, a od Stępienia tyłem się odwrócił prawie, żeby jego głupiego wydziwiania nie widzieć. Przecie to, że się maszynista na przyjaciela kuczera podawał, to nic innego tylko zazdrość była. Dosyć mu ludzi tego prezesostwa zazdraszczalo. A tamten już tak od lat, od pierwszej chwili i choć go w dyrekcji niebardzo lubieli, siedział jakoś ciągle.

Raz jeszcze Jackowski głośno zawołał: Cześć pa-mięci. Potem zlął z żółtego kopczyka. Mowy były skończone.

Zasypano grób, ułożono wieńce. Ale nikt jeszcze



nie odchodził. Ruszono z kondolencjami do rodziny, która stała gromadką przy świeżym grobie.

Dyrektor Brandt prosty i sztywny, z melonikiem w rękę podszedł do starej Jeziorówki. Stała w czarnej, szerokiej spódnicy i dziwnym żakiecie, w przedpotopowym kapeluszu na czubku głowy, z napuchłą, czerwoną twarzą.

Brandt powiedział kilka niezrozumiałych słów, wśród których zaszemrało jakieś „współczucie“ i kiedy Janka szybko podała rękę jej i drugiej tęgiej, czarnowłosej kobiecie, Jeziorowska, dotknąwszy miękkiej, młodej dłoni, zgięła się w ukłonie i z niemiłym, łaszącym wyrazem na opuchłej twarzy wyrzekła półgłosem:

— Dziękuję uprzejmie, dziękuję za grzeczność...—

Po drugiej stronie świeżo usypanego grobu stał Zygmunt z Bronkiem. W jaskrawym świetle dnia jego twarz widywana zawsze w łagodnym zmierzchu wydała się Jance twarda, zamknięta i obca. Ukłonił się zdaleka nieuważnie i jego spojrzenie wymknęło się niechętnie jej tkliwym oczom.

Nosił brzydkie, odświeżone ubranie, jego oczy tkwiły w sinych obwódkach bezsenności. Trzy razy Janka chciała podejść do niego i zawsze powstrzymywał ją jego wymykający się, obojętny wzrok. Dlatego przyszło jej na myśl, że mógł jej nie chcieć w tej chwili. Bo niewiadomo nigdy, jakim być dla cierpiącego człowieka.

Stał za niedostępną ścianą swego bólu i jej mała, ludzka bezsilność napróżno krążyła koło tego muru. Odeszła wreszcie wraz z ojcem, który złożył już kon-

dolencje. Wtedy pomyślała o jego matce. Stara Jeziorowska z nabrzękłą twarzą i fałszywie pokornym uśmiechem wydała jej się okropna.

— Teściowa — pomyślała i przeraziła się.

Ojciec przez całą drogę milczał boleśnie dotknięty. Poszła, choć prosił ją, żeby tego nie robiła. I jej wzruszenie? Co znaczyła, jaka była jego własna córka? Janka posępnie szła przy nim. Widziała jeszcze świeży, żółty piasek otwartego grobu, pokorną, nabrzękłą twarz, słyszała uroczyste, puste dźwięki przemówień i dziwny smutek tego spokojnego pogrzebu padał na jej serce jak ów piasek sypki, gorący, suchy i zostawiał na niem ciężar trwoźnej troski.

Najbardziej głucha z wszystkich cisz jest ta, która nastaje po pogrzebie. Pustka, brak, kiedy ostatni przyjaciel zamyka drzwi za sobą. Przez cały dzień boleść przesłania mnóstwo drobnych, koniecznych czynności, zagłuszają ją głosy ludzkie. Potem niema nikogo.

W żalu po śmierci starego Jeziora u każdego było więcej bólu nad ludzką dolą życia i śmierci, niż rozpaczy, że to jego właśnie zabrakło. Truda na cały wieczór została przy matce. Siedziały przy stole, piły zbożową kawę w żółtawych fajansowych kubkach i rozmawiały bez przerwy.

Zygmunt nie mógł wyjść, a zostawać było niezdolnie. Jeżeli chciał być w świetle lampy z szklanym kloszem, musiał siedzieć tuż przy nich, przy stole. Zasłonił się arkuszem Staszewskiego Głosu, oczy przebiegały obojętnie po komunikatach.

— Znowuj czyta — obruszyła się w którejś chwili Truda — ledwie ojciec pochowany, wstydziłbyś się. —

Czekała może na odpowiedź, a kiedy jej nie było rzekła pojednawczo: — Ale pogrzeb się udał.

Matka zawtórowała westchnieniem.

Zygmunt w tej szarej, ołowianej godzinie napróżno usiłował wyciąć myśli przy ojcu. Tyle już razy w czasie jego choroby opłakiwał ten nędzny, bezradny żywot i jego własne słowa: A tak się pcho, dalij, śmierci bliżyj...

I tak między jego narodzeniem i śmiercią były rzeczywiście tylko podobne do siebie dni. Nikt nie zajmował się nim, ale i jego może nikt za nadto nie obchodził. I nawet on sam dziś w śmierci ojca żałował nietylko jego.

Bo tuż za ścianą i w sąsiednim domku i naprzeciwko i na całej uliczce ku jeziorom i w długich barakach Luksusu żyło się i umierało, jak żył i umarł stary Jezior.

Poprzez rozpaczliwe myśli, z poza żółtawej twarzy ojca z fałdami skóry układającymi się miękko na bezzębnych szczękach, wykradało się jaśniejsze wspomnienie. Że przyszła dziś, że była i chciała, żeby czuł jej życzliwą, współczującą obecność. A on nawet nie mógł spojrzeć. Nietylko dlatego, że nie była to chwila dla kochającego spojrzenia.

Przyszła tam wysmukła i zręczna, żadnym smutkiem życia nie dotknięta i całkiem widocznie zwalczała trudność kondolencyjnego przemówienia do jego starej matki, prostytutki. Nie trzeba jej było winić

za to, bo przyszła i chciała dobrze, jak umiała najlepiej. Ale nie umiała.

A czy potrafiłaby żyć w takim pokoju jak ten? Chodzić koło komody z gipsowymi figurynkami, koło szafy, której drzwi nie domykały się nigdy. Jak spojrzy na ohydne, jarmarczne wazony, jak będzie mówiła z siostrą, z matką? Jak będzie umiała żyć w tem mieszkaniu, które on mógłby stworzyć?

Ławka nad jeziorem, piaszczysta droga wzdłuż zielonego brzegu, dalekie pola to miejsca, gdzie każdy potrafi żyć, mówić, kochać.

Truda wstała: — No to już ja pójdę, mama. —

Oczy miała senne i zaczerwienione. Matka nie wstając podniosła tylko głowę.

— A te ubranie niedzielne, co po ojcu, to możeby Stacho wzion, co?

— Ja tam nie wiem... Może się i zda... — odparła Truda żałośnie, wychodząc.

Zygmunt jak co noc zasunął małą żelazną zasuwkę u drzwi. Była tam zupełnie niepotrzebnie. Nie miała czego strzec. Potem powrócił do stołu i zabrał lampę za przepierzenie do siebie.

Matka kładła się spać. Ciężko spadały z niej spódnice. Zatrzaski i haftki trzaskały cicho. Stękała boleśnie. Potem żelazne łóżko wzdrygnęło się pod ciężarem wielkiego, zbolałego ciała.

Zygmunt w świetle lekko filującej lamp bezmyślnie szukał oczyma w sprawozdaniu Głosu Staszewskiego słów: radny Brandt...

Później w ciszy i ciemności znużonemi oczyma czepiał się lichych sprzętów kuchennych i zawisał na

czarnych, lśniących szybach. One jedne były weselszym punktem nędznej kuchenki. Za nimi był świat..

Żelazne łóżko i usypiająca matka żaliły się jęklivem trzeszczeniem.

— Nie mogą w żałobie czerwoną suknię naszać— postanowiła Truda Kalińska.

Na pogrzebie pożyczoną miała od Brysi Nastowej, a teraz została bez. Więc się zaraz popołudniu zebrała, żeby iść do krawcowej Sopocińskiej, co w domku nad jeziorem miała pomieszkanie. Zabrała też ze sobą Łuckę, żeby dziewczyna nie latała.

Sopocińska zastała w domu, przy maszynie. Siedziała wysoka, siwa z żółtą twarzą i czarnymi oczami. Nie była tęga, ale nosiła ze cztery halki i miała wielki brzuch, dlatego wydawała się gruba i wielka jak piec. Jedyna jej córka, co z dziesięciu została, miała osiemnaście lat i głowę pełną kędzierzawych loczków. Otwierając usta, ukazywała całe dziąsła i małe mysie zęby.

Ciemno już było, a Sopocińska ciągle jeszcze szyła. Dopiero z przyjściem Trudy zaczęła pośpiesznie wydobywać lampę, gniewając się na córkę.

— Anielka, nie mogłaś to wcześniej lampę szykować? —

Ale Truda przyjemna i rozmowna jak zawsze, usiadła, mówiąc, że poczeka sobie. Łucka za jej krzesłem rozglądała się po czystej jak złoto kuchni i sylabizowała głośno haftowane napisy: „Aniołom bożym

każę cię pilnować“ i „Dobra gospodyni z niczego coś uczyni“.

— Chciałam żałobną sukienkę — rzekła Kallińska.

— Prawda — przypomniała z żalością Sobocińska — po ojcu żałoba. Prędko wam zmarł. — Trzy miesiące chorował — westchnęła Truda wspominając te męki.

— Oj pani, nasz ojciec pół roku leżał, aż mu się rany z leżenia porobiły. Razu do sąsiadów poszedł i upadł. Kość w kolanie odbił czy co, i tak już nie wstał.

— Oj w kolanie, to niedobrze — rzekła Truda — Mój Broniek z osiem lat miał jak raz na lód poszedł i upadł. Też kość odbił. Pani, co ja robiłam. Wszystko nic. Doktor ino krajać chciał.

— Kasza z łojem dobra jest — powiedziała krawcowa i zaraz córce szepnęła: — Anielka, żurnal z kółka przynieś.

— Kładłam kaszę i ókrasę i wodę glinkową. Wszystko nic, tylko zbierało. Aż się wej sama uwzięłam. Nacięłam i już. Pani, co krwi, co paskudztwa. A jakby krajali, toby nogę sztywnom otrzymał jak drzewo. A dziś jaki prosty. — Twarz jej pojaśniała.

— Pogrzeb nieboszczyka też bardzo śliczny był — otwierając żurnal, powiedziała Sopocińska.

Z westchnieniem nachyliła się Truda nad damami w czarnych sukniach.

— Co to za cudaczna taka? — wskazała na jedną.

— Balowa, moja pani — zaśmiała się, pokaszując Sopocińska. — Z przodu pod szyję, z tyłu goła do

pasa. Takie są ludzie bez wstydu. A dla pani Kalińskiej prosta z fałdami do boku, coby nie poszerzała, myślę?

— Tak — rzekła żywo Truda i co do przystrojenia?

— Sopocińska uważnie oglądała materiał. — Oj, coby nie knapowało, bo pani Kalińska przecie w sobie je fest — zakaszłała znów.

— Jak ma być za sztram, to wolę dokupić. — Truda oglądała fasony. Może ten? Tylko co tu jest?

— Widnym kolorem przybrane, do żałoby nie pasuje — Sopocińska bojaźliwie obejrzała trudny fason sukni. — Ano zobaczymy. — I nagle do jakiejś myśli wracając rzekła:

— Całe miasto na pogrzebie było, co? Anielka mi powiadała. —

— Ociec taki był, że muchy nie ukrzywdził — otarła Truda oczy.

— I ze Związku ze sztandarem i delegacja — wyliczała Anielka.

— Prawda to, że i szefów córka była? — spytała Sopocińska, wstrzymując dech, bo jej zawsze w piersi trochę grało.

— Była. —

— Bo to ludzie mówią, pani Kalińska, jak to ludzie — zakaszłała znów.

— Ze co? — spytała Truda gwałtownie.

— Ze to niby ona z pani Kalińskiej bratem, Zygmontem chodzi...

Cicho zrobiło. — Jażem nie widziała — odparła wreszcie Truda i gęsto zaczęła mówić o tem, że po

tylu latach pracy już się przecie ojcu jakieś honory należały.

— Niech się pani Kalińska nie gniewa, ludzie jak ludzie. —

Ale Truda pogody nie odzyskawszy wyszła i Łuckę za sobą pociągnęła.

Strach ją jakiś zdjął niemądry, że ludzie nie bez racji gadają. Żal ją zdusił, że nawet Łucki nie zauważała, żal jakby Zygmonta, jakby siebie samej.

Dlatego o niezwykłej godzinie przyszła w niedzielę Truda do matki. Stara drzemała nad rozłożoną książeczką do nabożeństwa, z której wysuwały się kolorowe obrazki.

Zygmunt miał też zajęcie. W małym lusterku z odłupaną ramką z srebrzystej blachy dłubał coś przy krawacie.

Truda usiadłszy na najbliższem krześle z podełba jęła się przyglądać bratu, który już zabierał się do wyjścia.

— Idziesz gdzie? — spytała.

— Idę. Mama śpi. — Ja tu poczekam. A ty gdzie idziesz? —

Zdziwił się. — Wychodzę.

Wyczuł nagle niebezpieczeństwo tych przyklepanych babskich pytań.

Ale ona już straciła cierpliwość.

— Powiadają — rzekła nagle — że se z panną spacerujesz? —

Niezaznaczana nigdy odległość między nimi urosła nagle do przepaści.



— Za stary jestem, żeby na mnie uważać — mruknął tylko.

— Stary, a głupi. Dziś jeden powie, jutro całe miasto durch obgada... Sama myślałam, że to takie gadanie ino, ale widzę, że to nie tak. —

Ruszył ku drzwiom, ale tęga, wysoka postać siostry zagroziła mu drogę.

— Głupiś, nic z tego. Jeszcze jak się dowiedzą doczekasz się. Przecie to panna. —

Odsunął ją, a ona mu nagle bryznęła wściekłemi słowami:

— Też mi pan, posłuchać nie chce. —

W te rozkrzyczane słowa wpadł stuk kroków w sionce i jednocześnie lekkie drzwi zakołysały się. Ukazał się w nich niski, łysy szewc, klumpiarz z Polnej ulicy, Trepka i już od progu pytał zdyszany:

— Nima matki? —

— Bo co? — spytała niechętnie Truda.

— Chojnicki je w Staszewie.

— I pieniądze będzie oddawał? Ach ty jeny, myślałam, że przepadłe.

Truda aż się rozpromieniła. Ją to najwięcej dusiło kiedy uszparowane pięćdziesiąt złotych matki zabrał ten hultaj razem z pieniędzmi innych ludzi.

— Czy to aby on? — pytała idąc już, żeby obudzić matkę.

— On, poznali go choć przebrany i wcale nie jak Chojnicki wejrzy.

Przebudzona nagle stara zerwała się lecieć z nimi. Trepka niebieską chustką przetarł czoło.

— Na miasto chodźma, rozpytać się trzeba.

— Pójdiesz? — zapytała Truda ponuro.

— Niema poco, kiedy go nikt naprawdę nie widział.

— Pewnie, co dla ciebie pięćdziesiąt złotych...

Lekkie, pełne szpar drzwi zapadły się z trzaskiem. Zygmunt zapominał zawsze przytrzymać je, żeby nie było łoskotu.

Wyszedł zły, że nie zaprzeczył słowem, jakgdyby sam wierzył już niezbitcie.

Ale słowa jej sprzeciwu sprawiły, że to, w co sam wątpił boleśnie codzień, stało się bliższe niż kiedykolwiek, gdy cudzy, niedorzeczny upór zabronił nagle dostępu.

Brandtowie wybierali się autem do Jarzębnika. Rano, na śniadanie, z którym łączyły się interesy. Dyrektor Brandt zamierzał kupić u Mielnickiego pszenicę.

Pani Ania chętnie odbywała tę drogę. Lubiała stary dwór i uprzejmego, nieżonatego właściciela.

Lubiła po swojemu jego zachwyty, który nie miał nigdy sposobności być natarczywym i w jego obecności odczuwała dawną radość życia.

Janka jechała z rodzicami. Ale w Jarzębniku natrafiono na przykre wydarzenie.

Napróżno sam dziedzic z burzliwą radością przywitał ich na ganku zniszczonego dworu. Napróżno usiłowano stworzyć wesoły nastrój w pięknej sali jadalnej przy nakrytym stole.

Mielnicki rozmowę z dyrektorem przerywał niekiedy, mimowoli, nad słuchując w stronę sieni. To, co

mówił do pani Ani, cnoć rónie uprzejme jak zawsze, przychodziło mechanicznie i jakby z poza innych myśli.

Niepokój, bieranina słuujących, odwoływanie pana dziedzica wyjaśniły rychło, że coś się we dworze działo. Mielnicki sam z przykrością i hamowaniem uniesieniem powiedział, co zaszło.

Wynajęci na dniówki robotnicy letni zbuntowali się i przerwali pracę.

Ten prosty, niegroźny fakt sprawił jednak, że nad wszystkimi przeleciało zimne tchnienie.

Nā stole stały oplecione w łyko butelki, na paterze krwawiły soczyste truskawki.

Czarna, ładna dziewczyna, podała w białych kubkach maślanę.

Mielnicki unosił się coraz bardziej.

— Szantażują mnie łotry. Przecież była umowa. Brandt ostrożnie i cicho wypytywał o przebieg.

Ale kiedy panowie po śniadaniu poszli do spichrza, pani postanowiła skrócić możliwie najbardziej wizytę. Przeraziła się nagle tego dworu i porywczego dziedzica. Zaczęła się wreszcie obawiać o męża.

Poszli przez podwórze. Kto wie, może gdzieś są oni, „tamci“...

Przez wielkie szyby okien jasnej sali patrzyły obie z Janką w zieloną gęstwinę parku. Pani Ania w trwoźnej, przejmującej obawie, że ktoś może być nawet za strzyżonym żywoplotem.

Kiedy wreszcie wrócili panowie, pani Ania chciała już koniecznie jechać.

Nic nie mogło jej powstrzymać. Jeszcze raz odwo-

łano dziedzica, kiedy wydłużony, granatowy wóz zamigotał przed gankiem srebrzystymi niklowaniami.

Pan Mielnicki postanowił wyjechać ze swoimi gośćmi.

Auto ruszyło. Panowała w niem przygnębiająca cisza. Mielnicki siedział obok szofera, dyrektor Brandt pośrodku między żoną, a córką.

Obaj mężczyźni byli surowi, wyprostowani, pomni obowiązku bronienia swych kobiet.

A jednak dotychczas przecież wszystko było w porządku. Niebezpieczeństwo istniało jedynie w opowiadaniu Mielnickiego.

Kołysząc się wjechał samochód na puste podwórze. Przed stajnią stary fernal uklonił się nisko czapką. Mielnicki rzekł podrażniony:

— Tacy są dawniejsi ludzie. A dziś próżniacy, zbóje — słowa wybiegły z wściekłością z za zaciśniętych warg. Ale zwracając się do Brandta opanował się:

— Stokrotnie przepraszam panie. W podobnych wypadkach zawsze tracę spokój.

Pani Brandt spytała cicho:

— To straszne. Czegóż oni chcą?

— Dodatku. Byli wzięci do kopania kartofli. Kiedy ich wziąłem, wiedzieli ile dają. Żądali więcej, nie dałem. U mnie krótko. Tyle a tyle, nie chcecie to marsz. Roboczych rąk nie brak.

— Zgodzili się? — spytał Brandt. — Po ile godzin pracują?

— Po zachodzie schodzą. Już oni tam za długo nie będą. Po trzech dniach przerwali. Złe im w czwora-

kach spać; nie mają się czem przykryć. Dobrze. Dałem stare dery. A tu znów mało. Nie mogą za tę płacę. Djabli mnie brali. Przerwą kopanie, znów szukać będą? Dobrze, powiadam, zgodzimy się. Pracujcie. Bezułkę piwa wysłałem, byli cicho... — urwał nagle. Auto wjechało w długą aleję. Jechali pod sklepieniem złączonych koron i drzew. Białe plamy słońca padały poprzez liście na drogę.

Gdzieniedzie stali w gromadki skupieni ludzie. Na widok samochodu oglądano się. Niektórzy kryli się nawet za drzewa.

— Hołota — zaklął Mielnicki.

— Niezachęcająca postawa — rzekł Brandt — czy nie było możliwości kompromisu? —

Mielnicki aż się podniósł na siedzeniu — Cóż mnie kompromisy? — rzekł straszonym, sciszonym głosem — Chamom ręce całować? Zapłaciłem, co należało, jak się umówiłem. Chcieli mnie wyzyskiwać, nie dałem się. Moje prawo. — Żyły grubemi sznurami nabrzmiały mu na czole.

— Dziś dam, jutro mnie ze dworu wypchną... —

Szofer podniósł głowę — Na szosie też stoją — rzekł.

Mielnicki urwał. Auto wyjeżdżając z alejki, zatoczyło ostrożnie łuk.

Janka krzyknęła.

— Ci się stało? —

— Nic, nic — uspokoiła, ale już szofer zauważył.

— Mają broń. —

— Niemożliwe — szepnęła trupio blada pani Ania

Mielnicki w milczeniu sięgnął do bocznej kieszeni — Wiedziałem. —

Huk wstrząsnął nimi. W lśniącej, świeżo czyszczonej karoserji utkwiała kula.

— Jechać, jechać — zawołał Brandt — schylcie się wszyscy. —

Wtedy znów rozległ się huk, i już jeden za drugim szybko rozdzierały napiętą ciszę. Z lekkim stukiem wpijały się kule w dach, w boki, przebiły szyby, rozpryskując deszcz szkła.

Nieświadomie prawie trwali wszyscy w zgiętej pozycji. Tylko Mielnicki nie schylił się. Mierzył.

Ale dwie ręce przytrzymały go. — Nie! — krzyknęła Janka — Nie trafili! —

Przy wybitej szybie rozwiewała się smużka dymu. — Proszę puścić! — warknął.

— Schyl się Janko, Boże zmiłuj się. —

— Schyl się! —

Coś wstrząsnęło, rzuciło w górę cały wóz. Ostatnia kula z miękkim plaśnięciem przebiła oponę koła.

— Opona — krzyknął szofer.

— W tylnem kole. —

— Jechać, jechać. —

— Poślizgniem się, panie. —

— Jechać! —

Nie zwalniając biegu mknął granatowy wóz. Ale tylna część podskakiwała zdradliwie, wyslizgiwała się. Samochód drgał w niesamowitych podrygach.

Pani Brandt ocierała łzy chusteczką. Lud... Zawsze chciała mu pomagać, bronić go. Nie zdążyła ja-

koś, nie było sposobności, ale żyła z nieustannem pragnieniem spełnienia tego obowiązku.

Mielnicki patrzył przez tylne okienko na szosę. Byli już daleko.

— Tam strzelano z ostatniej grupy. Nie widzieliście kto? — zwrócił się do szofera.

— To dobrzyńskie, nie nasi. Nie wiem jak im tam. Nasi w Alejce stali. Ten ryży był z nimi. Innych żem nie zauważał.—

— Pożaluję oni. Ale pani też... — zwrócił się do Janki. — Z kobietami zawsze ambaras. Lepiejby było, żeby się pani kulka dostała, co?—

— Przecież nikomu nic się nie stało. — Odparła poblada.

Wóz zakolysał się. Stanęli. Szofer wyszedł, żeby założyć zapasową oponę. Mielnicki wyskoczył za nim.

— Nie zejdziecie państwo? —

— Ja zejdem — szepnęła pani Ania — muszę zaczerpnąć powietrza. — Chodź Jasiu.—

Zeszła ślaniając się ze stopnia.

— Nie mam, nie pójdę.—

— Zostanę z tobą — rzekł ojciec.

Nazewnątrz oglądano uszkodzenia. Przez otwarte drzwiczki i wybite szyby wpływały fale powietrza, zapach koniczyny i świeżej słomy z rżysk.

— Janko, dlaczego płaczesz? —

— Ja zaraz... uspokoję się.. —

— Rozjuszona dzicz — zaklął ojciec, obejmując ją troskliwie.

— Nie — krzyknęła gwałtownie. Mimo wysiłku nie mogła przestać płakać. — Inni też są okrutni. —

Dłonią ocierała łzy. Na dłoni było małe drasnięcie. Odłamek szkła ze zbitej szyby narysował czerwoną kreskę. Umilkła wreszcie. Nie, nie dlatego płakała przecież, że po raz pierwszy poczuła zimną bliskość śmierci. Było w niej poczucie winy cudzej i własnej i nie można było rozplątać w sercu pełnym miłości i żalu, czyja wina jest okrutniejsza i większa przed jakąś najwyższą, wszechludzką sprawiedliwością, która nie istniała, którą się tylko czuło.

Po słonecznej szosie mknął granatowy wóz pokryty pyłem. W rozbitych szybach załamywało się światło. W małej osadzie, Ryńsku zatrzymali się.

Tęgi wysoki mężczyzna w lśniących butach i sportowem ubraniu wysiadł przed posterunkiem. Szofer wyskoczył na szklanekę piwa. Wychylając kufel opowiedział coś. Pozostali pasażerowie siedzieli w samochodzie.

Kiedy szofer wrócił, sklepikarz i jego żona stanęli przed sklepem. Obok nich zebrało się trochę przygodnych gapiów. Patrzone w zdumionem zaleknienu. Na ścianie samochodu tkwiły dwie małe rany, trzecia była w dachu. Rozbite szyby sterczały ostremi odłamekami.

Tęgi pan w wysokich butach wrócił do auta.

Kiedy ruszyli w dalszą drogę, na szosie nie było już słońca. Zachmurzyło się. Gęsty, jednostajny deszcz zaczął popadywać.

Nim przyjechali, wieść dotarła do Staszewa. Jak zwykle niewiadomo przez kogo. Kiedy o dwunastej zahuczała syrena, prawie żaden z robotników Zjednoczonych Młynów nie poszedł na obiad.



Zaczęli się gromadkami zbierać w pobliżu brandtowskiej willi.

Urosła już wieść, że raniono kogoś w samochodzie. Wszyscy mówili o Mielnickim. Palacz Stępień wiedział, że Mielnicki jest pies. Kaczmarek pracował u niego i opowiadał sam: — Twardy jest jak kamień. Boją się go ludziska jak ognia — mówił przejęty.

Lewandowski, który już z dwadzieścia lat był w młynie mruknął:

— Ale gospodarz dobry. Jego pszenica zawsze najlepsza. Ino kuczery, co przyjeżdżają zawsze klną. Chytry na grosz psiapara. Tylko dziewczyny dobrze u niego mają.—

— Poniektóre i do czasu — rzekła Machniaczka.

— Na to nie żałuje. — Zawołał Stępień.

— Jeszczeby też...—

— To dobrzyńskie strzelały — rzekł po chwili Kaczmarek.

— Kongresowskie ludzie śmiało.—

— Co mu zaś zrobili? Kogojś tam ranić mieli, ale kogo niewiadomo. Ale zara pewnie przyjadą. Z Ryńska telefonowali — rzekła Machniaczka. Stała sobie w szarym sweterku, wysoka, szczupła, młoda wdowa, zawsze pełna humoru i czekała, choć jej głód dobrze dokuczał.

Punkt wpół do pierwszej nadjechali. Zdaleka już usłyszano znany sygnał.

W ostatniej chwili młody Jeziorowski wmieszał się między gapiów i z ciekawości rozepchnął sobie wszystkich.

— A to co? Każdy zobaczyć chce — rzuciła się gniewnie Machniaczka.

Nie odpowiedział, tylko głowę zadarł, żeby spojrzeć.

— Cie go, pan. Jenżyniera udaje — mruknęła kobieta. Potem rzuciła nań z boku spojrzenie i zauważyła, że był w jej guście. — Szerokie plecy i czarne oczy...

Samochód zwolnił biegu. Przed willą wysiadł z niego szybko dyrektor Brandt, za nim żona i córka. Obie jakby podobne do siebie. Tylko matka tęższa, jaśniejsza blondynka i córka szczupła, blada z zaczerwienionymi oczyma wyszła ostatnia, nie patrząc na nikogo. Nikt nie był ranny.

— Ale młoda popłakana — szepnął Kaczmarek.

— Zestraszyła się — odparła dobrodusznie Machniaczka.

Spotkali się tego dnia daleko, na uliczce, która wychodziła na szosę. Letni, obfity deszcz nie przestał padać. Wielkie źrenice kałuż jarzyły się na pustej, niebrukowanej ulicy i świeciły gęsto w rozmięklej ziemi. Przekwitające lipy pachniały świeżo i mocno. Lipiec się kończył. Ulica była szara od deszczu, opuszczona i smutna. Takiego dnia myślało się o tem, że coś się kończy. Może lato... Umówili się za placikiem targowym, gdzie stała nawpół poszarpana przez wiatr szopa. Dzieciaki z ulicy podpierały rudere wciąż nowo, żeby ją sobie zachować dla zabaw. Tam zobaczyła Janka zdaleka Zygmunta. Stał, wypatrując jej i był bleśszy niż zwykle.

— Jak on źle wygląda — pomyślała Janka i przyszło jej nagle na myśl, co też on jada?...

— Dawno czekasz? —

— Nie, niedawno. Było dziś dużo roboty. —

Rozmowa nie kleiła się. Wiatr targał nędzne poszycie szopy, deszcz padał gęsto.

— Przeżyliśmy dziś straszne chwile u Mielnickiego — powiedziała wreszcie. —

Wziął ją za rękę. — Tutaj dowiedziano się zaraz. Widziałem jak wracaliście.—

Janka podeszła do niego. — Więc byłeś? A ja tak chciałam zobaczyć cię zaraz. —

Powiódł palcami po jej oczach. Zrozumiała, widział.

— Mielnicki to psiadusza — powiedział twardo — Na niego wszystko jest wściekle.—

— Zygmunt.—

— Co?—

— Słuchaj — zaczęła gorączkowo — muszę cię o to zapytać. Nie mogę przestać myśleć o tem. Czy ty sądzisz, że ma się prawo zabić? Przecież ta kula, która minęła, mogła trafić. Powiedz, jak ty myślisz. Czy ma się prawo? — Oczy jej błagalnie wpiły się w jego twarz. Odpowiedział stanowczo.

— To jest przedewszystkiem niecelowe. —

Ręce Janki opadły bezsilnie wzdłuż płaszcza.

— A dopuszczalne? —

— Pomyśl — zaczął — ilu ten człowiek upokorzył, obdarł, zmusił do niewolniczej pracy. Kto ich broni? To samosąd, akt rozpacz. —

— Nie — zawołała gwałtownie — nie odpowia-

dasz na moje pytanie. — Czy ma się prawo? Uważasz, że tak, że je mają, nawet gdyby pozabijali nas wszystkich w tym samochodzie.—

— Gniew nie rozmyśla.—

— A gdyby mnie zabili?—

— To byłabyś ofiarą istniejących stosunków — powiedział płynnym frazesem, jakiego rzadko używał.

— Tylko to. I ty możesz kiedyś w takim gniewie strzelić do mojego ojca, bo usprawiedliwiasz to. Uważasz, że to jest słuszne...—

W oczach jej były łzy. Widział ją pierwszy raz płaczącą, dzielną, wesołą Jankę.

— Uspokój się — powiedział łagodnie — nie można rozprawiać płacząc. Nie myślę, że trzeba wymordować część ludzi. Zbyteczni sami się przeżyją. —

Przerwała mu gwałtownie. — Nie mów nic, wiem jak myślisz. Wolno kogoś zabić. Wszystko jedno czy w gniewie. O gniew łatwo. Miałeś słuszność. To nas różni.. Nigdy w to nie uwierzę. Śmierć nie może być karą. —

Spojrzała na niego. Milczał, oparty o wilgotną ścianę szopy. Ogarnęła go bolesnem, urażonem spojrzeniem i niespodzianie dla siebie samej pobiegła wdół ulicy ku miastu, zostawiając go samego.

Zdumiony, dotknięty wychylił się z za szopy i zobaczył już zdaleka postać w ciemnym palcie. Jej stopy w biegu rozpryskiwały kałużę. Przystanąła dopiero daleko, kiedy oddzielała ich od siebie długa ulica, szara i mokra od deszczu. Oparła się o płot i stała tak w zaciętem milczeniu z sobą samą. Z porzeczkowych krzaków za płotem spływały na ziemię krople deszczu.

Janka nadśłuchiwała. Ale żadne kroki nie zmąciły cichszy ulicy.

W numerze staszewskiego „Głosu“ tłustemi czcionkami wydrukowano: Radny Brandt zaproponował rozebrać szopę na Placu Targowym i rozdać drzewo bezrobotnym. Wniosek przyjęto jednogłośnie.

Pani Ania, która lubiła działalność publiczną męża, pokazała ten urywek córce.

### CZEŚĆ III.

---

#### *Notatki Janki.*

Własny ból jest nieważny. Nic na świecie nie zmienia się od niego. Codzienny ruch mija go obojętnie. Tysiące codziennych spraw czyni się samemu jak zawsze, z przyzwyczajenia. Kogo na świecie obchodzi czyjś błąd, czyjaś przegrana. Jedna strata nie może przekreślić życia. Przecież więcej niż jedna nić łączy z istnieniem. Wartość człowieka mierzy się tem, co go skuwa z życiem. Własny ból jest nieważny, ale on jeden ciągle jest i nie można go przestać odczuwać.

Słowa są okropne. Wszystkie już zużyte nieskończoną ilość razy przez nieskończenie wielu ludzi. Niech ktoś spróbuje znaleźć dla swojego bólu własne proste słowo, żeby nie było takie patetyczne jak to okropne zdanie: jestem nieszczęśliwa... Bo kiedy piszę to wszystko to dzieje się tak jakgdybym pisała nie sama. Temu co czuję, brak zwykłych akcesorjów rozpaczy. Chwilami może nie doznaję bólu, nie chcę o tem myśleć. To nie sprawi jeszcze, żebym została w tem próżnem, bezmyślnem życiu, w jakim mnie zamknęły warunki. Wiem, że się stąd wydostanę, ale jest mi tak, jakby mnie w biegu wyrzucono nagle i nie umiem się dźwignąć. Wieczorami, w nocy (to u wszystkich tak, dlaczego?) wtedy jestem najgłębiej nieszczęśli-

wa. W dzień jest lepiej. Wychodzę z domu, ziemia pachnie tak, jak latem rano umieją pachnieć zieleń i ziemia. Zawsze nanowo może mnie pojednać z życiem najśodsza woń łubinu. Albo kotłownia w młyńnie. Właśnie albo. Czarne olbrzymie kotły i biała, rozgrzana stal, tłoki, zegary, które obliczają ciśnienie, automaty zwilżające tłok oliwą, wszystko zrozumiane, obliczone, zbadane przez człowieka, najprawdziwszy rytm i ruch życia, szum transmisji.

To, że wszystkiego można dokonać, wszystko przewidzieć i obliczyć, to jest najpiękniejsze. Wtedy kiedy o tem myślę, nie jestem nieszczęśliwa. Matka mówi: jesteś zakochana w maszynach... — i mówi jak o śmiesznem nieprawdopodobieństwie oschłości uczuć. Tak, jestem w nich zakochana. Jeszcze tyle nauki jest przedemną, tyle pracy i możliwości, wszystko staje się mniej żałosne, dopóki nagle w pewnej chwili nie opada cię głupia, straszliwa tęsknota, jakieś najprostsze, fizjologiczne pragnienie szczęścia, które przecież nie może być...

Tatuś dotrzymał słowa. Jedziemy pojutrze do Krynicy.

---

Pensjonat stał wysoko na zboczu wzgórza, niedaleko źródła Kryniczanki. Był nowy. Jego ściany lśniły białością. Nie przetrwały jeszcze ani jednej zimy. Ciemna zieleń kasztanów naokoło czyniła je jeszcze bielszemi. Codzień po zwirowanej szosie toczył się podskakując nowy, granatowy autobus pensjonatu, przywożąc gości i zwożąc ich nadół.

Ogłoszenia mówiły zwykłym bujnym językiem

o komforcie i nowoczesności. Była to prawda. Pensjonat połyskiwał wewnątrz od bieli marmurowych miednic, srebra kranów i migotliwych powierzchni luster. Posadzki miały połysk ciemnego orzechu. Posiadały tę nienaganność, która różni pokoje pensjonatu od zwykłych, domowych.

Patrząc przez okno na wyższym piętrze widziało się tylko zieleń gałęzi, przez którą przebłyskiwały żółte pasy gracowanych ścieżek. Pensjonat nazywał się „Bajka” — Stare bajki urzeczywistniają się dziś, myślała Janka, kiedy granatowy autobus wiozł ją z rodzicami pod górę. Wielkie złote litery na nim obiecywały; „Bajka”. Ale pogoda była straszna. Z nieba, z drzew kapalo drobnym, rześystym deszczem, za szybami autobusu spływały pionowe strużki.

Górska szaruga, mgła, ołowiane niebo, rozmokła, gliniasta ziemia, wszystko przypominało Staszewo i podobne mgliste dni.

Wóz podskakiwał i zapadał się chlupiąco w grząskie błoto.

Janka widziała świat przez zalane deszczem szyby i własne zmacone oczy, wstrząsana kichaniem, znużona wycieraniem obolałego nosa. Katar. Był tak dokuczliwy, że potajemnie drażący serce ból wyraził się w rozpaczliwej myśli: Boli głowa, nos, Krynica jest okropna, pogoda rozpaczliwa, pensjonat źle położony, całe życie niewarte uśmiechu, ani łzy.

Tak zajechali przed „Bajkę”.

Ale nazajutrz świeciło słońce. Rozścielona długim pasmem w wąwozie Krynica błyszczała jasnemi wilkami wśród ciemnej zieleni górskich lasów. Jodły nie-



zachwianie proste i smukłe strzelały ku górze, białe drogi szły w skrętach wśród wąskich strumyków o kamienistym dnie. Życie było jednak piękne i Janka nieuchronnie poddawała się jego czarowi.

---

### *Notatki Janki*

Sama nie wiem, co my tu robimy przez cały dzień. Spacer, małe wycieczki, kawiarnia i table d'hôte, które zajmuje tyle czasu. Mówi się o wszystkim a najczęściej oczywiście o sprawach małżeńsko miłosnych. Do tego tematu mam zresztą wrodzoną niechęć. Jak się poznali i pobrali X-owie i jak się rozwiedli. Kto miał słuszność, kto zdradził i jaką figurę geometryczną tworzyło to małżeństwo. Istnieją też inne rodzaje rozmów, podkład etyczno społeczny. Czy należy potępić dziwaka, apostoła nowych idei? Czy silnemu człowiekowi zdrada ukochanej może złać życie, czy wśród „ludu“ wrodzona inteligencja nie jest jednak czemś rzadkiem? A rzeźnik, czy nie musi być z racji swego zawodu brutalny i zwierzęcy?

Tak mówi się tu o życiu. Podbija się rozmowę jak piłkę, ogląda jak okaz z serwantki życzliwie, dokładnie, z poczuciem wyższości, że potrafi się je ocenić.

Niektórzy używają słowa spleen. To chyba najwstrętniejsze słowo, jakie znam. Z wyżyny swej wielkości konstatuja, że to, co jest złe nie da się nigdy naprawić, że jest poprostu wstrętnie i wszystko jedno i oni mają spleen..

Jest we mnie jakiś materiał łatwopalny i wybuch na widok takich ludzi. Ale wiem, że będę z nimi

tak długo, dopóki siłą nie wyrwę się z pomiędzy nich wszystkich. Kiedy to będzie?

---

Na środku sali świecił ciemny parkiet taneczny o połysku lustra. Na małym podwyższeniu błyszczał czarny lakierowany kadłub fortepianu. Niżej lśniły żółtością mosiądzu i srebrzystym niklem trąby, trąbki, piszczałki, jaśniał wielki bęben i żółtawa jak kość słoniowa harmonja.

Jazz huczał, dzwonił, tętnił. W jego rytmie płynęły dwie splecione pary czarno srebrna i czarnozielona. Dwie połyskliwe suknie, rozszerzające się u dołu jak dzwony. Przy nich głęboka czerń smokingów.

Tańczono jeszcze mało. Pora kolacji. Jest sobotni wieczór i w Eldorado dancing. Na stolikach adamaszkowe serwety kłują oczy bielą. Półmiski i tace lśnią srebrzyście. Nawet chleb w małych, plecionych koszyczkach wygląda odświeżenie i niepospolicie. Jest wąski, podłużny, bielszy niż chleb ludzi, którzy nie mieszkają w Eldorado. Na talerzach krzepną w gestych, złotych sosach kurczęta i rozbefy w wieńcu jarzyn. Wysokie, smukłe butelki wyglądają z pośród bryłek lodowych w kubie.

Mówi się teraz niewiele. Trochę jazzu, przyglądanie się fordanserom i w skupieniu, dokładnie: kolacja.

Potem na talerzach w smugach sosu leżą zdruzgotane kostki, tłuszcz i zmiętoszone, nietknięte jarzyny. Na obrusie okruszyny, albo okropna tłusta plama.

— Ach, proszę zabrać te talerze...—

Czarne smokingi z białymi sztywnymi gorsami nachylają się szybko. Już niema talerzy. Na obrusie

stoją wysmukłe, cienkie kielichy. Wykwitają z nich blade żółte kwiaty szampana.

Dwa sztywne, ciemne ubrania przy stoliku, dyrektor Brandt, inżynier Komarnicki. Dwie czarne suknie wcięte głęboko, obnażone ramiona i wielkie tęczowo płonące brylanty na palcach, inżynierowa Komarnicka, dyrektorowa Brandt. Granatowa sukienka i biały żywy kwiat.

— Panno Janko, dlaczego pani taka zamyślona?

— Zmęczyliśmy się wycieczką.—

— Ach te wsie. Państwo zwiedzaliście? My też w zeszłym roku. Nie, nic ciekawego. Jaka bieda, prawda? — i do matki. — Niech pani spojrzy nieznacznie na lewo. Ta pani z tlenionemi włosami. —

— Zielona suknia. Widzę. —

— Ten łysy jegomość to mąż. Właściciel wielkiego majątku tu, w naszych stronach, w tarnowskiem. Druga żona. Niech pani sobie wyobrazi bardzo, bardzo niejasna przeszłość. A ten młody porucznik z nimi to syn z pierwszego małżeństwa. Flirt z mamusią. I to wszędzie bywa, wszędzie przychodzi. Czy można jej nie przyjąć? Co robić. —

Dwie paru oczu patrzą z bezsilnym żalem na niesłuszność urządzeń towarzyskich. Nie można rozstrzygnąć tej sprawy.

Dyrektorowa Brandt mówi cicho, marząco. — Śliczny srebrny lis. Jaki cudowny ton. — Inżynierowa jest nieco gadatliwa.

— Mój mąż chciał mi w tym roku kupić podobny, ale nie zgodziłam się. Doprawdy, on chciał szczerze. Ale te czasy. Proszę mi wierzyć, u nas w Zagłębiu

włożyć dziś coś kosztownego to poprostu budzi zawiść ludzką. Uważam, że jest obowiązkiem dać przykład umiarkowanego trybu życia.

— Tak, — przyznaje pani Ania — trzeba ponieść ofiarę nieraz.

Inżynier Komarnicki zapala cygaro. — Pan szanowny nie zna naszych stosunków. Fatalne, poprostu fatalne, Mam szczyry zamiar uciec z Zagłębia. Chętnie osiadłbym gdzie, moja cała rodzina to ziemianie.

Sam urodziłem się na Kujawach. A teraz starzeję się...—

— Tak — mówi dyrektor Brandt, ukryty za smugą szaro białego dymu — człowiek się starzeje. Świat zmienił się bardziej od czasów naszej młodości niż zmieniał się dawniej w ciągu wiele dłuższego okresu. Rok liczy się potrójnie. —

— Dyrektorze, niech pan spojrzy na lewo. Ten je-gomość z rumianą twarzą... —

— W binoklach —

— Tak. Gruby majątek szanowny panie, gruby. To z naszych stron. Udział w kopalni. Ale niezależnie od tego miał duży tartak. No i potem przyszedł krach drzewny. Zamknął całą budę. Pracował przedtem z deficytem. Na tem zamknięciu zaoszczędził sobie ładny grosz. Oczywiście, personel, robotnicy, przecież wszystko kosztuje. A jakie oburzenie, jakie krzyki. Niewolno już człowiekowi zamknąć przedsiębiorstwa, które mu nic nie przynosi. Ale on jeszcze ma pieniądze, hoho...—

Kielichy są napełnione do połowy. Jazz gra tango. Tańczy już więcej par.

Janka ma oczy ciemne, zmęczone, nieruchome. Matka przyjrzała jej się już ukradkiem. — Pewnie się znowu nudzi...—

Ale Janka nie nudzi się. Janka robi coś gorszego. Buntuje się. Mówi sobie słowa gorzkie i twarde. Każde z nich tkwi jak ostrze.

Dyrektor Brandt patrzy uśmiechając się na lśniący parkiet. Suną po nim powiewnie, lekko stopy. Same nogi. Duże błyszczące czarne lakiery i czarne jedwabne małe, srebrne i białe. Jak ptaki nad powierzchnią lustrzanej tafli. Ale w sercu dyrektor Brandt nie ma uśmiechu. Tylko żal do córki.

Ze też ona (i może wielu ludzi) chociaż może żyć swobodnie i za nic nie ponosi odpowiedzialności, siedzi tak cicho, że aż ponuro i liczy grzechy świata żalosnymi oczyma. Dziecko. Ale nim zrozumie naiwność tych myśli i zostawi innym egzaltowane kłopoty, minie najpiękniejszy okres jej życia, ulotni się czas spędzony na weltszmercu“...

Janka też mówi sobie, że ulatnia się czas, że nie chce już patrzeć dłużej zdaleka na przedziwną sztukę życia. — Nie umiem tak — mówi do siebie. Ale jak umie? Ktoś kłania się w jedną stronę rodzicom i jej. Prosi do tańca.

Można popłynąć na szklistej posadzce. Byłoby pięknie, ale trzeba odpowiadać na pytania.

— Córeczka jest niezwykle zgrabna. Ale w twarzy najmniejszego podobieństwa do pani, ani śladu. —

— Rzeczywiście — mówi pani Ania ze smutkiem.

Koniec tańca, Janka wraca.

— Mamusiu chciałabym wyjść na taras.

Pani Ania uśmiecha się. Janka jest zła na siebie o dziecinny ton tego pytania. Na tarasie jest ciemno i chłodno. Zieleń pachnie. Naokoło wszędzie płoną oświetlone okna. „Eldorado“ stoi wysoko. Zdaleka, nisko leżą chałupy wsi. Jest ciemno, ale Janka je widzi.

Na górze po krótkiej ciszy jazz wybucha jak grzmot. Huczy, świszczce po klawiszach, harmonji, trąbie, piszczałce i bębni aż „Eldorado“ drży w posadach i Janka czuje to drżenie.

Wszystkie panny zasiadające przy table d'hôte w „Bajce“ były ładne, wszystkie, starsze i młodsze.

Pani Ania twierdziła, że to zdobycz epoki, w której ludzie nauczyli się naprawiać krzywdy natury. Mała kredka sprawiała, że na twarzy wykwiwały purpurowe, wcięte usta, ciemniał idealny łuk brwi, cera nabierała soczystości i puchu brzoskwini. Sport i gimnastyka wyszczupły postacie, a plażowanie nad jeziorami, rzekami, morzem, w każdym miejscu, gdzie były woda i piasek, czyniły je złocistemi jak samo słońce.

To sprawiło, że Janka uznała urodę za jeden z przywilejów. Siedząc naprzeciwko matki, oddzielona od niej wazonem różowych goździków, sama usadowiona między pannami, które dostarczyły tematu do rozmowy, podtrzymywała swe stanowisko.

— Bo spróbuj mieć wysmukłą postać gdybyś często prała, albo malować brwi, jeżeli pocisz się przy kuchni, napewno tusz prędko spłynie po twarzy...

— Jest wiele pięknych dziewcząt między ludem — powiedziała pani Ania.

— Nie, — zawołała Janka — szczerze mówiąc nie jest ich dużo, a jeżeli są to przeważnie marnie kończą... —

Pani Ania nie miałyby nic przeciwko tej uwadze, ale w odpowiednim towarzystwie nie wśród tych młodych dziewcząt, córek radców i inżynierów. Można było przy nich milczeć o „marnym końcu“, choć ich uświadomienie nie ulegało kwestji. Dlatego spokojnie, choć nie bez złośliwości powiedziała do córki, odsuwając wazon różowych goździków:

— Janko, ze wszystkich ty jesteś najszczuplejsza, najlepiej wysportowana, masz najbardziej złotą cerę i co robisz, żeby to zmienić?—

Wtedy szczupłe, czarnobrewa, złociste panny w cienkich sportowych sukienkach roześmiały się jasno i utkwily w Jance starannie podczernione oczy. Ale Janka spuściła swoje w bolesnym milczeniu na biały obrus stołu na tarasie „Bajki“.

Powrót był jedyną skrytą nadzieją Janki. Można sto razy powiedzieć i napisać słowo „nigdy“, ale uwierzyć w nie, nie można naprawdę nigdy...

Z nich dwojga więc Zygmunt był bardziej surowy i niewyrozumiały, bo od chwili kiedy został pod letnim deszczem, w rozwalonej szopie, nie zobaczyła go więcej. Nie szukał jej. W ciągu dwóch tygodni pobytu w Staszewie, po powrocie nigdzie nie znajdowała go na swojej drodze. Żeby go zobaczyć, trzeba go było poprostu odszukać.

Zdobywszy się wreszcie na tę myśl, Janka uczepiła jej się gorączkowo. Było przecież już późno. Nadchodziła jesień i wyjazd.

Kiedy wrzesień zbliża się ku końcowi, ze staszewskich jezior wieczorami podnoszą się mgły, na Rynku stoją wielkie, lśniące kałuże, po ulicach żółte i brunatne liście chrzęszczą pod stopami, łukowe lampy przeblyskują mętnie z poza gęstej, szarej mgły. Melancholja śmierci włóczy się po ulicach. Ludzie siedzą w domach. Drogi zakochanych opustoszały.

W małym parku jest cmentarz liści i traw, nagie drzewa wzdłuż i wszerz odsłaniają go. Promenada jest chlupiącą kałużą. Miasteczko zmałało, skurczyło się w sobie. Niema poprostu gdzie szukać go. Pozostaje tylko fabryka.

W małej uliczce leżą liście i wieje chłodny wiatr.

Dwie dziewczyny w paltach bez kapeluszy też oczekują kogoś. Odprowadzana ich wzrokiem poszła Janka wolno po przeciwnej stronie naprzód.

Najpierw liczyła minuty do szóstej, ale kiedy zbliżyło się wpół do siódmej stanęła naprzeciwko bramy. Wyczekiwała już tak, jakgdyby wszystko w jednej chwili mogło być rozstrzygnięte przez samo ukazanie się jego.

Wyszedł wreszcie, ale nie sam i spostrzegł ją dopiero, kiedy jego towarzysz, zamilknąwszy nagle, zaczął jej się uważnie przyglądać.

Zmieszał się dość widocznie. — To do mnie — powiedział, ściskając zęby niechętnie — jakaś sprawa...

Nieomylny lęk przytłoczył jej serce. Podszedł chmurny, daleki, surowy i jej pierwsze słowa —



Czekałam na ciebie — znalazły w odpowiedzi tylko zimne — Poco?

Nie chciała się zrazić. — Może pójdziemy? — szepnęła.

Kiedy mijali ostatnie domki uliczki, a Zygmunt wciąż trwał w milczeniu, Janka zaczęła bronić swojej sprawy.

— Czy nie można zapomnieć komuś winy? —

— Między nami niema winy, są tylko drogi wspólne i rozbieżne. Tak ja to rozumiałem. —

— Nie próbowałaś mi wskazać swojej. —

Nie pytałaś przecież — powiedział nieubłagany prokurator jej rozpaczliwej sprawy. Przy ławce szepnęła. — Siądźmy. To było dla mnie straszne przeżycie. Dlaczego nie chcesz mnie rozumieć? Słuchaj... —

— Od tego nie zmieni się nic... —

— Byłam wtedy bardzo nieszczęśliwa. Nie jest łatwo pogodzić się z takimi rzeczami. —

Łagodniej, ale stanowczo powiedział. — Nie powinienem tego słuchać. Ja też zmieniłem się od tego czasu i przemyślałem naszą sprawę. Nie jesteśmy dla siebie. Co tu mówić? —

Nawpół świadomie chwyciła ostatnią broń. Jej szczerpłe palce dotknęły twardej pięści, spojrzała mu w oczy. Ale jego źrenice wytrzymały ciemne i chłodne. Wtedy dopiero zwątpiła. Nie był to ten sam powściągliwy i gwałtowny zarazem, drogi wspomnieniom Zygmunt, który w obojętnej rozmowie wyjaśnił niegdyś wszystko gorącym uściskiem. Nie odnalazła w jego oczach ukrytej radości, którą witał dawniej ją całą. I ta myśl, że nie odczuwał już jej uroku, choć

taka nieważna wobec wszystkiego, co się działo, bolała w niewytłomaczony sposób najwięcej...

— To wszystko, co mogłam powiedzieć — rzekła wreszcie i tak jak niegdyś pozostawiła go samego na zasypanej liśćmi ławce i tak jak niegdyś przystanęła potem przy którymś z zielonkawych płotów małego domku i znów posłuszna wyższemu prawu powtarzałości, płakała rzadkimi łzami.

Łzy spadały na zakurzone liście gęstych krzewów „świętojanek“ przy płocie. Krzaki wędły już i wiatr co chwila porywał całe garście skropionych liści.

Kiedy Janka otworzyła drzwi stołowego, ręce matki niepewnym ruchem rozkładały na stole paczki. Janka nieuważnym spojrzeniem prześlizgnęła się po zastawionym stole. Ręce matki zatrzymały się nad małą paczką.

— Janko, chciałabym, żebyś mi coś załatwiła. — Pani Ania mówiła niepewnie w przeczuciu odmowy. Gnębił ją też maleńki wyrzut sumienia. „To“, trzeba było załatwić samej.

— Chciałabym, żebyś to zaniósła, podam ci adres. Na Luksus do baraku dla Wilczakowej. Polecono mi tę kobietę, jest chora.—

Ręce pani Ani znów pomajstrowały coś przy paczkach. Janka zmarszczyła się.

— Doprawdy mam, nie rozumiem dlaczego chcesz, żebym ci właśnie przy tem pomogła?

Matka spuściła głowę. — Proszę cię, żebyś poszła, doprawdy to taki drobiazg — powiesz tylko, że ode mnie.—

Losy paczek przez chwilę zawisły w niepewności.

— Dobrze — powiedziała wreszcie Janka prawie wbrew własnej woli. Chciała mieć ciągle jakieś zajęcie, coś robić, zająć szczerze każdą odrobinę czasu, ale nigdy nie przyszłoby jej na myśl, jak niewygodna może być taka droga.

Wszystko tam było złe. Nawet teczka. Nieodpowiednia. Butelka, której szyjka wysuwała się uparcie z boku. A potem obawa, czy mama nie zapakowała jakichś zupełnie zbytecznych przedmiotów. Ten niepokój był tak silny, że Janka skręciła w boczną ulicę i gdzieś pod balkonem odsunęła szybko zamek teczki. Ale tam były same odpowiednie rzeczy, cukier kielbasa. Zresztą, czy wiedziało się samej?

Ale dopiero kiedy na pustej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się białe płyty desek, ukazał się zdaleka ogrodzony plac z barakami, teczka stała się niewygodna nad miarę. Na placu świeciły mętne oczy kałuż. Nad barakami kołysały się na sznurach bezbarwne sztandary szmat. Baraki miały błoniate szyby. lub nie miały ich wcale. Stopy Janki potykały się na nierównościach twardego gruntu, płuca chwytały niechętnie zapach złej strawy, źle pranych pieluch i zleżałej pościeli. Potem pogrzyżyła się w mętным półmroku wnętrza, stopy natrafiły na ubitą twardo masę, która była podłogą.

Coś tam jeszcze było w tej izbie, jakieś niebieskie obtłuczone garnki, otchłań czarnej kuchenki, pies, dziecko, ale Jankę przykuła żółta twarz Wilczakowej patrząca z łóżka. Oczy chorej uczepiły jej się, kiedy powiedziała:

— Moja matka przysłała...—

Lepki, chrypliwy głos jął snuć pokorne dzięki i żale. Oczy tkwiły na czarnej tece.

— Paniusiu, wszystko się bez te moją chorobę marnuje. Najstarszy chłopak też robotę stracił. U Borkowskiego był. Ale tam ino młode trzymają do siedemnaście, bo to później więcej płacić muszą i za Kasę, a chłopak, choćby i nie chciał więcej, ostać nie może, bo karę zapłacą. Ale pan Bóg miłosierny i ludzie miłosierne... —

Głos wyrzucał wszystko pokornie, uległe. Sztylety gorzkich prawd kryły się, wpełzły poza miłosierdzie, ułagodzone widokiem czarnej, pełnej teki. Milczały kupione za tę odrobinę ujętych z własnego nadmiaru zapasów. Myślały tak obie..

— Paniusieczku, żeby tak co do włożenia ze starych rzeczy, bo już nic nie mam. —

Janka z napływającą do twarzy krwią usiłowała rozpakować teczkę. Nie było gdzie co postawić. Płacząc się niezręcznymi ruchami położyła na stoleku paczki i butelkę. Wszystko skurczyło się nagle. Było małe i bez znaczenia.

Od strony łóżka snuły się ciągle uległe słowa i patrzyły zachłanne oczy.

— I żeby o tych starych rzeczach paniusiu, już pan Bóg wynagrodzi... —

Potykając się ciągle, nie wymówiwszy żadnego rozsądnego, skończonego zdania, znalazła się wreszcie Janka w oślepiającym świetle dnia za barakiem na Luksusie. Stała wśród tych klitek z pociemniałych desek, wśród sznurów zlachmanionej bielizny, bogat.

sza o znajomość wnętrza. Nad Placem z małych kominów ciągnęły się przezroczyste dymy.

Styłu dopadł ją młody głos:

— Paniusiu łaskawa, parę groszy na kawałek chleba. —

Głos wołał to śpiewnie, przeciągle.

Ale Janka zacięła się w gniewie przed tą skomlącą, fałszywą melodją i wyrostkiem, którą ją wyśpiewywał pewnie. Nie odwróciła się.

Wtedy styłu świsnęły słowa: Cholero parszywa...

W błyskawicznym spojrzeniu ujrzała twarz wyrostka chudą i spokojną. Wąskie oczy patrzyły gdzieś poza jej twarz. Szukała słów i nie znalazła ich.

Minęła Luksus. Beładnie rozmyślała idąc na przód, że przyjść tu ze swoją małą teką to było coś gorszego niż niezręczność. To była nikiemność.

Udawać, że można ratować tych ludzi, napić ich butelką malinowego soku, osłodzić ich życie torebką cukru...

Za nią na wietrze kołysały się wciąż bezbarwne sztandary szmat.

W miasteczku znani są tylko bogaci ludzie, bogaci i zamieszkali oddawna. Dynastje. Jest ich mało, zaledwie kilka. Rodzina adwokata Borkowskiego, Mielniccy z pod Słaszewa, Skowrońscy, Brandtowie. Zna się historję ich samych, rodziców i dziadków. Biedni rzadko mogą stać się znanymi. Nie zapuszczają mocno korzeni. Brak pracy, złudne widoki na lepsze warunki bytu, przypadek spychają ich łatwo

z zajętego miejsca. Dlatego nie utrzymuje się wieść o ich rodzie.

Giną tak, jak ich groby i napisy na nich, które ściera wiatr i deszcz. Ale rybaka Wózkowskiego w Staszewie zna każdy. Dziadowie rodziców byli już tutaj. Należały do nich domki, których już niema i pola, które oddawna nie są polami.

Wózek jest wielki, barczysty, ogorzały. Ma czterdzieści kilka lat. Jest rybakiem, ale nie łowi sam... Jego prawa ręka ma zniekształconą dłoń, grubą bryłę mięsa z trzema palcami, przeciętą szwami i szramami. Zona jego nieznanym opowiada o nieszczęśliwym wypadku, ale każdy dobrze wie, że to było przed laty w bójce.

Pijany, ciężki, chwiejnymi krokami wlecze się po ulicy i woła za przechodniami:

— Doktorze, stójno, coś ci powiem. Panie sędzio, nie bądź taki domny. Poczekajno. —

I co dziwniejsze, czekają. Niechętni, pełni obaw i uśmiechnięci przyrzekają wszystko, czego chce, bo jutro sam Wózek zapomni.

Wózek wie wszystko i to jest najniebezpieczniejsza broń. Zastępuje dobrze strzaskaną pięść. Kiedy się z ogrodnikiem Grabowskim pokłócił, zawołał mu głośno na Rynku, gdy się Grabowski na swoje znane, dobre imię powoływał:

— Takiś to uściwy. A jak kości sprzedawałeś już nie pamiętasz? Tatuńcio grabarz był to się kostków dosyć nalazło...

I po tych słowach, które zamknęły wszystkim przerażone usta, odwrócił się wielki, ciężki, straszli-

wy zwycięzca od Grabowskiego, który pobladły mówił coś głośno o sądzie. Taki jest codzień zuchwały i spokojny, przy swoich rybach, stoi jak pan, a jego jasnowłosa, zniszczona żona waży, zawija i dźwiga kosze.

Dyrektor Brandt też dobrze pamięta Wózka.

Kiedyś w rok po ślubie, kiedy szedł wieczorem do domu z za Herbergi Karaua, wyrósł przed nim wielki cień i pijacki głos wrzasnął na całą ulicę:

— Jezeroszczanki chłopak dobrze się chowa.

Brandt rzucił rozpaczliwe spojrzenie wkoło. Nie było nikogo i kroki Wózka przebrzmiały. Skąd to wiedział? Dla Brandta był w tej chwili niesamowitą, nadludzką mocą. Ale w rzeczywistości tajemnice są zawsze bardzo proste.

Co rok bez kwitnie dla wszystkich. Wózek też chodził z jasnowłosą służącą, która przedtem miała dziecko z innym. Każdy myślał, że na krótko. Ale oni chodzili, chodzili aż zamieszkali razem, a kiedy on stracił później władzę w rękę, ona zarabiała i pracowała na nich dwoje. Ale Brandt nigdy nie przestał widzieć w rybaku groźnego widma.

Nie był zresztą jedynym, który go omijał, zwłaszcza po pijanemu. Nawet gdyby nie wydobywał na światło dzienne spraw, które miały być zapomniane, mógł poprostu zawołać kogoś w oczy: Ty, Janku, albo Stachu, dobrywieczór.

A Janek, albo Stach mógł być Janem Tomaszem X, kierownikiem instytucji, sędzią, lekarzem i zuchwałę „ty“ powtórzone po godzinie przez całe Staszewo zachwiałyby poważnie jego autorytet. Bo auto-

rytety, wiadomo przecież, mają to do siebie, wystarczy dmuchnąć...

Kiedy dyrektor Brandt bywał zamyślony, zdarzało mu się zderzyć z kimś oko w oko i wtedy dopiero z trudem poznać go. Zdarzało mu się nieraz w ten sposób obrazić kogoś, bo są ludzie, którzy powinni być zauważeni zdaleka. Ale żadne zderzenie z wpływową osobistością nie było tak przykre jak to, które miało miejsce ze zwykłym, pijanym rybakiem, Wózkiem.

Podszedł mu pod same oczy. Wtedy dopiero zobaczył wysoką, grubą, ślaniającą się zlekka postać. Wózek, choć pijany, zawsze każdego poznawał.

— Dobrywieczór, Wiktor — wyrzekł nosowo.

— Dobrywieczór. — Brandt blisko ściany usiłował go wyminąć.

— Gdzie idziesz? — zapytał ponuro rybak.

Brandt zostawił go już za sobą. Wtedy Wózek wrzasnął na całą ciemną uliczkę:

— Wielki pan, Brandt. Córeczka zato gust do prostych ludzi ma, zięcia z żadnej wielkiej famielji nie sprowadzi, ale zawsze ze znajomych szuka, ze znajomych...

— Pijak — krzyknął ochrypłym głosem Brandt. Ktoś zaśmiał się scicha w ciemnościach wąskiej uliczki.

— Bez gniewu, bez gniewu — wołał Wózek, — prawdę mówię. Dobrą masz córkę, Wiktor, ludzie z niej będą...

Brandt uczył kłócie w sercu. Podszedł tak blisko, że oszołomił go zapach wódki.



— Co wy tam mówicie? — spytał, zdobywając się na spokój.

— Za ojcem córeczka gust ma — rzekł Wózek i oparł się ciężko o mur.

Brandt odszedł.

...Kiedy pani Ania zostawała wieczorem sama w domu, czuła się zawsze nieszczęśliwa. Bo wieczór stworzony był do rozrywki, a ona mogła tylko siedzieć w tej straszliwej samotni. Doszło do tego wreszcie, że chętnie przechadzała się sama wieczorem. Wtedy może jednak na cichych ulicach mogła czekać przystojak. Nieznana, piękna, mogła przyjść. I kiedy pani Ania zeszła ze schodów przysła, już czekała...

Za furtką, oparty o sztachety stał człowiek. Kiedy chciała się cofnąć drżąca, z wysiłkiem podniósł twarz.

— Wiktor! — krzyknęła pani Ania.

— Jestem chory — wymamrotał, nie puszczając sztachety.

Po schodach, po pokojach szemrały kroki. W najodleglejszym pokoju telefonowano po lekarza. Wszyscy biegali z niejasnym poczuciem, że stan jest bardzo groźny. Ale jeszcze nim przybył specjalista, Wiktor Brandt wiedział, że mu nie grozi nic. To siła, logika życia powaliła go na chwilę i jak wielu ludzi pod jej ciężarem ukrył się za chorobą... Przed dom zajechał samochód lekarza.

Są noce, które wydają się nie do zniesienia. Wszystko się w nich kończy. Są straszne jak śmierć i gorsze od śmierci, bo po nich wstaje dzień, w którym trzeba żyć nanowo. Każdy ma swoją straszną noc, a ta jest nią dla dyrektora Brandta.

Słyszy wszystko, żonę, lekarza, odpowiada na pytania, ale niechęć do otoczenia wzrasta w nim z każdą chwilą. Szkoda każdej sekundy, na którą trzeba się oddalić od swego bólu.

Tej nocy Wiktor Brandt postanawia z całej mocy: trzeba ratować, ocalić od kryzysu córkę i młyn. Co jest łatwiejsze?

Związek przyczynowy spraw życiowych jest ukryty tak głęboko, że wydaje się nie istnieć. Między nocą Wiktora Brandta, a dniem, który przychodzi później jest łącznik, ale nawet on sam nie dostrzega go.

W biurze na stole, na zielonej bibule leży biały arkusz. W pokoju jest cisza, która wre. Remingtony świergoczą mniej zawadjacko i głośno jak codzień. Panny milczą. Tylko drzwi otwierają się ciągle z lekkim skrzypieniem.

— Błażek, Chyliński, Wojtaś — po kolei, podpisujcie!

Po lśniącym linoleum podłogi szurają ciężkie buty, zostawiając lekki ślad mącznego pyłu. Pióra są za cienkie, stalki chroboczą, wymykają się z grubych palców, ociekają atramentem i drżą.

...Z dniem... otrzymałem całkowitą należność i przyjmuję wymówienie dwutygodniowe.. Lista nazwisk, odszukać swoje, podpisać obok.

Podpisują. Jeden za drugim, że nie mają pretensji. Każdy czeka na poprzedniego, zbliża się, ujmując pióro i już nie ma pretensji.

Dopiero na podwórzu rozmawiają. Wiedzą już, paru ludzi pójdzie, ale kto?

Przez dwa tygodnie od dzisiejszego dnia będą przełykać to słowo, co godzinę bardziej gorzkie, będą z niem wstawać i kłaść się i nikt nie zdrzemnie się na nocnej zmianie. Kobieta i dzieci będą mówiły o tem przy każdym kęsie i nikt nie przestanie o tem myśleć, aż skończą się dwa tygodnie i przyjdzie pewność.

Jan Stępień Gorzelańskiemu i Wojtasiowi mówi gniewnie o ich bierności. Stoi chudy, wielki i grdyka mu drga. Tak jest przy każdej redukcji ludzi i płacy. Dziesięć lat. Ale na podwórzu omijają ludzie Stępienia, bo może z kąta, z okna, z za zakrętu patrzy ktoś, kto trzyma w ręku treść przyszłych dni, od kiedy całe życie wisi na pajęczej nitce wymówienia...

Była niedziela. Chłodna, bezsłoneczna i niepotrzebna. Niepotrzebna — to myślał Jan Biały. Bo -oznaczała stratę prawie pięciu złotych. W niedzielę jak wiadomo należy tylko świętować, jest to dzień wolny, nieopłacany.

Czasem, dawniej, można było nawet czekać na to święto, ale kiedy trzeba pieniędzy i za przyjemność odpoczywania rezygnuje się z dziennego zarobku, kiedy się ma długi, kiedy kobieta choruje czwarty tydzień, a dzieciaki marnują się na ulicy, kiedy tak prędko kończy się wielki, dwukilowy chleb, niedziela jest niepotrzebna.

Kobieta leży żółta i bardzo licha. Choruje na żółć. Zajrzą baby, nagadają i znowu pójdą. Teraz Nastowa przy niej siedzi z dzieciakiem na ręku i tylko po izbie patrzy. Mąż jej bezrobotny, dzieciaków kupa,

baba nikomu kęsa nie użyczy. Jakby u nich w rozkoszach żyli.

Zimą im chłopaka motocykl przejechał. Chłopak w dziesiątym roku. Ledwie się poruszył i skonał. Potem pochówek i wszystko takie drogie. Zona też najwięcej po chłopaku na tę zółć chorować zaczęła. Dom na nic, dzieciaki same, obiadu mu już nie noszą wcale, a pieniądze, co się da, to już niema.

Biały siedział przy stole i strugał łapkę na myszy, bo przez całą noc rumotały po kątach. Ledwie ucichło w izbie, słyszało się zaraz ich cienkie, ostre skrobanie.

— Pewnie dzieciaki jakieś okruszyny rozwłóczyły — myślał gniewnie, strugając palik.

Potem znów mały Michał beczał, bo nie chciał dziś wychodzić boso, a klumpy były na nic.

— Trza mu kupić — stękała żona z łóżka.

A on jej tylko: — Po pierwszym. — Bo do tego czasu już wszystko wybrał.

Nastowa zaczęła nowego szewca zachwalać. Zosia stukała statkami. Zawsze więcej stuku narobiła jak ugotowała. Dwanaście lat dziewczyna, a na nic nieprzydatna. Biały schował łapkę i wyszedł. Na Rynku było sporo ludzi jak przy niedzieli.

W ulicy przy knajpie Makowskiego stali swoi ludzie: Kozłowski, Wojtaś, Gorzelański i Stępień. Spojrzawszy na nich widziało się najpierw Stępienia, bo był najwyższy i najczarniejszy. Kotłownia sprawiała, że ludzie ciemnieli, na górze w młynie blakli. Najchudszy i najwymowniejszy. Biały nie potrzebował podejść, żeby wiedzieć o czym oni mówią. Wczoraj

podpisali wymówienie, a dzisiaj mówiło się o niżce. Jeszcze nikt nie powiedział głośno, a wiedziało się. Wszystkie zmiany stawały się zawsze w ten sposób wiadome.

Biały wie co mówi Stępień i wie, że młody Gorzela jest za nim. Wszystko jest stare. Tylko Stępień jakieś szczęście ma, że mu to gadanie uchodzi. Ale co mu tam? Chłop sam, bez rodziny.

Dom się przypomniał Białemu i niechęć, że obiad będzie znów przypalony, albo surowy i Michał znowu o buty będzie beczał. Nie podszedł wcale do nich, tylko prosto ulicą ruszył. Myślał, że niby z przypadku do ciotki Romanowej zajdzie, możeby Michała na parę dni w gościnę wzięła.

Tak idąc z sercem gorzkim i ociężałymi stopami, natknął się prawie tuż we wąskiej ulicy na znajomą postać i natychmiast sięgnął do czapki.

Bładawa twarz, w ustach fajeczka, nieuważny ukłon w odpowiedzi i oczy utkwione w tamtych, Kozłowskim, Wojtasiu, Stępieniu. Dyrektor Brandt zatrzymał się nagle. Stoi przed Białym w jakimś nieznanym, dziwnie prążkowanym garniturze, odprasowanym gładko, doskonale. Uśmiecha się lekko:

— Cóż tam tak racjują? — szare oczy pod swobodnym uśmiechem są przenikliwe.

Słowa wybiegają same z ust Białego drżące i szybkie:

— Powiadają, że na te ciężkie czasy niżka ma być.

— Kto powiada?

Prędko jak nigdy jeszcze przelatują bystro myśli

Białego po chłopach: Kozłowskim, Gorzelańskim, Wojtasiu... Wszystko żeniate, dzieciacie prócz...

I własna dola psiakrwia z chorą kobitą i dziećkami. Za dwadzieścia złotych albo i więcej, kupisz se trochę spokoju.

— Kto tak powiada?

— A, różni.

— No, mnie możecie przecież powiedzieć.

— Stępień.

Biały zmalął, ścichł, nie odpowiada już na inne pytania.

— Przyjdźcie jutro do biura do pracy. — Słowa padają od niechcienia. Oczy patrzą daleko w tamtą gromadkę przed knajpą. Stoją i nie widzą nic.

Biały jest sam. Słowo powiedziane czekało nie od dziś może. Zsunęło się z warg. Rzekło się. Teraz wszystko jest mdłe. Do ciotki nie idzie, obiadu nie je. Tylko na stołku w kącie, na dużym Zosia myje statki, struga łapkę na myszy prostą i niewymyślną. Dwie deseczki i palik. Na górnej ciężarek. Tak mija niedziela.

Kobita stęka na łożku, dzieci wyleciały na ulicę. Ciemno jest, a nafty szkoda, zimno się robi, ale ktoby już palił. Kiepsko.

Można se strugać i dławić się cholernym żalem, ale słowo się rzekło i słowo jest jak most, który dwa obce, dalekie brzegi łączy i trzyma nierozzerwalnie.

Kiedy otwiera się niskie drzwi kotłowni, ciało objęte jeszcze wilgotnym chłodem dnia, już na progu otula dobroczynnie gorący opar kotła, oddech maszyn

i nim spostrzeże się, przejdzie łagodne ciepło w potniejący, duszny żar ziejący z potężnego dziewięciostatmosferowego kotła.

Gorąco. Cienki, gryzący pył węgla podrażni nienawykłe płuca, porami tryśnie pot, zapach oliwy i smarów nienawistnie przylgnie do nozdrzy i po chwili dopiero można dojrzeć w mroku rozświetlonym odbłaskiem paleniska, czarnych, nawpół obnażonych palaczy przed okrągłym otworem pieca.

Dziesięć godzin nie można tu wytrzymać nawet w koszuli.

Każdy wchodzący, dobroczynnie, z podziwem pyta jak oni wytrzymują i wtedy zawsze odpowiada ktoś inny: przyzwyczajeni...

Dyrektor Brandt jest codzień w kotłowni przynajmniej raz. Sam wszystko ogląda, o niczem nie zapomina. Tak jak nie zapominali jego ojcowie i dlatego rozrosły się Zjednoczone Młyny. Wiktor Brandt jest zdecydowany i swój spadek uratować z powodzi klęsk okresu, w którym ma pecha żyć.

— Stępień, wstąpcie dziś do biura — mówi przyciszonym głosem, mijając maszynownię.

W upale ognia i duszności po każdym spływa zimna strużka. Nie idzie się do biura na uciechy. Każdy to wie i ostrożnie przyglądają się Stępieniowi.

On sam przez małą chwilę łudzi się. — Może o żarówki. Bo wczoraj wziął świeżą, a teraz jest zdwojona kontrola. Bo przecież dziesięć lat...

Ale już za chwilę oswaja się z pewnością, że jest źle. Przecież on jak nikt wie, że są dla nich jak ten

kamień na budowę, poleży rok, pięć, dziesięć lat, a niepotrzebny, albo da lepszy, raus... Wymówią...

Obok w kotłowni chrzęści węgiel dorzucany do ognia. Stępień nie zdejmuje wzroku ze swej maszyny.

Kiedy wieczorem do pracy wchodzi do biura, wszystkie oczy idą za nim. Odprowadzają aż do zamkniętych drzwi gabinetu. Za drzwiami od strony gabinetu cisza. Zawsze tak. Dyrektor przez chwilę nie odgrywa się od pracy. Stępień chrząka. Niecierpliwosć go żre.

— Stępień, hm, tak, bardzo mi przykro, ale dziś upływa termin wymówienia, muszę, jestem zmuszony, zwolnić kilku ludzi. —

Wiktorowi Brandt jest przykro.

Wysoki, chudy, czarny maszynista stoi. On to kiedyś zatrzymał maszynę w porę... W gruncie rzeczy, jaki ponury człowiek, niesympatyczna figura.

— Gdyby była znów jakaś praca to oczywiście dam wam znać, ale tymczasem...

Słowo „niestety“ zawisło bliskie wypowiedzenia w próżni. Dyrektor Brandt w porę pomyślał, że to się poprostu nie nadaje. Umilkł, wypełniając formularz, potem jeszcze dorzucił: — Czasy są ciężkie i dla nas.

Zlekka zgarbiony Stępień wyprostował się. — Nim tłusty schudnie, chudego djabli wezmą — rzekł posępnie.

Nieosobowość tego powiedzenia, nie pozwalając się obrazić, ukazała dyrektorowi ponury charakter byłego maszynisty w całym świetle. Nim cisza mogła stać się kłopotliwa, dyrektor podniecony odpowiedzią, zdeterminowany rzucił krótko:



— Jesteście wolni.

W sąsiednim pokoju Remingtony zrzadka tylko stukwały, kiedy wychodził z niego Jan Stępień. Patrzoneo za nim.

W podwórzu zatrzymał go Kaliński. — Co tam?

— Wymówili — rzekł sucho i nie zatrzymując się poszedł dalej. Nogi go same poniosły po znajomych kamieniach, gdzie zawsze zawadzało się lekko o jedną wyrwę. Była tu od sześciu lat, od czasu wielkiej burzy nad miasteczkiem. Codzień mijał ją dwukrotnie i codzień o niej zapominał. Szedł aż do furtki i machinalnie skręcił na lewo, w stronę domu. Ale po raz pierwszy od dziesięciu lat szedł powoli. Był przecież wolny.

Nie od razu przyjęto kogoś na miejsce Stępienia, dopiero po dwóch tygodniach. Wtedy na to miejsce zgłosiło się sześciu. Pięciu nieprzyjętych spotkało po drodze garść znajomych, którzy również cichaczem przez kogoś dowiedzieli się, że istnieje gdzieś cud pracy i zarobku. Powędrowali potem wszyscy razem na prawą, słoneczną stronę Rynku.

Stępień podzielił ten żywot. Stawał w kolejkach bezrobotniaków po zapomogę, po grochówkę do kuchni i wszędzie wybijał się jego porywczy, niski głos...

Znalazło się wreszcie po tylu latach czekania słuchać go komu. Gadali zawzięcie przycupnięci na schodkach, goniąc blade słońce zimowe po całym Rynku.

Zima to była, jakiej miasteczko jeszcze nie widziało. Długa, nie mroźna, ale przewlekła, śnieżna, obfita w rzęsiste deszcze, od których gniły dachy ba-

raków na Luksusie. Droga do lasu o trzy kilometry od miasta udeptała się gładko pod stopami dzieci i kobiet, które tamtędy szły po drzewo. Mężczyźni najczęściej zostawali w mieście.

Czekanie stało się ich pracą. Nie odchodzili, bo mogło się znaleźć coś, można było opuścić jakieś ważne zdarzenie, uradzić coś, a na dźwiganie drzewa starczały baby i dzieci.

Potem stało się, że któreś soboty zabrakło zapomóg. Nie było pieniędzy w kasie. W barakach na Luksusie stanęło po sąsiedzku straszycło głodu. Tego dnia nie było pojedynczych ludzi, tylko gromady. Nędznie ubrane kobiety, najbardziej stanowcze i głośne, za plecami mężczyzn tkwiły jak noże: głód, dzieci...

Szmerem tych odgłosów zabrzmiało całe miasteczko, obudziło się przedwcześnie z zimowej drzemki. Nie działo się nic, ale ono nie zasypiało już więcej, czujne, wyczekujące. Lampy nie paliły się, bo świecił księżyc. W te dni oszczędzano. Kiedy chował się za chmury zalegała ciemność.

Tylko w wieńcu czerwono zielonych lampek na Rynku błyszczały fotosy filmu: „Liljanka chce się rozwieść“...

Tego wieczoru w ciemności ktoś macał niepewnie, szukając klamki u drzwi mieszkania starej Jeziorowskiej. Zygmunt uchylił drzwi.

W sieni stał Stępień z ziemistą twarzą, w palcie wilgotnem od prószonego śniegu. Stara z kąta przy piecu zaprosiła go uprzejmie. Smutno jej było w ten wczesny wieczór, samej z nierozmownym synem.

Niechby ostał choć ten awanturnik Stępień. Ale nie chciał. Tylko Zygmunt miał pójść z nim. Poszeptał, aż Zygmunt wstał:

— Mama, jeszcze wyjdę. —

Została sama, gniewna i ciekawa. Chto ich tam wiedział gdzie szli. Przecie i Stępień nie zanadto stary, a Zygmunt chocia taki niewinny, no, wszystkie chłopcy jednakie zawsze...

Ale kiedy ona szukała ich w myśli gdzieś w restauracji z żółtą lampą, on siedział u Nastów przy stole ze Stępieniem, młodym Nastem i Maśkowiakiem, co najdłużej w całym Staszewie jako bezrobotny chodził.

Siedzieli w paltach, bo w izbie nie było palone. Brysia dzisiaj chodziła do prania i spała już teraz w kącie z dzieciakami na żelaznym łóżku pod wielką pierzyną. Naftowa lampa ze stłuczonym kloszem kopciła zlekka. Na ścianach były bure plamy. Dzieciaki pochrapywały. Tylko najstarszy, co w drugim ojcowym łóżku leżał, nie spał i wiercił się, bo nie mógł się ogrzać.

Patrzył tylko wciąż czy nie idą sobie jeszcze, bo wtedy zrobi się cieplej, ojciec przyjdzie. Ale oni nic. Gadali niegłośno, bo Nast nie chciał, żeby dzieci się obudziły. Bo takie były, że jak je tylko obudzić zaraz wołały jeść, choć im Brysia dziś swoją kolację przyniosła.

Jasiek w ojcowym łóżku wciąż słyszał szepty coraz głośniejsze, aż ojciec znowu szeptał psss i szepty opadały ciszej.

— Muszą — powiedział Zygmunt Jezioroszczak.

— A co lepiej nic, cicho zdychaj z głodu na boku, żeby nie przeszkadzać — krzyknął Stępień i ojciec na to zara znowu: pas...

Potem Maćkowiak wyszedł i wrócił z cienką, drewnianą deską. Jasiak widział ją dobrze. Jezioroszczak przyklejał do niej gruby, odmierzony papier. Takie to było ciekawe, że Jaškowi odechciało się spać. Później postawili lampę inaczej. Na łóżka padł czarny, wydłużony cień.

Zygmunt Jezioroszczak siedział po środku, wszyscy nad nim i przy nim. Pióro skrobało głośno po papierze. Kreślili, mazali i każdy radził jak napisać inaczej.

Nareszcie wszyscy wstali. Wyszli i ojciec za nimi. Pewnie zakluczyć się. Jasiak słyszał jeszcze jak umawiali się na godzinę. I szybko po zimnej jak lód podłodze, w szmacianej koszuli przebiegł, przefrunął do stołu.

Czarne, rozlewające się litery połyskiwały ciemną głębią atramentu na grubym papierze. Jasiak przeczytał bez trudu te duże czarne woły.

Stało tam jak mur: Żądamy chleba i pracy.

Między Węgorzynem a Staszewem idą listy. Jedne w długich lila kopertach pokryte nierównem, jakby niewyrobionem pismem, zwięzłemi wyrazami mówią o zrezygnowanej zgodzie pani Ani. Stało się, życie jej jak dzień zachodzi, a wieczór, choćby najpiękniejszy nie może mieć dla niej uroku.

Dopiski Wiktora są radosne, tchną nadzieją, Janka zechce, wszystko będzie dobrze... Wracają listy

w dużych, białych żyłkowanych kopertach, staroświeckim, sentymentalnym zwyczajem przepojone wonią perfum.

Mimo tej zewnętrznej poetycznej szaty kreślone są wyraźnym, wąskim jak gotyk pismem i mówią rzeczowo.

Zgoda wasza, oczywiście to nieodzowne, ale są jeszcze inne ważne dodatki. Posag, czas, zgoda Janki. I kiedy Wicek ma przyjechać?

W marcu. Na wiosnę. Wszystkie zmiany powinny przychodzić na wiosnę. Wtedy oczekuje się ich najbardziej. Święta wszystkich religii, żeby usprawiedliwić wiosnianą radość zostały naznaczone wtedy. W marcu przyjedzie Janka.

Czerwona willa ze smukłą wieżyczką zdobna jest jeszcze w lodowe festony na dachu. Trawnik leży pod białą płachtą, kiedy nad ranem w półmroku i żalu Janka wraca do domu. Pojechała w nocy, żeby wracać razem z Bronkiem i po tej niespanej, przegadanej nocy myśli są ciężkie i gorzkie. Na schodach jest jeszcze cicho, wszyscy śpią.

Po obu stronach czerwonego kokosowego chodnika łśni froterowana podłoga. Po staremu. I Janka cieszy się z powrotu cichą, bladą radością.

Nie lubi się czasem pięknych wielkich miast, a nie można zapomnieć o małych, jednostajnych. Miasta mają oblicza ludzi, których się w nich znało, pracy, którą się w nich spełniło. I dla każdego po staremu najmiłsze jest to miasto, którego ulice, place i zaułki znaczą etapy jego życia, tak nieważnego w istocie dla

murowanych ulic tego miasta, które przetrwają o dziesiątki lat krótkie, potężne życie ludzkie.

Janka myśli, że Staszewo nie zmieniło się wcale i chciałaby je zobaczyć, tak, jak się chce przeżyć nanowo coś ze swojej przeszłości.

Zima była ciężka. Pracowała jak dawniej, została jej zawsze czujna chęć poznawania, ale pragnęła odczuć wreszcie związek tej wiedzy z życiem. Wynieść ją z sal i bibliotek, gdzie była teorią, tam, gdzie stawała się żywa. Minął okres, kiedy wystarczała wiedza, zapagnęła poznać jej wartość użytkową.

I nietylko to. Umiejętność skupienia się, którą posiadała dawniej, zaczęła odmawiać posłuszeństwa. Wkradały się myśli natrętne, niepotrzebne, dla których o żadnej porze dnia nie było właściwie miejsca. Tęsknota. Janka zmaga się z nią napróżno. Czyta książkę, ale nie może o niej powiedzieć nic, słowa odczytu są tylko rozkołysaną falą dźwięków. To są te fatalne dni, kiedy przed otwartymi, czy zamkniętymi oczyma jest zawsze on i za nic nie można zwalczyć pragnienia, żeby zostać z całej mocy objętą przez niego.

Czytać, czytać, myśleć tylko o tem co mówi książka, o mądrej, prostej, ważnej sprawie, ale litery pierzchają z przed oczu, rozsypują się. Wyrastają zamiast nich jego oczy usta i ręce. — I teraz znów jest się w mieście, w którym działo się wszystko.

Ogląda się nanowo stare kąty i Janka widzi, że Staszewo zmieniło się jednak. Nauczyło się reklamy. Krzyczy czerwono niebieskimi tłustymi napisami na białych płachtach: Wyprzedaż, Likwidacja... Pod

oknami magazynu bławatnego przybyło bezrobotnych. Gonią po dawnemu słońce.

Uliczka prowadząca do jezior jest pełna rowerów, wozów i rozklapanego błota. Na lewo wdół promenada. Tu jest jej początek wśród ośnieżonych trawników, dalej kręta droga ginie z oczu. Leży tam napewno krucha, cienka tafla lodu. Zimny wiatr wieje z nad jeziora i niema tam pogo iść. Niema pogo — mówi sobie Janka dobitnie i skręca. Na uliczkę Dolną. Na Dolnej dopiero stopy poznają prawdziwe błoto. Głębokie grząskie, nieznacznie wciągające jak trzęsawisko.

Na całej uliczce są tylko niskie chałupy i błoto lepkie, lśniące w słońcu jak smoliste brylanty.

Zaludniają ją dzieciaki od najmłodszych pełzających do dziesięcioletnich piastunek i wszędzie płaczą się krzywonogie, wielkobrzucho pędraki z bladymi, obwisłymi policzkami. Jedyne tu są w miasteczku okna bez czerwonej pelargonji i wyblakłej hortensji. Zielonkawe ściany domków zapadają się w błotnisty grunt.

Przedwieczorem domorośli apasze, chłopiska wielkie, sękaty, złe i zbiedzone odbywają tu miłosne rozmowy i koleżeńskie porachunki. Dolna uliczka dostarcza materiału staszewskiemu szpitalowi i „kozio“.

Po raz setny ten widok przylega do oczu Janki, niewiadomo dlaczego bardziej bolesny niż podobne obrazy wielkich miast. Mogłaby teraz nawet pójść przez promenadę spokojnie, bez żalu. Bo żadna ulica na świecie nie jest zdolna zagłuszyć wymowy Dolnej.

Ale kiedy przyjechał Wicek, skończyło się cho-

dzenie po ulicach. Za ledwie Janka stawała na ostatnim stopniu schodów, wyrastała przed nią jego wysoka postać.

— Dokąd się wybierasz? Czy mogę ci towarzyszyć po labiryncie Staszewa? —

Wicek był wesoły, miły i niezwykle uprzejmy. Z ojcem zgadzał się w poglądach na życie społeczne i polityczne, z matką w teoriach pożycia domowego. Wiktor Brandt zatrzymywał go chętnie w biurze i rozmawiał z nim. Wtedy Janka pod jakimkolwiek pozorem biegła na młyn przez podwórze pełne furmańek rozrzucających złociste źdźbła słomy i drobną, zieloną sieczkę.

Pokazała nawet młyn Wickowi. Szum maszyn, tempo i nieustępliwość zajadłej pracy wstrząsnęły nim, niemniej jednak zauważył przy wyjściu, że był ubielony, „niepodobny“ do ludzi. Zostawał więc najczęściej w biurze, lub próbował ujeżdżać konia na podwórzu. Janka mogła to oglądać z narożnego okna na czwartem piętrze. Dwa były takie. Ich szyby były matowe od pyłu, ramy spróchniałe, a na środku szyb torowała sobie ręka czyste kółko. W dzieciństwie Janki to była „luneta“. I została nią nawet dziś. Można było przez nie patrzeć daleko, aż do urojonego widnokregu. Śledziła stąd wszystko, co się działo na dole, tak, jak za dawnych lat, szczęśliwa, kiedy udało jej się bawić z dziećmi z dołu, w kradzonej chwili, gdy matka malowała błękitno złote markizy. Z nimi zaznała rozkoszy szalonych gonitw aż serce rzucało się o ściany piersi i wciskało w gardło ochryple od dyszącego bicia.



Bo oni szybko przewyżdzali oniesmielenie wobec jej ładnych sukienek i wielkich, sterczących kokard. A w zabawie rządząc się nieświadomą sprawiedliwością, pierwszeństwo oddawali tym, którzy śmialemi skokami i zwinnym wspinaniem się zdobywali płoty bronione ostremi sztchetami i drobno tłuczonym szkłem, lub rosochate drzewa na drodze do „banhofu”.

Jak za dawnych lat przykuwał jej serce ten młyn czarodziejski, potęgą swego pracowitego, twórczego łoskotu.

Lubiła obchodzić piętra. Drugie pamiętało jej nieudany eksperyment dziecinny. Ale młyn zmienił się w ciągu lat. Był rozbudowany, powiększony. Wiele starych maszyn zastąpiono. Na trzecim piętrze polyskiwało lakierowane żółto, niezmatowiałe jeszcze drzewo nowych plansichtrów. Przy workowaniu była jeszcze wciąż Sęczkowska, ale pobieliała w ciągu lat i fartuch zwisał na niej fałdami.

Janka pamiętała jak ojciec opowiadał, że nie chciała pozwolić się przenieść do innej pracy, choć ta groziła jej gruźlicą.

Ci, którzy workowali mieli wieczną chrypkę. Niewinny, rozpościerający się jak przezroczysty woal po młynie, biały, mączny pył bezustannie, nieznacznie otulał ich płuca.

Odwykłe od nieustannego huku i szumu ucho Janki odczuwało już boleśnie natężenie dźwięku. Biegała po wszystkich zakamarkach. Zaledwie kilku ludzi wystarczało do czuwania nad tym ogromem pracy... Reszta, którą wyparły maszyny, goniła zapewne gdzieś na ulicy marcowe słońce.

Nowe czyszczarki lśniły srebrną stalą. Były po-  
tężne, masywne. Coś zmieniało się tu ciągle i coś po-  
zostawało bez zmiany.

Wzmógłony wysiłek ludzki odnajdował wciąż nowe,  
wspanialsze, szybsze, czystsze, oszczędniejsze, prost-  
sze i zarazem zawilsze sposoby czyszczenia, roznia-  
tania i miażdżenia ziarna, z którego miał powstać  
chleb, ale biali ludzie nad białymi workami, nad sre-  
brzystą stalą maszyn, zdobywali po staremu swój  
najprostszy, powszedni chleb. Tylko tu, przy oknie,  
przez czysty krążek na szybie patrząc, mogła Janka  
myśleć o tem.

Bo na dole, pod rampą napewno czekał Wicek  
z honorową oznaką niewiadomego towarzystwa w kła-  
pie. I Jance przyszło nagle na myśl, że on był jednak  
przystojny, miły i nawet w tym związku mógł być  
jakiś urok.

W biurze paliły się lampy. Tam siedział pewnie  
z ojcem.

Nagle po przeciwnej stronie ulicy oczy Janki  
uchwyciły zgóry znajomą postać.

Widziała stąd dobrze. To szedł Broniek Kaliński.

Pobiegła prędko po czterech piętach stopni, sci-  
szających kroki grubą warstwą pyłu, chyłkiem przez  
podwórze po słomie, po czarnym miale węglowym,  
przez ulicę po oślizgłych kamieniach, żeby nadażyć,  
nim Broniek oddali się i nie zaczerpnęła tchu, aż wpa-  
dła prawie twarzą w twarz na swojego brata.

Broniek przez zimowe miesiące schudł, zmizerniał  
i nie mówił już tyle. Słowa, które rzucał dawniej tak

obficie, stały się skąpe. Dwie przyczyny sprawiły, że Janka widywała go rzadziej i krócej.

W przejściu przy szarej, kamiennej kolumnie westibulu uniwersytetu zapytała go raz czy chadza jeszcze na owe zebrania. Odpowiedział: — Tak. —

Była to najkrótsza odpowiedź Bronka, jaką dał jej kiedykolwiek. Spytała jeszcze, jaki jest teraz ich charakter, odpowiedział, że nie rozumie o co jej chodzi...

Wtedy Janka zrozumiała, że nie czuł potrzeby zwierzenia jej się, lub może ona sama zapytała go w sposób niezachęcający do zwierzeń.

I ponieważ przeświadczenie o swojej nieuchwytniej winie zabolowało ją, rozżaliła się na niego. Nie powinien zrazić się tak łatwo. Ona sama zgasiła w sobie wtedy chęć wypowiedzenia się.

Po drugie Bronek, który po powrocie włożył po uszy w korepetytorkę (Dlaczego nie odpowiadał szczerze, czy nie przysyłano mu z domu. Czyżby ojciec zapomniał wtedy?) był straszliwie zajęty.

Przyłapała go wreszcie na wykładzie i prosiła, żeby ją odprowadził. Stał zakłopotany. Wziął w dwa palce guzik jej palta. Jego wydłużona twarz zarumieniła się nieznacznie. Szybkim ruchem przegarnął sobie jasną czuprynę.

— Nie mogę — powiedział stanowczo i uśmiechnął się.

— Więc ja pójdę z tobą — powiedziała wesoło. — Idziesz w inną stronę?

Zmieszany roześmiał się głośno i nagle pochwycił jej rękę, powiedział:

— Ach ty, nie domyślasz się niczego? Nie możesz iść ze mną. Umówiłem się. —

— Ach, dlatego jesteś taki zaaferowany. Więc powiedz przynajmniej kto. Studentka? —

— Nie, skąd. Taka sobie. zwykła dziewczyna. Powiem ci innym razem Jasiu, muszę iść. —

I po raz pierwszy Janka nie mogła się ucieszyć jego radością. Odczuła wtedy taką żalność, jakby się rozstała z Bronkiem na zawsze, jakby miłość do „takiej sobie, zwykłej” dziewczyny musiała sprawić, żeby przypadkowa siostra stała mu się obojętna, jak gdyby ludzkie serce nie mogło pomieścić więcej niż jedno uczucie.

I to była druga przyczyna.

Podczas wspólnego powrotu do Staszewa nie zdolali przełamać tych lodów. Ale teraz, kiedy zobaczyła go niespodzianie, wydał jej się znowu nieoczekiwanie bliski aż do chwili, kiedy zaczęli rozmawiać.

Zadyszana zawołała: — Zobaczyłam cię zgóry, z młyna i pędziłam do ciebie.

— Ja też kręcę się tu, myślałem, że cię może zobaczę.

Serce jej zabiło złudną nadzieją. — Dlaczego?

— Jakto dlaczego, widziałem, że tu pewnie będziesz. —

Poszli razem nieoświetloną ulicą w stronę Rynku. Świecił znów księżyc i miasto oszczędzało.

— Powiedz mi trochę o niej — powiedziała Janka nagle.

— Nie dziś — bronił się. Pod rondem kapelusza promieniała jego szczupła twarz.

Przypomniała sobie swoje rozmyślenia i Wicka.

— Wiesz... — zaczęła nagle i namyśliła się znów.

— Widziałas Zygmunta? — zapytał żywo.

Twarz jej zapłonęła. — Nie.

Bronek pożałował pytania. — Kiedy tak biegłaś myślałem, że mi coś powiesz.

— Nie mówmy o tem — powiedziała chłodno.

Umilkli. Trzeba było wracać. Janka zaczęła się żegnać. Umówili się niejasno: w tych dniach...

Ale gdyby zatrzymała się chwilę dłużej, Zygmunt zastałby ich oboje. Spotkał już tylko Bronka, którego po powrocie nie widział jeszcze. Zwykle zdarzało się, że w przerwach Bronek pisał trzy, cztery listy, Zygmunt jeden, lub najczęściej wcale. Ale tym razem żaden nie pomyślał o tem. Pisało się może zawsze z trudem do Zygmunta, ale gadało najcudowniej w świecie.

Jakiś zamierzchły sentyment pozostał z czasów, kiedy barczysty wyrostek targał ramię dzieciaka: — Te, pędrak, laczego nie mówisz mi wujek?

Bronek zobaczył Zygmunta zdaleka. Żegnał się z jakąś dziewczyną. Nim podszedł bliżej, odeszła w przeciwną stronę. Ale Bronek przeraził się tak, że jego powitaniu zabrakło zwykłej serdeczności. Zygmunt zato poweselał. Kiedy rozgadali się, Bronek postanowił zrobić coś dla Janki. Ujął Zygmunta pod rękę. Przewyższał go trochę.

— Co słyhać? — spytał żywo.

— Słyszałeś o sobocie? Demonstracja była. Bezrobotni. Zasiłki wstrzymano.

— Coś mówił ojciec. Ale jak to on, niewyraźnie.—

— Burmistrza wyciągnęli, przyparli do ściany. Rozdano coś mąki i mięsa. Ale co dalej? Niema. Nie mają skąd wziąć. Ludzie postawili się pierwszy raz. —

— Tak — powiedział Broniek. — Kto poszedł?

— Wszyscy — rzekł Zygmunt krótko. — Ale co z tobą Broniek, źle wyglądasz? Pracujesz? Truda zawsze płacze, że tak rzadko piszesz do domu. Dlaczego? Przecie ta matka każdą twoją kartkę chowa jak świętość.

A teraz gdzieś latał? —

Broniek chciał go zaskoczyć nagłą odpowiedzią: — Widziałem Jankę.

Przez chwilę trwało milczenie. Ale Zygmunt przeciął oczekiwanie Bronka spokojnem, niechętnem pytaniem: — I co?

Broniek czuł żal za Jankę.

— Czy to się nie może naprawić? — spytał z niechęcią, jaką mają mężczyźni do wnikania w sprawy uczucia.

— Nic tu do naprawy niema. — Zygmunt nie unikał jego spojrzenia.

Wtedy załamała się taktyka Bronka. Obawa o sprawę Janki stała się trwożną pewnością.

— Nigdy już o tem nie myślisz?

— Nie można nic wymyśleć — powiedział Zygmunt — to się skończyło. — I zapytał jeszcze raz o pracę w Warszawie.

Ale choć rozmowa dotyczyła wszystkiego, co było ważne i bliskie, toczyła się gdzieś obok swych przedmiotów, urywała się i zakończyła przedwcześnie bez

odprowadzania, na ciemnej ulicy, przed sienią Kalińskich, odtracona i niewyczerpana.

Ale kiedy Broniek szukał kluczem zamku i wsłuchiwał się w oddalające się kroki Zygmunta, zaświtała w nim niebaczna nadzieja, wywodząca się z własnej, wewnętrznej radości, że zbyt dumnie, zbyt gorliwie odrzucali oboje myśl o sobie, żeby już wszystko miało być stracone.

Było w tem coś więcej niż prosta myśl o Jance, nadzieja, że ona wyjdzie sfamtąd, zespoli się z tymi, którzy jej byli bliscy, będzie jeszcze jednym kamieniem uratowanym z padającego gmachu i... klucz otworzył drzwi sionki...

Zawsze już tak było, że kiedy stary i Broniek razem w domu siedzieli, bieda jakaś przychodziła. I to z niczego. Po nocnej szychcie stary spał za przepierzeniem aż do południa. Wtedy Broniek zaczął z Łucką.

Trudzie w rękach garnki latały, kiedy sobie wspomniła. To Łucka gapowata! No i Broniek trochę był winien.

Broniek widział, że mała codzień po dwóch godzinach ze szkoły wraca. Rozpytał się i pokazało się, że w szkole na taką gromadę dzieciaków dwóch nauczycieli było, a że każdy oddział coś robić musiał, przypadało na jeden coś ze dwie godziny na dzień.

Broniek głośno wymyślał, że po małych miasteczkach niedługo wcale szkoły nie będzie i powiedział, że sam Łuckę poduczy.

A dziewczucha zwyczajnie jak dzieciak, posiedziała

z Bronkiem raz i drugi, a potem więcej nie chciała tej nauki. Rozkrzyczała się, choć zawsze taka cicha i mrukliwa, a Broniek też uparty, drzwi zagroził.

— Nie pójdziesz, — powiada — aż mi lekcje zrobisz.

A Łucka na to w bek.

Zanim Truda z kuchni uspakając ich weszła, już ojciec bosy, wielkimi krokami przyszedł zajrzeć, co się tu dzieje. Był śpiący i zły.

Trudzie serce zabiło, żeby awantury nie zrobił, bo, że za Łucką trzymać będzie, zgóry wiedziała.

— Co jest? — spytał, zapinając koszulę.

Broniek milczał, Łucka beczała.

Truda chciała jeszcze łagodzić. — Czego krzyczycie? Ociec spał. Ostaw ją, Broniek, a ty Łucka też nie zara musisz beksać. —

— Ostaw jum! — rzekł gniewnie Kaliński.

Oczy mu zaświeciły, podszedł do Bronka i rzekł zaczepnie: — Czego chcesz od niej? —

— Chciałem, żeby się uczyła. Ze szkoły niewiele ma. Na nauczycielach oszczędzają. Codzień dwie godzinki. —

Truda tymczasem nieznacznie Łuckę na dwór wypchnęła i wyszła na podwórze, żeby sami się uczyli. Wołała za kurami, zajrzała do prosiaka i skubała ziarna słonecznika, a ręce jej latały. — Żeby tylko nie jaka awantura.

Czasem cichy, stary mruk zjadował się aż strach. Zółe jakaś była w nim skryta z tamtych dawnych czasów, kiedy nocami na łóżku leżąc udawała, że śpi, a on jęczał, jakby niezmierne ciężary dźwigał.



Suche, twarde ziarna leciały jej przez pazę. Nie wytrzymała. Na palcach weszła znów do kuchni i co-raz to do drzwi pokoju się zbliżała. Przez szparę widziała tylko część orzechowej szafy i plecy Bronka. Stał jak przedtem. Ale nie krzyczeli. Stary tylko gniewnie mówił:

— Więcej nauki jak w szkole jej nie trzeba. Dosić, że sam uczony jezdeś. Dziewczynę ostaw, — i trzaskał palcami.

A Broniek załękł się, czy co. Dość, że ani pary z ust nie puścił. Ino wciąż kiele tej szafy.

— Kiedym ja dwadzieścia lat miał, trzy lata już na siebie robiłem. A ty? Na uczoną córkę mnie już nie stać. —

A Broniek nato. — Możeby to i lepiej było, żebym do gimnazji nie szedł i dalej. Ojciec ma rację, ale tyle już się lat straciło. Szkoda przerwać. —

Ze jej to serce nie pękło. Stary coś niewyraźnie mrucał pod wąsem, a chłopak wciąż jeszcze mówił: — Już skończę. Nie ma sobie, co potem obiecywać, ale jakoś dowlokę. I teraz posyłać też nie potrzebujecie, przetrzymam...

Tak mu tłumaczył, a nią aż zatrzęsło, że chłopak taki pokorny, bo jej toby się zara pewnie postawił hardo. Już chciała wejść i powiedzieć poprostu, że to z jej własnych wniesionych pieniędzy Broniek naukę miał, ale jeszcze nasłuchiwała, gniotąc w palcach spódnice.

— Nie żaden wielki pan jesteś — rzekł ponuro stary.

— Pewnie, że nie. Pamiętam, że robotniczy syn

jestem, przypadkiem tylko kształcony. Dlatego uczyć się chciałem, żeby to nasze życie poprawić. —

Truda przychyliła się całkiem do szpary i widziała starego jak węży na palec nawijał, to znów ciemne, szerokie ręce z wystającymi kostkami o siebie pocierał. Nie gadał nic, a w niej samej zawziętość jakoś się skruszyła.

— Nauka to ważna rzecz dla nas — powiedział Broniek. — A do nas nie dochodzi, ochłap rzucony i dosyć. Tak jest w szkole u Łucki. Co dziewczyna ma baki zbijać? Niech się nauczy czegoś, dopóki tu jestem. To jej się przyda. Przecie nie chcę jej krzywdy. Niech na człowieka wyrośnie. Siostra.

Krzesło odsunięto od stołu. Truda gwałtownie od szpary we drzwiach do kuchni umknęła i przystawiała prędko pusty garnek.

Stary wyszedł ciężkim krokiem do kuchni i powiedział, że jej drewek narąbie. Wziął wyostrzoną siekierkę i zaraz z pieńka na podwórzu rozległo się stukanie. Rozbijał szerokie, wilgotne szczapy z jednostajnym łoskotem, pochylony w koszuli i starej kamizelce.

Drzewo stukało głucho do wtóru: — Nie własny, a jak swój, jak swój...

Mijał drugi tydzień pobytu młodego Milewicza w domu Brandtów. Dom przepełniło oczekiwanie. Pani Ania zjawiła się osobiście w kuchni. W blaszanym cebrzyku pływały srebrnołuskie leszcze. Na wypadek zaręczyn trzeba było i o tem myśleć.

Nikomui nie powiedziano nic. Pani Ania nie zwie-

rzała się służbie. A jednak Aniela, pokojówka, z własnej inicjatywy smarowała i szczotkowała schody i trzepała czerwony, kokosowy chodnik. Wieczorem mówiły o tem z kucharką.

Ciemny orzech schodów połyskiwał jak politura po obu stronach czerwonej smugi chodnika. I schody czekały aż staną na ich stopniach uskrzydłone stopy młodej pary.

Nikt nie wiedział, nikt nie powiedział dlaczego, ale oczekiwano właśnie we wtorek. Bo już w najbliższy poniedziałek miał jechać.

Jeżeli zawiadomić rodzinę we środę, to w niedzielę można by wyprawić zaręczyny.

Ale nikt nie ośmieliłby się powiedzieć tego głośno. Ponieważ takich spraw nie oblicza się. Tylko dla siebie. Dla świata nie podlegają cyfrowym ustawom.

Wtorkowy dzień był wspaniale słoneczny. Już od rana pokoje zdobne w słoneczne blaski przybrały odświętny wygląd. Mały chłopiec, który przyniósł na sprzedaż pierwsze pręty wierzbowych kotków, pozbył się wszystkich u Brandtów.

Sterczały uroczyście w wazonach. Tylko Janka i Wicek, każde z oddzielną przeżywało swój powszedni dzień.

Wicek oddawna upatrywał już odpowiedniej chwili i dzisiejszy dzień mógł tak samo zostać wybrany jak poprzedni. A jednak dziś właśnie powiedział do Janki:

— Chciałbym zobaczyć okolice. Czy możemy dojechać do rozporządzenia jakiś środek lokomocji? Szczę-

śliwie umiem korzystać z każdego. Samochód, bryczka, rower? —

— Chyba samochód. Ja też kieruję. Możemy jechać. —

O czwartej po południu zeszli oboje w szarych, sportowych płaszczach. Kucharka z wyżyny okna orzekła, że to jest „cacowana“ para.

Przed furtką willi stał Stude Baker Brandtów koloru kawy ze śmietanką.

Przy każdym oknie za firankami ktoś krył swoje oczekiwanie. Za ciemną storą gabinetu Brandta załamały się ręce i złączone opadły na parapet okna. Niegdyś i jego małżeństwo wyglądało, zrównało wiele brózd. Ale czyż on mówił tak jak Janka? A jednak to małżeństwo byłoby najlepszym środkiem dla uśmierzenia jej wybujałości.

Janka z zalem ustąpiła kierownicę Wickowi. Miała niejasne poczucie, że czarne koło w ręku pomogłoby również do nadawania zwrotu rozmowie. Skierował wóz przez jedyną szeroką ulicę i Rynek. Skręcając w wąską uliczkę minęli młodą, ładną dziewczynę. Była uczesana w drobno zakarbowane loczki.

— To jest Lila — powiedziała Janka — moja pierwsza koleżanka, jaką sobie sama znalazłam. Widywałam ją zawsze, ile razy zostawałam przed domem. Mieszkała wtedy naprzeciwko nas. Sliczna, nieprawda?

— Ładna — rzekł Wicek wstrzemięźliwie, jak przystało na konkurenta.

— Za ładna — powiedziała Janka — i zanadto

lubiła szmatki. Kiedy nikt nie widział przymierzała moje kokardy i pantofle.

— Wygląda dosyć trywialnie — stwierdził Wicek szczerze.

— No tak. Oczywiście. Zdobywa sobie swoje szmatki w jedyny dostępny dla siebie sposób. —

— Hm. Chyba jej już nie widzisz? —

— Rzadko. Ucieka. —

— Nie powinnaś się stykać z taką dziewczyną. Dla mnie sama myśl, że mogłabyś być z nią chwilę jest przykra. — Serce zabiło mu mocniej. Może teraz pora? —

— Dlaczego? —

— To jest taki brud, muszę użyć banalnego wyrażenia. —

Czy używa kiedyś innych? — myśli Janka. Brud. Jak bohater sentymentalnej powieści. O ty moja anielsko czysta...

Przed auto w dal wybiega prosta, szara szosa. Z obu stron bieleją kamienie. W słońcu stoją nagie drzewa, ale nagość ich jest radosna jak nagość nieupierzonych piskląt. We wsi na płotach leżą kolorowe pierzyny, na sznurach dygają w wisielczym tańcu rękawy i nogawice bielizny.

Wicek widzi w lusterku nad kierownicą Jankę. Jej profil zwraca się ku niemu, pociągła, szczupła twarz, bardzo jasna cera i rzęsy nad niebieskimi oczami.

U licha. Dlaczego tak trudno jest pochylić się z za kierownicy, pocałować, lub poprostu ująć jej rękę. Poto przecież jadą we dwoje.

Wicek zgadza się na małżeństwo. Nietylko dla-

tęgo, że wzmocni pozycję pana na Węgorzynie. Janka sama jest młoda, ładna, nie do pogardzenia. Ale brak jej czegoś. W słowach, w spojrzeniach, które zwraca ku niemu, najmniejszej chęci podobania mu się. Tej chęci, która tak znakomicie budzi skryte pragnienia. Przecież nie jest za młoda? Może zbyt jednostronna, trochę bas bleu. Brak zalotności Wicek odczuwa jako wadę.

Ot, przechyl się, wyczałuj pannę, która ci opowiada wspólny epizod z dzieciństwa z dziewczyną, która dziś jest prostytutką. Albo pyta o system hamulców w twojej maszynie. Ostatecznie zaczyna być w tem coś z wymykania się, bo Janka musi rozumieć, poco młody człowiek przyjeżdża na tak długo, tak daleko, do maleńkiego miasteczka.

— Popatrz, jaki śliczny las.

— Tak — mówi Wicek i w nagłej decyzji patrzy jej w oczy, jakby potwierdzenie odnosiło się do czegoś zupełnie innego.

Trudno dostrzec czy zarumieniła się. Patrzy na drzewa i mówi: — Same brzozy. — Jak błyszczą w słońcu. Jak srebro.

I w słońcu przed nimi naprawdę stoi srebrzysty las. W niżej położonej części drzewa u korzeni toną jeszcze w wodzie. Samochód zatrzymał się ze zgrzytem.

— Zejdziemy? —

Janka pierwsza wskoczyła na szosę. — Jak sucho — rozkoszowała się obeschłą już ziemią.

Przeskoczyli rów i ostrożnie szli po rozmiękłym

gruncie do lasu po szeleszczącym pokładzie zeszló-  
rocznych liści.

Las był biały od brzoź, rdzawy od liści i mchu. Droga przed chwilą rozpędziła smutek Janki. Raczej przesłoniła go. Łagodnie ukoili oczy szare, przestrzenne pola z zieleńjącą runią. Widziała ją jeszcze wciąż, rozległą płaszczyznę w słońcu i patrzące z niej sadzawki, wielkie kałuże po wiosennych roztopach, migotliwe jeziorka z pomarszczoną falą, lub senne zadumane pod zieloną rzesą, oczy pomorskiej ziemi.

Nawet na leśnych drożynach stopy ich zapadały głęboko w mokrą, lepka ziemię.

Mówili wciąż o tej młodej, wiosennej pogodzie, ale rozmowa daleka była od zwykłego spokoju innych, podobnych.

— Nigdy jeszcze nie widziałam lasu taką wczesną wiosną — powiedziała Janka, ale długo czekała na odpowiedź.

Wicek zaczerwienił się. Zacisnął zęby. Postanowił. Dosyć było tego błędzenia koło niewypowiedzianych słów.

Przed nimi zaszklila się wielka, płytka kałuża. Janka chciała ją przeskoczyć.

Usłużna, zdecydowana ręka pomogła, obejmując ją. Już kałuża została za nimi, ale ręka nie zwolniła uścisku. Wicek odczuł nagle miłą, ciepłą pewność. Więc już.

W przeczuciu tej pewności można było sobie pozwolić na maleńką zemstę, kazać jej teraz poczekać krótką chwilkę. Ale przy najbliższym drzewie Janka schyliła się nagle nad puszystym mchem.

— Popatrz na moje pantofle. —

Rzeczywiście błoto oblepiło je, stały się wielkie i niekształtne.

— Nie będę mogła tak chodzić dłużej.

— Chcesz już wrócić?

W tem pytaniu była nieoczekiwana ulga.

— Tak, wracajmy. Ale ładnie tu było, prawda?

Nici ich rozmowy stargały się po raz ostatni. Szli pochłonięci wydobywaniem stóp z lepkiego błota. Na szosie już blisko połyskiwał samochód. I nim można było zwyciężyć to uparte, gnębiące milczenie, o które bezsilnie odbijały się rzadkie, wymuszone słowa, już byli w samochodzie i Janka usiadła przy kierownicy.

— Pozwolisz mi tym razem, prawda. Mam taką chęć. —

Zgodził się natychmiast uprzejmie. Janka pochwyciła kierownicę.

W milczeniu maszyna nabierała rozpędu. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt.

— Zdaje się, że jeździsz lepiej niż ja? — spytał i czuł o to nieokreśloną urazę.

— Znam te drogi. —

Tachometr wskazywał siedemdziesiąt. — Zwolnić? — spytała.

— Nie. —

Oczy jej nie odrywały się od drogi.

— To takie wspaniałe uczucie pokonywać coś.

— Wiem — odrzekł i zwierzył się jak koledze. — Pokonywa się rzeczywiście. Czujesz, że wszystko się sprzeciwia, opór samochodu, droga, własny strach i to można zwyciężyć.



Osiemdziesiątka drżała pod strzałką wskazówki. Potem wskazówka chwiejnie ominęła ją.

Oczy Wicka nie opuszczały zegara. Żal, że sam nie pomyślał o takim brawurowym biegu mieszał się w nim z podziwem, ale ten podziw był jednocześnie niechęcią i młoda dziewczyna, z którą wyjechał przed godziną, żeby wrócić z nią przytuloną do siebie, była mu tak bezpowrotnie daleka, że wiedział już: nigdy... i kiedy podniósł oczy przed szybą samochodu migotały w słońcu czerwone wieżyczki kościoła i dachy domów Staszewa.

Rynek i długa ulica były pełne spacerujących. Była siódma, po pracy. Samochód drgnął i zatrzymał się. Byli już przed willą. Wysiedli.

Przykrość świadomości, że to, co miało być nie stanie się, nie mogła dotrzeć do uczucia Wicka. Był żal i była... ulga.

Na pierwszym piętrze, w stołowym pokoju biała na stole adamaszkowy obrus. Nakrycie codzienne wyczyszczono jak srebro. Wszystko napozór niezmiennione zdradzało oczekiwanie. Pani Ania kilka razy obejrzała zastawę. Od stołu wędrowała do okna. W oczach i w gardle wzruszenie łaskotało ciepłem łez.

Chwilami czuła się już babką i kiedy z wysiłkiem przyzwyczajała się do tej myśli, jakgdyby to miało nastąpić jutro, widziała nagle w szybie, w lustrze swoją młodą jeszcze, świeżą twarz i błyszczące oczy.

Wtedy skradały się nagle, szalone, nierozsądne plany wyjazdu na lato gdzieś daleko i... pani Ania

z oburzeniem przypominała sobie, że to dziś zaręczy się jej jedyna córka.

Stała właśnie przy oknie, kiedy przed sztachetami zatrzymało się auto. Wyszli z niego swobodni, daleko od siebie. Z twarzy ich niepodobna było wyczytać nic na wysokość piętra.

W ciągu godzin, które minęły od wyjazdu Janki dyrektor Brandt zrozumiał, dlaczego więzienie jest najokrutniejszą karą. Był bezczynny. Nie mógł się niczem zająć, tak, jakby mu zabrano wszelką możliwość pracy.

Rozmyślał tylko wciąż nanowo czy to się mogło stać? Wyrastały groźniejsze od wszystkich słów, jakie kiedykolwiek wypowiedziała Janka, słowa pijanego rybaka. Można się było dowoli poddawać sugestji pozornego spokoju tego domu i tej młodej dziewczyny, niebezpieczeństwo było. Żyło, kryło się w Jance, jego córce, choć może ona nawet nie wiedziała o niem.

Warkot motoru na dole przyniósł bolesną ulgę. Pewność jakakolwiek była blisko.

W stołowym było bardzo jasno. Przez pomyłkę zapalono więcej lampek. Stół wyglądał odświeżenie. W kredensie pękata butelka konjaku i druga smukła białego sauternu czekały na hasło. Pani Ania zobaczyła ich pierwsza. Nie powiedzieli nic, ale ukryte przeczucie szeptało jej, że przy deserze dopiero powiedzą.

Potem wszedł uśmiechnięty Brandt z bladą, żółtawą cerą (jak ten Wiktor starzał się ostatnio) i zapytał jak było na spacerze?

Wicek powiedział: — Prześliczna okolica. —  
a Janka dodała: — Las jest cudowny na wiosnę.

Od tej chwili kęsy w ustach Brandta stały się wielkie, jałowe, niemożliwe do zżucia. Przestał oczekiwać. Przeczucie pani Ani doznało również zachwiania.

Rozmowa kapiała ubogiemi zdaniem, urywała się, obnażała co chwila trwożne pytanie:

— Więc nie stało się nic, zupełnie nic?

Kiedy Brandt nieostrożnie rozlał sodową wodę na obrus, każdy przyjął to z ulgą. Odsuwano nakrycia, suszono serwetkę, można było zrobić jakąś uwagę, uśmiechnąć się. Dopiero pod koniec kolacji nastąpiło ożywienie. Inne niż spodziewano się.

Pani Ania pragnąc nawiązać rozmowę powiedziała:

— Witku, co było dziś z tym robotnikiem? Co się stało z jego nogą? —

Spojrzenie Brandta skierowane na żonę było zimne, prawie nienawistne. Kobiety! Ania wmawia sobie, że z cudowną zręcznością prowadzi rozmowę. Jej wyobrażenia o życiowych konfliktach! I odpowiedział spokojnie:

— Stopa opuchła. Żadnego złamania. Deska przygniotła mu nogę. —

— Komu to się stało? — spytała Janka.

— Gorzelańskiemu — odpowiedział ojciec i poczęstował Wicka papierosami.

— Właśnie odwieziono go bryczką do doktora, bo wyście mieli samochód — objaśniła chętnie pani Ania.

— Ojcie — spytała Janka — czy jemu się płaci, jeżeli on nie przychodzi do pracy?

Bardzo powoli odrzekł Brandt: — Kasa Chorych płaci.

— Wysokość zwykłą dziennego zarobku?

Tak, była córką umiającego obliczać rodu Brandtów.

— Nie odpowiedział ojciec.

— To ciekawe. Wypadek przy pracy, człowiek odniósł skaleczenie, nie może przyjść wytrąca mu się. Może zamiast Chaty wuja Toma powinno się dawać dzieciom książki do czytania o życiu naszych robotników.

— Lekkomyślnie rozstrzygasz te sprawy — zawołał dyrektor Brandt unosząc się bardziej niż było trzeba.

— Nie trzeba mi może było dawać do czytania Chaty wuja Toma — odpowiedziała Janka.

Taki był koniec wieczoru. O czemkolwiek mówiono, jeszcze nie można było przestać myśleć o tem dlaczego Janka odrzuciła Wicka, lub Wicek nie oświadczył się Jance. Ale nikt nie był tak samotny i dotknięty jak Wiktor Brandt. Bo prócz gorzkiego żalu do tej niewdzięcznej, lekkomyślnej córki, nie można było nie kochać jej, nie cieszyć się jej żywotnością. — Ta zła, najdroższa dziewczyna — myślał i serce mu dolegało.

— Skąd im się wzięła taka córka — zapytywał się jeszcze Wicek i obawa, że to, co uczynił dotknęło jego matkę, zmniejszyła się.

Pantofle Janki, ciemno szare z cienkiej skórki

grubemi warstwami oblepiało leśne błoto. Zapomniała je zmienić do kolacji i teraz, wędrując po pokoju przypatrywała im się uparcie, bo zamykały w sobie wspomnienie popołudniowej wycieczki.

Od tego popołudnia rozbiła się ostatecznie przyszłość Janki, pani na Węgorzynie. Może jeszcze wczoraj przychodziło jej chwilami na myśl, że ostatecznie nie jest to takie niemożliwe, że w to życie wygodne, beztroskie, może jeszcze pokryte iluzją jakiegoś zajęcia, zamiłowania, można się było pogrążyć jak w ciepłe, senne fale, ale dziś już odrzuciła je i musiała znaleźć inne.

A on tam może teraz ciemną ulicą szedł w stronę bahofu z jakąś „pomorzonką” i może mówił z nią o trudzie życia, który chciał podjąć.

Oparła się o ścianę i stała tak, zmożona falą tęsknoty i pragnienia, która już znów opłynęła ją niespodzianie. I jak zawsze wtedy, wszystkie myśli o pracy o wyjeździe rozsypały się. Jedno było tylko, pragnienie. Odczuła nagle w swej pamięci niewidziane nigdy dokładnie, jego szerokie, silne dłonie.

Bo to było najskrytszą, bolesną prawdą, że nie tylko o inne życie chodziło i wspólność myślową. To był jeszcze on sam, którego brakło, on, żywy, pulsujący, bliski. Jego czułość i siła. Raz jeszcze pochwycała ją jak w kleszcze tęsknota do tej wycieczki, której nie było.

Sama odczuła nagle, że to był próg między jej pierwszym, nieświadomym okresem młodości, a nowym, nienazwany moment stawania się dorosłym człowiekiem.

Teraz zostawał już poza nią, w tej chwili poznała, że jest coś równie silnego jak wola ludzka, pragnienie.

Oparła o chłodną ścianę powtarzała sobie uparcie: praca, nauka — przyciskała głowę do gładkiego muru, żeby na gorących oczach i ustach odczuć jego zimny spokój, który nie mógł się stać jej własnym.

Obezwładniona pragnieniem fizycznego bólu, jakiejś dotkliwej męki wpijała paznogcie w dłonie i przerażona siłą tej męki, uderzała całą sobą o ścianę. Ale ściana była nieubłagana jak życie, lekceważące żar i moc pragnienia. Los, który dotąd wydawał się tak łatwy do ujarzżenia własną wolą, wyrastał nagle potężnie i odsuwał tę wolę jak niedołączny wysiłek owadu.

Jance przyszło na myśl, że trzeba coś było powiedzieć rodzicom. Że Wicek o nic nie pytał. Doprawdy było tak ładnie z jego strony, że za to samo wartoby go polubić, gdyby tylko nie był sobą, synem wielkiej działaczki.

Czerwony dywan na jasno oświetlonych schodach głużył kroki. Janka nie mogła się zdecydować do kogo wejść. Zatrzymała się przed drzwiami sypialni. Ojciec musiał jeszcze być w gabinecie. Było cicho. Uchyliła drzwi. Było ciemno.

Kiedy wsłuchiwała się w czarną ciszę pokoju z zasłoniętymi oknami, usłyszała senne westchnienie. Matka spała.

Janka poszła dalej do zamkniętych drzwi gabinetu ojca. Żaden szmer nie dochodził przez nie. Obawa przyjscia nie w porę zmroziła Jankę. Stała wciąż.

Z ojcem było trudniej mówić, domyślał się tak łatwo. Ucho jej pochwyciło nagle w ciszy pewien dźwięk. Kroki. Kilka naprzód i zwrot w przeciwną stronę. Nie miał spokoju, rozmyślał o czymś, wiedział już, że jego życzenie się nie spełni, może bał się o nią i w ciszy uspiętego domu szemrały jego niespokojne, strapione kroki. Co będzie?

Ale Janka sama nie umiała na to odpowiedzieć i dlatego cichaczem po czerwonym dywanie wróciła po schodach do swego pokoju i oparła się ciężko na kłamce. Czują dotkliwie jak w dzieciństwie swoją samotność.

Wicek wyjechał i o minionych nadziejach nie mówi już nikt. Przychodzi jeszcze widokówka, w której on pozdrawia, dziękuje, życzy... Potem ustaje wymiana listów. Janka tylko pocichu współczuje mu. Sądzi, że ciotka Róża mniej spokojnie przyjęła wiadomość o zawiedzionych nadziejach.

Wyobraża sobie, że broszka ciotki, prześliczny koszyczek brylantowych i rubinowych kwiatów trzepotał na ciemnej sukni. Ale myli się.

Wicek odrazu po przyjeździe wyznał wszystko. Powiedział, że nie. I wtedy tylko na małą chwilę koszyczek poruszył się.

— Przecież nie odmówiła chyba?

— O nie, ja sam nie pytałem o nic.

— Dlaczego? — matki było długie rozciągle, potępiające.

— Nie mogę. Poznałem ją bliżej. Jest miła, dobra, ładna, ale nie dla mnie. Brak jej czegoś. Może

kobiecości. Chociaż i to nie. Ale ona ma taki surowy pogląd na wszystko. Nie mogłem jednym słowem, choć chciałem.

— Mało kobieca? Doprawdy? Córka Ani i taka ładna dziewczynka. Nie jest piękna, ale przecież bardzo ładna. —

— Wolę już Borowiczównę. —

Była to łagodząca okoliczność. Zresztą to, co powiedział o męskości poglądów Janki przychodziło już jej na myśl podczas pobytu Ani z córką. Ale to byłoby nieważne, gdyby Janka została jej synową.

— Po kim naprawdę nie rozumiem... — zaczęła — w ich rodzinie wszyscy tacy udani... — i ostatnie słowo wypadło słabo, rażone pociskiem przykrego przypomnienia,

— Mój drogi, nigdy nie namawiałabym cię do niczego. Jak sam uważasz. Do Borowiczów możemy się wybrać z wizytą.

Koszyczek z rubinów i brylantów lśnił spokojnie. Gładko, pięknie uczesane włosy matki rozrzewniły Wicka.

— Mamo, muszę znaleźć taką żonę jak ty...

— Ach ty pochlebco — roześmiała się wzruszona.

Tak, Borowiczowie byli może jeszcze lepiej sytuowani, tylko trochę, trochę..., ale pani Milewiczowa poświęciła całe życie walce z przesadami społecznymi...

Najwcześniej, kiedy krzewy bzu mają dopiero maleńkie, zwinięte, jasno zielone listki i blade pąki, Staszewo widzi już kwiaty.



Malutkie, na cienkich łądyżkach żółtawe pierwiosniki i fijołki. „Fijałki“ — mówią dzieci, które je sprzedają.

Maleńkie wiązanecki leżą na miseczkach, albo w okrągłych koszykach. Bezlistny las jest jeszcze mokry i pełen błota, kiedy mali zdobywcy kwiatów wdierają się w jego głąb i wydeptują zanikłe przez zimę drogi, żeby spustoszyć liljowe kępki kwiatów.

— Po pinć groszy fijałki, panusia kupi.

Żółtawe, lub bardzo rumiane twarze, bose, brudne nogi i złachmanione ubranie o kolorze, którego nikt nie określi, ani zapamięta.

Bose stopy klaskają o bruk. Dziewczyna ma dziewięć lat, anemję, skrofuły, rozwiane włosy i sprytne oczy.

— Pan kupi fijałki dla ty śliczny narzeczony. Dwa za pientnaście.

— Śliczna narzeczono, weź te fijałki.

— Dziękuję — uśmiecha się Janka i bierze w palce dwie miękkie, skurczone wiązanki.

Bronek płaci „pientnaście“ i mówi: — Jak one się znają na psychologii, co? Narzeczona. —

— To te z Luksusu — mówi Janka i przypomina sobie swoje odwiedziny w barakach.

— Stulecie dziecka.

— A te fijałki — mówi Bronek — to na pożegnanie, jeżeli nie jedziesz w tych dniach. — Powietrze jest łagodne i ciepłe. Fijołki wędną rozgrzane w dłoni.

— Może nie pojedę wcale tymczasem — mówi Janka.

— Wcale, dlaczego? — Jakaś miła nadzieja powstaje nagle u Bronka i zwraca się do niej szybko. Ale ona odgaduje jego myśl.

— Nie, ty ciągle jeszcze nie wierzysz. Ale ja nie dlatego zostaję. Nie mogę się ostatnio „uczyć“. To brzmi tak nieściśle. Ale wiesz, ta literatura i gramatyka na uniwersytecie, wszystko wydaje mi się takie dalekie od życia i zbyt techniczne. Same abstrakcje. Zdaje się, że pomyliłam się. Ścisłe nauki, przyroda, może fizyka, odpowiadałyby mi bardziej. Muszę mieć najściślejszy związek z rzeczywistością. Dlatego ta praca nie daje mi już zadowolenia, tak jak na początku.

— Cóż ty chcesz robić tutaj?

— Muszę to przemyśleć. Chcę wyjść z domu. To jest pewne. Wrasta się w warunki, w których się żyje. Nie można być innym niż swoje środowisko, dopóki się w niem jest. Odejdę stąd zupełnie. Co ty o tem myślisz? —

— Nic. Jesteś w tem szczęśliwym położeniu, że możesz spełnić to, czego chcesz i przerwać, kiedy nie będziesz mogła sobie poradzić.

— I ty to mówisz?

— Nie powinnaś się obrażać. Nie rozumiem, jak to będzie wyglądało i w najlepszym razie, czy wytrwasz?

— Nie obrażam się — mówi Janka, ale przez chwilę trwa cisza.

— Ja wiem, że zrobię swoje i wiem, że w to jest bardzo trudno uwierzyć komuś, — ale sama nie jest tego tak pewna, jakby chciała.

— To dziwne, — mówi Broniek do tej niezwykłej

siostry — że ty taka jesteś właśnie. Skąd to się bierze? Jak to może być? —

— Bunt młodzieży — uśmiecha się Janka smutno.

Nocą w pokoju delikatnie pachną fijołki ustawione w szklance na stoliku przy łóżku. Okna są zasłonięte i w pokoju jest bardzo ciemno. Janka poznała bolesną sztukę bezsenności.

Leży i czeka aż zniknie noc. Wielu ludzi nie zna tajemnicy świtu. Przypadkowo, lub późno poznają narodziny dnia, nieuchwytny moment, kiedy w gęstej ciemności zjawia się rozrzedzenie. Poznają je w chorobie, w bolesnych, nieprzespanych nocach, albo kiedy wybierają się w podróż i wyjeżdżają ze swych ciepłych, sennych domów na pustą ulicę, w której noc dogorywa blado.

Ci, którzy nie budzą się przez sześć dni zimowego tygodnia o ciemno szarym mroku, uważają świtanie za coś niezwykłego. Łudzą się, że jest tajemnicze i niezbadane. Ale wielu zna najskrytszą tajemnicę, że jest zimne, żalosne, ponure jak okno otwarte na dżdżysty, beznadziejny dzień.

Myśli, które przychodzą o świtaniu mają jeszcze gorycz nocnych ciemności. Janka myśli o tych bliskich, od których chce się oddalić. Usiłuje uwolnić się od czerwonej willi. Od jej schodów, sieni, dróżki, która do niej wiedzie.

W dzień wszystko jest takie łatwe. Odejść, porzucić, rozpocząć własne, nowe życie pełne trudu twórczego. W nocy widziało się żal swoich bliskich,

ich krzywdę, której nie rozumieją nigdy i nłemoc własną.

Wtedy właśnie dostrzegła, że do ciemności pokoju, w której nawykłe oko widziało czarniejsze niż noc zarysy sprzętów, zakradła się już szarość brzasku.

Dlaczego nie spałam tej nocy? — pomyślała Janka. Czego bać się, czego żałować? Za szarzejącą szybą okna są ulice, ludzie tak w gruncie rzeczy podobni do siebie i bliscy i oni wszyscy wstają codziennie z nieuchwytną obawą przed nowym dniem, który sami budują.

Przymknęła na chwilę oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła wyraźnie jak rozpraszają się szare mgły nocy. Usypiając ze znużenia i wysiłku wiedziała już jak świta...

Kiedy rano Janka otworzyła drewnianą furkę ogrodzenia przy młynie, stał przy niej dozorca Kaliński, blady, roztargniony i nie zauważył jej wcale. Zabrakło jego zwykłego, pośpiesznego ukłonu i Janka namyślała się przez chwilę, co spowodowało roztargnienie w czujnej twarzy przygłuchego dozorcę.

Wychodząc minęła Kalińskiego przy rozmowie z Bronkiem. Zawołała go odruchowo głośno. Obejrzał się i wszyscy idący w tej chwili obok, obejrżeli się również. Na żadnej ulicy, w żadnym mieście nie woła niedostrzeżenie młoda dziewczyna młodego chłopca.

Janka zobaczyła bladeść i wzruszenie w jego twarzy. Patrzył na nią w jakiejś bezsilnej żałości.

— Co się stało? — spytała przerażona.

— Moja siostra... Łusia jest bardzo ciężko chora. Operacja jest konieczna. Ślepa kiszka.

— Tutaj? — przestraszyła się Janka. W domu nigdy nie radzono się tutejszego lekarza nawet w najprostszych sprawach. Nie wierzono w tych z głuchej prowincji.

— A gdzie? — spytał z rozpaczą.

— Bronku.

Oparł się na chwilę o ogrodzenie. — Zginie dzieciak — jęknął. Dosyć takich wypadków jest tu ciągle. Nie mają odpowiednich sił, narzędzi. Idę — otrząsnął się wreszcie. — To, co można, zrobi się — i nagle wybuchnął: — Ojciec szaleje. Ona jest dla niego jedyna... — Potem zamilkł znów i nie można było wiedzieć czego żałował w tej chwili więcej, małej Łucki, czy tego, że ona była staremu jedyna.

— Bronku, wywieźcie ją zaraz. Ja ci dam... powiesz, że od kolegi.

— Skąd weźmiesz? — spytał niedowierzająco.

— Mam.

— Trzeba dużo...

— Wezmę — rzekł krótko i spojrział na nią.

— Jutro w Toruniu, dam ci popołudniu.

— Zapóźno — zawołał rozpaczliwie.

— Zawieźcie ją, przywiozę wcześniej, przed południem. Przyjdę do szpitala, tak?

Jego ręka była sucha i bardzo zimna, kiedy zwolnił się jej uścisk. Janka, idąc nieuważnie przed siebie pomyślała: skąd?

Ale oszukiwała się sama. Wiedziała skąd... Było już ciepło i wiosennie. Resztki śniegu, którego nie zdążono sprzątnąć, zczerniały zupełnie. Drzewa były jeszcze bez liści, ale czuło się, że nabrzmiewają so-

kiem. O takiej porze nie powinna umierać mała Łucka.

Przy dwudziestych urodzinach Janki znalazły się na stole klejnoty w pudełku mamy. Janka myślała o nich teraz. Ojciec podał je wtedy matce z uśmiechem.

— Który? — zapytała pani Ania.

— Nasz zaręczynowy — powiedział ojciec, który był ostatnio często dziwnie uczuciowo nastrojony i matka wsunęła Jance na palec pierścionek z brylantem i perłą.

— Mój zaręczynowy — powiedziała z żalonym uśmiechem matka.

— Może go zatrzymasz mamo, — zaczęła Janka, ale urwała, bo matka zarumieniła się.

— Ależ Jasiu...

Odtąd brylant i perła jako nominalna własność Janki leżały oddzielnie w szufladzie matki w zamkniętym pudełku.

Zażądać, powiedzieć: chcę wziąć mój pierścionek — to było coś nie do pomyślenia. Dzieci mają w domach rodziców własność tylko do określonego użytku. Trzeba było poprostu wziąć, jeżeli pieniądze miały być w porę na jutro.

Kiedy rodzice wychodzili wieczorem, matka mówiła niezmiennie:

— Jeżeli ci są potrzebne klucze, leżą w koszyczku.

Pierwszy raz w życiu Janka skorzystała z tej wiadomości i wzięła je. Nie wiedziała tylko który. Serce jej biło głupio, nierozsądnie. Ofiarowali mi go na własność, powtarzała sobie.

W pokoju matki pod pomarańczowym abażurem światło było złociste. Jedwabista toaletka z jasnej brzozy miała malutki zamek.

— Może żaden z tych kluczy — przestraszyła się Janka.

Puder i delikatna perfuma matki, biały bez pachniały przy toalecie. Palce drżały, wsuwając klucze coraz prędzej w ciszy pustego mieszkania.

Ktoś mógł wejść. Dowiedzą się, ale niech potrwa dzień, dwa... Żaden z kluczy nie otwierał szafki. Klęcząc przy toalecie Janka przerzucała pęk coraz szybciej.

Za duży, za mały. Poczula pot na czole i w dłoni, która ścisnęła rozgrzane klucze. Przysięgła. Łuckę wywieźli po południu. W bezsilnym gniewie szarpała drzwi. Napróżno. Były zamknięte. Wtedy w ostatecznej rozpacz zaczęła próbować nanowo wszystkich kluczy.

Palce ślizgały się bezradnie po jedwabistem drzewie. Za tyłu drzwiami, ścianami, na całym świecie leżały niedostępnie zamknięte martwe, błyszczące skarby.

Kamyki, metale, mniej piękne niż lśniące, tęczywa mika w przydrożnym kamieniu i można było za nie kupować na wagę życia ludzkie, ale wszędzie strzegła ich niedorzeczna uczciwość i doglądała staranniej niż jakiegokolwiek żywego stworzenia na świecie.

Rozpaczliwie wytężone oczy Janki śledziły każdy kluczyk. Nareszcie jeden zadrżał w jej ręku. Zamek

ustąpił. Szuflada była odsunięta. Wzmógł się zapach białego bzu otoczył Jankę. W złocistym świetle lampy brylancik i perła zajaśniały na jej palcu. Jakieś drzwi na dole skrzypnęły. Porzucone klucze zadzwoniły w koszyczku. Janka przez całą noc dotykała go niekiedy od czasu do czasu, chcąc się upewnić, czy ma jeszcze przy sobie cenę życia siostry Bronka.

...— Dobrze — powiedział Bronek, biorąc z jej rąk zwinięte pieniądze. Wyglądał zziębnięty i niewyspany przy wysokim szpitalnym murze. Nie zapytał skąd. Nie dowiedział się nigdy jak trudno było je dostać w lombardzie od nieufnego urzędnika, któremu zostawiła adres i pokazała dowód osobisty.

— A jak twoja siostra? — spytała nieśmiało.

— Już po operacji, moja młodsza siostra... — powiedział i Janka odczuła uśmiech, na który nie zdobyły się mięśnie jego twarzy.

Kiedy wracała trzęsącym się autobusem do domu, przyszło jej na myśl, że nie uczyniłby napewno tyle, gdyby chora była ta starsza...

Może teraz dopiero zdobyła jakieś miejsce w jego sercu. Ale jeżeli Łucka wyzdrowieje za cenę brylantu z perełką to będzie przecież bardzo, bardzo tanio...

W tych dniach umarła stara pani Jerzmanowska. Wszystko stało się bardzo prędko. Pani Ania zawezwana depeszą wyjechała i wróciła już po pogrzebie. Przyjechała blada, niewyspana, zziębnięta najstraszliwszym chłodem bólu.

Wtedy Janka chciała być przy niej. Wiedziała



sama, że to mogły być jedyne dni, w których mogły się zbliżyć do siebie, zanim się rozstaną na długo.

Starła się przerwać milczenie matki. Zadawała nieśmiało pytania. Bo jeżeli powtórzyć powielekroć prostą, straszliwą historję śmierci, musi nawet ona utracić swoje okrucieństwo i niecodziennosc.

Janka była przy matce i pani Ania odczuwała, że córka chce jej ulżyć sobą samą, swajem istnieniem.

Patrzac na nią odczuwała jednak stokroć silniej swój ból. Oczy Janki zawsze takie poważne były przecieź niewiedzące. Nie znały tego. Własna córka nie może być powiernicą. Przecieź nie wolno wypowiedzieć rodzicom, że życie i śmierć są straszne. Jakże mogliby się wtedy usprawiedliwić, że wydali na świat swe dzieci? Muszą być wiecznymi optymistami.

Anna Brandt poznaje głębokie kłamstwo rodziców całego świata. Muszą zawsze wierzyć w radość życia.

Janka trzyma zimną rękę matki. Myśli, że straszne zdarzenia ostatnich dni powinny być wypowiedziane, żeby przynieść ulgę. Pyta czy bardzo cierpiała?

Matka patrzy na nią. Dziecko. Zdaje jej się, że wie tak wiele, wszystko...

— Nie — mówi i kłamie. To jej pierwsza ofiara macierzyńska i może ostatnia...

Pani Ania chce się przezwyciężyć. Krząta się po domu, co dawniej czyniła tak niechętnie. Mijały zawsze długie tygodnie nim robiła porządek w jakiejś szufladzie. Czasem tylko, zagnęła jak małą dziewczynkę, opadała ją chęć porządkowania i różnobarwne szmatki wypadały z szuflad, rozsiewając woń białego bzu, który przez cały rok kwitł w pokoju pani Ani.

Zabrała się do tego, ale praca sprzykrzyła jej się prędko. Chciała tylko ułożyć pudełka, które zawierały coś cennego. Musiał tam gdzieś być pierścionek Jan-ki, który odłożyła. Ale pudełko rozpadło się w drżącej ręce, wata uczepliła się sukni. Pierścionka nie było, choć rozrzuciła wszystko nanowo. Gorąca fala przerażenia opłynęła ją. Była zawsze taka roztargniona. Mogła go zarzucić, albo zapomnieć. Czuła się winna. Ktoś otworzył drzwi od pokoju obok. Nieśmiałym, ochrypniętym ze wzruszenia głosem zawołała: — Janko! --

W oczach jej było takie przerażenie, że Janka zrozumiała wszystko. Serce biło, kiedy zapytała spokojnym głosem: — Co się stało?

— Twój pierścionek... — matka była jak przestraszone dziecko.

— Ja go wzięłam...

Westchnienie ulgi było jednocześnie wybuchem gniewu. Bez uprzedzenia zabrać klejnot, którego na początku wcale nie chciała nosić! Obcość córki jeszcze raz uderzyła panią Anię.

Ale Jankę opanowała dobrze jej znana chęć powiedzenia prawdy bez obsłonek, choć można jej było uniknąć. — Zastawiłam go. —

— Oszalałaś, poco?

— Były mi potrzebne pieniądze.

Młoda, wypielegnowana twarz pani Ani zmieniła się w jednej chwili. Nerwy odmówiły jej posłuszeństwa, chciała zarzucić Jankę potokiem słów, chciała krzyknąć, potrząsnąć nią, przywieźć do opamiętania, ale zamiast tego mówiła same nieważne rzeczy i pod-

dała się wreszcie zupełnie, grożąc jej tylko, że w tej chwili zawoła ojca. Oparta o poręcz liljowego fotelu z przed toaletki Janka zbladła. Jeszcze przez chwilę chciała oszczędzić ojca z tą żółtawą, wrażliwą twarzą i oczyma, w których było całe jego wielkie uczucie, jedyne, jakie wypełniało jego serce.

— Ojciec jest chory — powiedziała cicho.

— Trzeba było o tem pamiętać wcześniej — krzyknęła pani Ania, pomyślawszy, że znalazła właściwą drogę.

Janka została sama w upakarzającym oczekiwaniu sceny. Nie czekałaby może, gdyby nie to, że ta rozmowa musiała być. Dlatego, szarpiąc liljowy adamaszek obicia, nadmiernie wyprostowana siedziała w nieładzie pokoju o pastelowych kolorach, którego łagodna atmosfera po raz pierwszy w życiu miała nabrznieć za chwilę goryczą ciężkich słów, które nie mogą zostać zapomniane.

W nienazwanej głębi serca bijącego niespokojnie pod powłoką uniesienia i wymuszonego spokoju, było zadośćuczynienie, że ostateczność jest bliska.

Matka weszła pierwsza i naturalnie płakała przez całą drogę. Ojciec był blady, tak, jak go sobie wyobrażała i powiedziała jedyne słowo, zdolne zachwiać spokój córki: Jasiu...

Ale przetrwał gwałtowne uderzenie fali tkliwości o swe serce, kiedy Janka zaczęła mówić, że zabrała to, co uważała za swoją własność.

— Zrobiłam z tego użytek najlepszy, jak umiałam — i ten jej upór skruszył w ojcu miękkość uczuć.

— I nie uważałaś za stosowne oznajmić o tem?

Wyjęłaś ukradkiem, kiedy nikt nie widział. To ma swoją nazwę — krzyknął.

— Powiedz odrazu, że ukradłam — rzekła Janka, sztywniejac — są też sposoby ścigania takich przestępstw.

— Moja córka... — pani Ania wybuchnęła płaczem i ten szloch przez dłuższą chwilę był jedynym dźwiękiem w pokoju.

— Jakież to szczytny cel? — spytał wreszcie Wiktor Brandt, poblady, z drgającą grdyką.

— Nie zdziwisz się, że nie odpowiem na tak postawione pytanie — powiedziała Janka, kierując się ku wyjściu.

Zdawało się, że na drodze, na której mogli się jeszcze połączyć po raz ostatni minęli się bezpowrotnie i Janka wracając do siebie po starych, lśniących schodach z zapachem terpentynowej maści godziła się już z tem. Ale Wiktor Brandt nie mógł uwierzyć tak łatwo, że można stracić swoją córkę.

To prawda, że była zacięta, uparta, wiecznie urażona za czyjąś krzywdę. — Dziecko — myślał pośpnie — ale skryte, trudne, może niedobre...

Odchodziła, wymykała się rodzinnemu domowi, pozostawiała go samego z zimnem okrucieństwem dzieci, twardem jak prawo przyrody i Wiktor Brandt wiedział z niezachwianą, choć niewytłomaczoną pewnością, że w jakimś obcym świecie, gdzie był jego obojętny syn, którego nie pragnął poznać, chciała się dopominać o stare grzechy cudze.

Kiedy zaś gorycz tych rozmyślań drażnił ciągle

gwałtowny płacz żony, powiedział do niej ostro jak nigdy:

— Może niesłusznie przesadzamy sami... — i pograżywszy głowę w dłoniach, zastygł w milczeniu.

Pani Ania nie przerywała go już słowem, ani szlochem. Była urażona. Nie pamiętano o niej, nie wczuwano się w jej rozpacz. A przecież najbardziej musiało to dotknąć ją, matkę...

Brysia Nastowa z najmłodszym dzieckiem na ręku całe popołudnie kręciła się koło Rynku. W powietrzu czuło się szarość, chłód i skrytą wilgoć nadciągającego deszczu. Znów lato się skończyło. Musiało się zawsze najprędzej kończyć, bo najlepsze. Dzieciaki w byle jakiej szmacie. Kartofle, warzywa zawsze się gdzieś znajdują. Woda w jeziorze, pod zamkiem plaża, na niej całe Staszewo.

Mogą se panie w zielonych, pstrych, kusych kostjomach latać, inni znajdą cobądź, a słońce, piasek i woda są dla wszystkich. Ale już niema lata. Znów muszą być szmaty i ciepła strawa i jutro jest jarmark. Jesienny. Dlatego Nastowa chodzi wciąż z małym Adamem, mówić jej się nie chce, ino patrzy jak w zmroku krydą wyznaczają miejsca na Rynku, ustawiają stoły, puste stragany i powoli zjeżdżają wozy.

Pierwsze są koszyki i drewniane statki. Zawsze już zjeżdżają w wigilję jarmarku. Jutro na brzegu, przy samej ulicy staną rzeźniki. W południe na małych, żelaznych piecykach zagotuje się kiszka i knobloszka. Brysię wspomnienie zapachu aż tchu pozbawia i drapieżnie wpatruje się w pusty Rynek, na

którym ludzie kreślą swoje miejsca. Kiszka i białe bułki. Słonina, mięso, pierniki i chleb. Brysię aż strach zdejmuje, że to tylko ciągle ma w myśli. Czy zaś nie? Ale pewnie nie... Dlatego przecież czternasty miesiąc już Adama karmi. Karmiącą tak łatwo nie chwyci.

Klockowa kobita idzie ku niej z małym koszykiem. Pomorskie kobiety nie noszą chustek. Klockowa ma na sobie pluszowe palto, które ze starości wygląda jak posypane popiołem. Bezrobotna też i nawet do prania nie chodzi. Za słaba.

— Będzie deszcz — powiada.

— Ten jarmark najwięcej w deszcz przyjdzie — mówi Brysia i wzdycha.

— Jarmark to, — mówi Klockowa — a kupić za co nima.

Brysia tylko ramionami rusza.

— Żeby chleba i mięsa, — mówi znów Klockowa — przyodziewku. Ja już bez butów jeźdem. Ale najpierw jeść potrzeba. — Patrzy w to miejsce, gdzie jutro rzeźniki będą, a Brysię znów męczy zapach kiełbasy, którego niema.

— Pada — mówi i idzie prędko do domu z Adamem. Chłopak płacze czegoś. Na to najlepiej dać skórkę chleba. Ssie i jest cicho. Byle mu dać ten chleb...

Wieczorem zaczął padać deszcz. Mgła powstała cienka, przezroczysta, a miejscami poszarpana ukazywała ciemne, bezgwiazdne niebo.

Potrochu zjeżdżały się wozy i autobusy. Były szczelnie zapchane ludźmi i bagażem. Paki i ludzie

waliły się na siebie. Wóz z wyrobami koszykowemi, który przyjechał pierwszy, mókł sobie już oddawna. Przy nim zwolna, ale doszczętnie mokli owinięci w grube szale i zrudziałe swetry ludzie.

Na ustawionych środkiem Rynku stołach przysiedli przyjezdni żydzi, zgięci, skuleni, żeby tak wytrwale moknąć przez całą noc do rana.

Po deszczu włączyło się do późna parę chłopaków. W knajpach dzwoniło szkło. Pod knajpami w gromadkach stali bezrobotni. Byli najbardziej wytrzymali na deszcz, bo zawsze włączyli się po ulicach, a ich mieszkania też dobrze były znajome z wilgocią.

W ciemności nocy żółte światła nielicznych lamp łukowych ledwie rozjaśniały ulice. Wozy i autobusy turkotały coraz częściej. Deszcz prószył lekko, ale ciągle o szyby domów, które miały jeszcze szyby. Takim samym szumem bił w małowe błony powstawiwane w barakach na Luksusie...

...Czerwone, niebieskie pierzaste koguciki, purpurowe pajacyki z pluszu, błyszczące tombakowe pierścionki i broszki, korale, zielone szmargdy, turkusy, opale, rubiny, topazy, brylanty, lusterka w srebrzystych ramkach, paski z klamerkami jak srebro, najpiękniejsze kolory świata, najradośniejsze połyski, nieosiągalne marzenia dzieciństwa, biżuterja jarmarczna. Przebiegły język dorosłych nazywa ją tandetą. Jakgdyby sami nie obarczali swoich palców szklistemi, białawemi brylantami, twardą, mętną zielenią szmaragdów, jakby nie zawieszali sobie u uszu, na szyi ciężkich naszyjników z najdziwaczniejszych kamieni. Potem z tajemniczą ironją odzywają się

o kolorach w skrzynce wędrownego kataryniarza, gdzie nad klejnotami czuwa najpiękniejsza złocisto zielona papuga, zdetronizowana księżniczka, przez zły los poniżona do swojej roli.

Jarmark ma tych klejnotów nieprzebrane mnóstwo. O nich marzą dziewczęta w małym Staszewie, gdzie niema wystaw jubilerskich.

Janka przyszła obejrzeć jarmark. Myślała o tem, że może nieprędko zobaczy go znów. Zamiar wyjazdu dojrzał.

Chciała pojechać do Warszawy sama, już nie do wspólnego z Madzią pokoju. Oczekiwała tego z lekkim i pewnością, że te dni, które otwierały się przed nią, zimne, samotne i może głodne, mogły jedynie stworzyć jakiś jej niezaprzeczenie własny udział w życiu.

Wiedziała dobrze, że kiedy stanie na dworcu sama, bez zwykłego podania adresu babki, już nie córka dyrektora Brandta, ale zwykła dziewczyna bez pracy, bez pieniędzy, o obojętnem nazwisku, porwą ją te fale, których bała się i pragnęła dla zrównania siebie z inną, powszechną dolą.

Przychodził lęk przed dniami straszącymi zimnym kątem, lichotą jedzenia, ubrania, czerwienią rąk, ale nic nie było tak silne jak pragnienie innego, własnego życia.

Przeliczając codziennie swoje skromne możliwości i talenty życiowe, Janka postanowiła wreszcie nieodwoalnie: za tydzień...

A tymczasem w pożegnalnym nastroju, w deszczowe przedpołudnie, wśród wilgotnych ubrań i plan-



dek przepychała się zwolna na Rynku między kolorowymi kwiatami z papieru i wielkimi obrazami świętych.

Mimo beznadziejności szarugi i błota, które pryskało na każdym kroku, odczuła zapomnianą radość dzieciństwa przy koralach, figurkach i barwnych naczyniach. Gwar tłumu, targi i śmiechy radowały bliskością ludzi. Zagubienie w masie, łączność z gromadą to było to, czego pragnęło jej uprzywilejowane, smutne osamotnienie.

Dopiero dalej, gdzie przy niskich skrzynkach zamienionych w stoły sprzedawali zziębnięci handlarze wilgotną pończochy fildekosowe, zgasła radość z blętego powodu, tak jak się zjawiała.

Brzydka, ospowata dziewczyna w palcie z baranowym kołnierzem, targując coś u obatulonego chłopca, skryła w jakiejś chwili zręcznie sznurek czerwonych koralów. Jankę ktoś pchnął w jedną stronę, potem w drugą. Nie można sobie stać na jarmarku. W tę, albo w tamtą stronę. A ona właśnie chciała rozstrzygnąć, komu bardziej potrzebny był sznur czerwonych kamyków, chłopcu z paciorkami przewieszonymi przez ramię, czy ospowatej dziewczynie, która na swoją niedolę chciała się komuś spodobać.

W dymie gotowanych kiełbas, przy zapachu świeżego pieczywa tłoczyło się najwięcej ludzi. Janka nie mogła tu wytrzymać. Wciśnięta między wilgotne pałta i kożuchy ludzi popychających stylu i przodu, wspinała się na palce, żeby odetchnąć i wtedy raptownie dostrzegła zdaleka znajomy zarys pleców.

Beźwiednie policzyła godziny. Naturalnie nie

mógł jeszcze być po pracy, ale to był on. To można zawsze wiedzieć nieomylnie i najpewniej, choć setki ludzi ma ten sam wzrost i takie samo palto.

Więc zmęczona i zniechęcona nagle, pozwoliła się ponieść w przeciwną stronę od rzeźników, do twardej, ciężkich butów i kozuchów, których wilgotna skóra wydawała mdły zapach. Oczy tylko czasem ukradkiem wracały do przeciwnej strony i poprzez tłum, przez pończochy, talerze, koszyki i garnki widziały wciąż, dziwna rzecz... swój cel...

...Chocia wciąż popaduje, w tłoku nie zimno. Jasiak Nast wchodzi w największy ścisk... Frechowny, jakby miał pełną kieszeń z pieniędzmi pcha się do butów, czapek, świtrow, aż wreszcie przystaje i choć go w różne strony ciskają, gapi się na krawaty. Krawaty w wielkim pęku trzyma na ręku młody żydek i śpiewa głośno:

— Dwa złote wartny, za złoty sprzedaję, a z okazji dzisiejszy za same siedemdziesiąt pięć groszy.

Jasiak ręką maca w kieszeni. Niby nie wie, że tam tylko czterdzieści pięć groszy jest, ale żeby dzisiaj krawat za nie kupić, chybaby mu w domu łeb skręcili. Tych czterdzieści pięć, to za kanapę. Dźwignął w zeszły tydzień u Majkowskich i pięćdziesiąt groszy dostał. Pięć, raz mama pożyczyła, ale reszty upilnował. Żeby się częściej co takiego trafiło. Drugi rok po szkole Jasiak lata, piętnaście skończył i już mu się przykrzy. A jak co zanieść to niechętnie mu dają. Że za mały, za chudy, a dużych tyle bez roboty

się kręci. Ma ta być spasiony. Na czym? Zaciął się i pokazał, że siły ma. Pół złotego w kieszeni.

Już chciał za nie do kina i na serdelki, albo papie-rosy, żeby się chłopakom pokazać, ale utrzymał i są. A krawaty takie tanie. I jakie! Jeden w siwe i modre pasy to naprawdę!

Jasiek łokciem przepchał się przez rząd bab z ko-szami z nabiałem i stanął zbliska. Krawat w koła czerwone z modrem i białem też fajn. Żeby jeszcze trzydzieści groszy. Popchnęli go ztyłu, cisnęli na-przód.

Ledwie ręką ruszył, coś się do ręki wcisnęło mięt-kiego, cieniuchnego jak jedwab. Palcami mógł na-macać wypukłe, czerwone z modrem koła w kieszeni.

Gorąc go oblał, zacisnął pięści w kieszeniach i na-przód wciąż, a wciąż parł przez baby, chłopów, stołki i statki, aż go jedna w bok z całej siły szturchnęła, że jej jeszcze talerze rozbije.

Choć nie taki zawsze cichy, Jasiek zamknął gębę i nic. Byle dalej. Przy samej ulicy dopiero stanął z suchym językiem i mokrą koszulą. W kieszeni ręka mokra, jak z wody, gorąca, gniotła głaciuchny krawat.

Deszcz popadywał chłodny, gęsty aż miło. Tylko nogi już prawie boso na mokrych kamieniach stały. Buty na nic.

Niedaleko, przy niciach, guzikach i takich nudno-ściach stała mama z Adamem w chustce. Do cero-wania nici oglądała pod światło jak brejlanty.

Kupowała szarą bawełnę, pasowaną do pończoch. Nosili je wszyscy od ojca do najmniejszego Adama.

Mama i Ela robiły je na drutach. Mocne były, ale twarde i grube jak łupiny kartofli. Palce obcierały się na nich, nie jak na tym miętym niedwabiu krawata.

Mamie lepiej pod oczy nie liźć. Zawsze pożyczczy pieniędzy. Przysięgnie na świętości, że odda, a potem szukaj se. Nawet i ojcu nie było się co podsuwać. Zaraz zapyta:

— Gdzie liziesz? —

Dlatego Jasiak wyminął ich zdaleka i poszedł drugą stroną, gdzie sprzedawali złocone figurki, koty i zabawki obok wielkich opartych o skrzynie kolorowych obrazów świętych. Mniej tam było tłoku, bo to już był sam brzeg Rynku i Jasiak mógł stać spokojnie, bez pamięci zagapiony gdzieś, z rękami w kieszeni wciąż, a wciąż dotykać swego krawata.

Cała rodzina Nastów znalazła się dziś na jarmarku, choć jedno o drugim nie wiedziało. Nast przeciskał się z innymi bezrobotnymi między kozuchami i paltami. Tam, gdzie szewce były, powstał najdłużej. Butów porządnych nie miał on, żona, ani żadne z dzieci. Zeby tak pieniądze były, z sześć par kupićby trzeba.

Nast stał, patrzył jak ludzie tłoczyli się, przymierzali na stołkach, wreszcie zmokły i zły poszedł dalej. Przy statkach spotkał sąsiada Malinę też bezrobotnego i tak stali razem, klęli czasy, ludzi i jarmark, na który połowa ludzi bez pieniędzy kupować przyszła.

Co im tam przyszło z tego dnia, kiedy obnosili po mieście hasła swej nędzy? Po dawnemu pracy nie było, a chleb był gorzki i suchy. Zamało go mieli,

żeby żyć a umrzeć jeszcze nie mogły ich do pracy i niedostatku zahartowane ciała.

Przy żydowskich kramach krzyczano najgłośniej. Ludzie pookręcali sobie głowy haftowanymi wstawkami i kolorowymi chustkami i tak wykrzykiwali głośno o cudach wilgotnej, jaskrawej tandety, która leżała przed nimi.

Nast zobaczył jak ryżemu żydkowi dziewczyna przy oglądaniu parę pończoch ściągnęła. Oglądali towar z wszystkich stron, każdy w rękę brał i choć ryżemu oczy latały, udało jej się.

Już Nast myślał zawołać: — Patrzajno kupiec! — Ale ścichł — przecie żyd...

Złość go brała na dziewczuchy, co z letkiego chleba żyły, a później jak panie kupować szły i tyle wzięły, co ukradły.

Zły na cały świat i siebie, laźł za Maliną przez błoto. Malina pociągnął go do stolika, gdzie chudy, lichy ubrany człowiek, mówiący kunsztownym językiem pokazywał nadzwyczajną grę. Jak wrzucić białą kulkę do dziurki można wygrać dwadzieścia groszy. W gromadce, która stała koło stolika, jedni już wygrywali. Nast i Malina zliczyli swoje pieniądze.

Malina wstawił dwadzieścia groszy i wygrał drugie, potem trzy razy, raz po razie przegrał. Aż się spocił. Ale kiedy się chciał odegrać nastąpiło nagłe zamieszanie.

Chłop przy stoliku zdaleka kogoś zobaczył, kulki w kieszeń, stół pod pachę, zakręcił się i tyle go widzieli.

Nie było już czego szukać na jarmarku. Po uli-

cach włóczyło się pełno chłopów. Ci, co sprzedali już bydło, popili się według zwyczaju, a teraz głośno i szeroko szli środkiem jezdni i wykrzykiwali. Ale najwięcej takich było, co jak Nast i Malina kręcili się napróżno i jarmark im tylko na myśl przywodził, ile im brakło do najzwyczajniejszego ludzkiego życia, ile rzeczy leżało wszędzie tak blisko, że prosiły się do użytku, mogły się zleżeć i popsuć z nadmiaru, a ruszyć ich nie było można.

Już dobrze popołudniu było, deszcz ustawał, na Rynku między kramami zapełniło się tak, że ledwie bokiem się przeciskano, kiedy na którymś miejscu stragan się obalił. Pospadały pałta, kożuchy, ludzie się zlecieli i krzyk się podniósł, jakby dzwony były. Przy żydowskich kramach pośpiesznie pakować zaczęto, a wśród chłopaków ktoś krzyknął nagle:

— Bić Żydów! —

Wtedy ludzi się zewsząd posypało jak maku. Jasiek Nast nanowo gorąc w piersi poczuł i z innymi pędem skoczył naprzód. Krzesła i stołki już fruwały w górze, krzyki jak noże przecinały powietrze, ale Jasiek naprzód parł w stronę butów. W ścisaku deptał po swetrach i gałganach, ale oczy miał tylko dla butów. Koło niego walili ludzie, czem się dało. Przebiegały drogę uciekające żydówki z walizkami i dużymi brudnymi kartonami zasznurowanymi w pośpiechu i patrzyły błędnie ze strachu oczyma za siebie, gdzie zostali ich mężowie i bracia przy reszcie towaru, umykając jak mogli od ciosów lasek i pięści.

Ale nietylko Żydom się dostało. Każdy chciał być pierwszy i leciał ślepo naprzód. Wśród talerzy i garn-

ków skakał Jasiak, nie sam, bo wszyscy, jakby się zmówili, w tę samą stronę do kielbas, chlebów i butów biegli nieprzewartą siłą gnani. Wiejską babę razem ze stołem ze słodyczami przewrócili w biegu z całym kramem. Posypały się kolorowym gradem cukierki, ale ktoby je myślał zbierać. Zdaleka, przed oczyma biegnących, buty jak wielkie, czarne ptaki fruwały w powietrzu.

Szewcy, krzyząc, na gwałt pakowali co mogli. Jaśkowi wałek koło nosa przeleciał, ale on ręką krew obtarł i skoczył w sam tłok. Jakiś but się nawiniął, babski, bez pary, odrzucił go.

Ktoś pchnął go z całej siły, przewrócił, Jasiak wrzasnął dziko i rękami zaraz się w górę dźwignął.

Szewców ani butów już nie było, inni przyszli pierwsi.

Jasiak wstał jak połamany. Razem z innymi machinalnie wtykał w kieszenie jakieś kieszki i bułki, widział jak lamentowali żydzi i jak płakała głośno wiejska baba, której skradli pieniądze i taki był oszłomiony, że nawet głodu nie czuł do tych wszystkich smakołyków w kieszeni, choć już dawno czegoś podobnego nie jadł. Potem zobaczył jak się panna Brandt razem z innymi pchała, jak ją niemiłosiernie szturchali, a ona z całą siłą opierając się tłokowi, który ją naprzód parł, krzyczała głośno. Ale co? Sporo czasu upłynęło, nim ją Jasiak zrozumiał, bo mu się zrazu zdawało, że to trudne, pańskie słowa, uczone jak kazanie. Ale nareszcie przecież dziwić się zaczął, kiedy zawołała, że biedni ludzie jedni drugich rabują, jeden drugiemu lichy kęs zabiera. Biednemu

szewcowi, handlarzowi, co tu na deszczu całą noc przemókł i wymarzył, a sanę tyle ma, co przed nim na płachcie leży. Tak krzyczała cienkim, zachrypłym głosem i wiatr targał jej jasne, przemoczone od deszczu włosy. Dopiero, kiedy Zygmunt Jezior do niej podszedł, powoli i wyraźnie na cały Rynek krzyknął, że tem się nie pożywią, co dziś biedakom niewiele od nich bogatszym zabiorą — i w spokoju, który nagle nastał, wiedzieli wszyscy, co chciał powiedzieć i że miał swoją rację.

Od tych krzyków i wołania uspokoiło się na Rynku, zresztą opustoszał już od kramów, ale wszyscy, co stali, zapalili się nanowo i gorąco między sobą świeże zdarzenia roztrząsali.

Tylko w Jaśku coś się poruszyło, jakby się nagle ważności życia i walki domyślił, przycichł w sobie i z obwisłymi rękami wyszedł z Rynku.

Takiego jarmarku nie pamiętali w Staszewie ludzie.

Na pobojuwisku talerzy, krzeseł i zgniecionych, podeptanych cukierków, pierników, zabawek i zakurzonych strzępów uganiały się dzieci. Zjadały ostatnie ocalałe w kurzu cukierki. Kupcy wkoło Rynku wymyślali od nicponiów i zbójów bezrobotnym. Prawda, wielu z nich miało dziś cichy bal, chleb i kiełbasę.

Janka obok Zygmunta opuszczała Rynek. Handlarze bydła, opaśli, wielcy wytaczali się z knajp, spóźnieni widze minionego zamętu. Wozy naładowane czubato, z ludźmi chwiejącymi się na skrzynkach i walizkach wyjeżdżały pośpiesznie w stronę dworca. Wielkie autobusy i ciężarówki huczały po kamieniach.



Ludzie płynęli ulicami po słomie, papierach i stłuczonych naczyniach. Deszcz zaczął znów padać.

— Dawno cię nie widziałam — powiedziała Janka cicho.

— Myślałem, że nie zobaczymy się wcale — odrzekł i znów szli po chrześzczącej słomie, popychani przez przechodniów.

Ale Janka chciała mówić. Po długich tygodniach milczenia wyzwoliły ją wreszcie jej własne, głośno powiedziane słowa i tak się stało, że wraz z niemi, już wtedy, kiedy jej się wydało, że potrafi przeboleć własną sprawę, przyszła nanowo radość i pozwoliła odczuć, jak bardzo była upragniona, nigdy niezapomniana zupełnie.

— Dlaczego nie chciałeś mnie wtedy wysłuchać? — zapytała tak, jakby rozstali się wczoraj.

— Dziś chcę słuchać — uśmiechnął się i twarz pojaśniała mu w uśmiechu, że nie było jeszcze za późno.

Któs popchnął ją. Zygmunt przytrzymał jej ramię i nie puścił go, kiedy poszli w stronę koszar cichszą, nawpół polną uliczką.

— Tak długo, nie myślałeś, nie pamiętałeś wcale.

— Wtedy to było niemożliwe i sam nie sądziłem, żeby jeszcze kiedyś mogło być, ale myślałem dosyć, wiesz sama... —

Wiedziała nagle. To były znów te oczy ciemne, najmiłsze, rozżarzone uczuciem i pragnieniem, więc krew, która tak wolno krążyła w żyłach od dni, rozlała się nagle po nich najżywszym płomieniem. Jak gdyby teraz dopiero dowiedzieli się o swej tęsknocie.

— Postanowiłam wyjechać z domu — rzekła Janka — nie mogę tu zostać.

Ręka, która przytrzymała jej ramię, przycisnęła je silniej.

— Ale ja tu zostanę, bo muszę — powiedział swym niskim, równym głosem.

Spojrzała na niego. — Myślałam o tem bardzo wiele. Niema innej rady dla mnie jak ten wyjazd, żeby coś poznać i nauczyć się czegoś. —

— To pojedziesz, — rzekł Zygmunt, — a ja zostanę.

— I co dalej? —

— Wrócisz. —

Popatrzała zukosa na jego wychudłą w ostatnich miesiącach twarz o silnych szczękach. Odczuwała głęboko tę prostotę myśli, którą on odziedziczył po swoich. Rozważała to. Życie zaczynało się nanowo i nie było nic strasznego w tej rozłące. Pojęła, że to chciał powiedzieć i to, że ona sama musiała odbyć drogę, którą on odbył niegdyś.

Ona musiała wyjechać tak, jak on musiał zostać, ale czas i dal wydawały się łatwo do przebycia.

Ciężar życia dawał się podjąć nanowo. Ale nie myślała już o nim. Bliskość była najżywszem szczęściem, nie można było nie pamiętać o niej. Przyszedł nareszcie czas, kiedy wolno było podarować sobie na wyłączną własność jakąś chwilę.

— Tutaj mieszkamy — powiedział Zygmunt przy parterowym domku i posunął ją zlekka w stronę sieni. Stare drzwi otworzyły się prawie same i Janka przeszła próg.

W izbie stała stara kobieta, wysoka, tęga w obfitej spódnicy, z gładko uczesanemi włosami, które splecione w warkocz zwijały się w mały węzeł.

— To Janina Brandt — powiedział Zygmunt.

— Panienska — zaczęła, schylając się stara Jeziorowska.

— Mamo — przerwał Zygmunt tę prezentację, chcąc przełamać chłód i odległość między niemi. — To będzie moja żona — i ujął rękę Janki.

— Zygmunt! — krzyknęła stara gniewnie, ostrzegawczo — Cóżes ty?

— Niech mama się uspokoi — rzekł łagodnie — i najlepiej n̄e gadać zaraz wszystkim — spojrział pytająco na Jankę.

— Zapomniałeś mnie o coś zapytać — rzekła i oczy jej błyszczały.

— Nie chcesz? — spytał i po długich tygodniach zobaczyła jego uśmiech. Szare oczy pod krzaczastą brwią śmiały się, w mroku jaśniały zęby.

— No, mammo. —

Janka ujęła jej rękę, ale Jeziorowska nie dostrzegła jej.

— Zygmunt, wiesz ty co gadasz. Panienska, niech panienska do domu idzie. To grzech przeciw rodzicom. Nieszczęście ściągniesz. Stary chłop, a bez rozumu. Myślisz, że ci państwo ślub wyprawia.

— Obejdzie się — rzekł sucho, ale zaraz znów zwrócił się do niej, żeby ją przejednać — Mama...

— Co mi będziesz gadał — krzyknęła — nie chcę ja być przy tem, żeby na mnie nie było.

Pomarszczona, zżółkła jej twarz poczerwieniała.

Strach ją ogarnął, jakby za to wykroczenie najcięższa kara groziła. Ale bała się nie tylko tej możnej, znanej każdemu dziecku w Staszewie rodziny Brandt i nie tylko dlatego, że pracował tam niegdyś jej mąż, a teraz zięć, bała się jakichś praw nietykalnych, uświęconych, że się tylko równi z równymi łączyć mogli, praw, które teraz te młode lekkoduchy deptać chciały.

Dosyć ona lat przeżyła i włosy jej osiwiwały, żeby wiedzieć, że się te prawa bronić umieją i prędzej ludzi zniszczą, niż ludzie je same.

A kiedy oni ciągle stali przy sobie, w nagłym gniewie pochwyciła palto i jak stała wybiegła z izby, aż za nią stare, spaczone drzwi jęknęły i zakołysały się. Ale chociaż zapadły już w klamkę, Zygmunt stał jeszcze ciągle przy wysokiej, staroświeckiej komodzie, a Janka przy poręczy wyplatanej krzesła patrzyła na tę obcą izbę, dziwnie niską, pochyloną, z czerwoną pelargonją i wyblakłą hortensją na oknie.

Wtedy oczy jej napotkały jego spojrzenie i natychmiast pochłonęła ją fala gorącego wzruszenia. Serce biło głośno i prędko, choć żadne z nich nie powiedziało jeszcze słowa. Musiało się coś stać za chwilę, każdy nerw, każde włókno wiedziało o tem, tak, jak się wie zawsze z najgłębszą pewnością o chwili, która przyniesie spełnienie.

Cóż znaczyła myśl, że nic nie mogło przedłużyć tej chwili, że mogła pozostać jedyną na długo. Życie miało iść odtąd wielką, nieznaną drogą, niekiedy ledwie zostawiając chwilę dla siebie.

Janka je czuła w tej chwili całą swoją istotą i po-

tężne fale, które mijały ją dotąd, zdaleka dając znać o sobie, porywały teraz ją samą, żywą cząstkę istnienia, a ten współdział w życiu objawił jej nową, najgłębszą radość bytu.

W izbie ściemniało się. Na dworze zapadał mrok. Ostanie wozy z jarmarku turkotały po kamieniach w stronę dworca.

Wtedy znów po miesiącach dotknęły jej rąk twarde, gorące dłonie, silne i czułe, kiedy tak chciały, nieustępliwe i zimne, kiedy tak musiało być.

Stara Jeziorowska, wyszedłszy z pomieszkania jak ogłupiała stoją koło domu, raz po raz tylko wdychając. Masz ci pociechę, masz radowanie! Prawda, dawno już chciała, żeby ten syn się żenił i ambicje dla niego niebylejakię miała. Ale oto sobie narzeczoną wzion i jaką.

Jenszy dycht biedną ze złej famielji weźmie i kłopotu narobi, a ten sobie wyszukał. Pannę z panów i dziedziców. Takać też i narzeczoną. Jutro dowiedzą się rodzice w domu zamkną, skrzyczą, a Zygmontowi zadadzą, co popamięta. Zgłupiał czy co.

I żeby to taki młodziuchny. Trzydzieści lat chłop. Nigdy z niego żadnej pociechy nie było. Nic nie zarabiał, kosztował, a później też na żadnego pana mimo tej nauki nie wyszedł. Oj, dadzą mu tę żonę, że popamięta.

A ona cienka, wysoka, włosy w lokach, oczy świecące, nic nie gada, tylko jej rękę ciśnie w swojej chudej, nienawykłej roboty rączynie.

Dwadzieścia lat. Takie stoją radujące się, wesołe.

Jezu. Może i nie trzeba było wyjść z domu. Młode i głupie. Jeszcze co tam posieją i szlus. Może samej do pana iść powiedzieć, żeby zaś później takiej złości nie było?

Trudy się też nie poradzić, bo już po pierwszych plotkach jak ta głupia skakała, że jeszcze nie przyszły takie czaśy, żeby pałacowe panny za synów kuczerowych szły.

Zimno wieczornego jesiennego przymrozku obleciało starą Jeziorowską chłodem. Jeszcze na Kolejowej ulicy dosyć gwaro było i gromadkami ciągnęli ludzie w stronę kolejki, ale na małej, bocznej Wodnej uliczce, w którą skręciła było już całkiem pusto. Wiatr jej pod wyszarzałe, szerokie palto wpadł chyłkiem, wyduł jak balon i rozlał przejmujący chłód po całym ciele. Zatrzęsa się cała. Żeby to gdzie wejść, pogadać i ulżyć sobie.

Mało to znajomych się ma i krewności? Ale w zmartwieniu niema gdzie iść i kaźden niemiły. Jeziorowska zawsze w rozmowie najlepiej sobie ulżyła, więc i teraz ją całą siłą do ludzi ciągnęło.

A dzisiaj właśnie Brysi Nastowej matka przez Władkę jeich dała mówi, coby do niej wstąpiła.

W ostatnich czasach wcale na nogach nie chodziła. Porobiły się jak te becзки. Od cugu, czy rumatys taki.

Przytrzymując od wiatru palto ręką, Jeziorowska ruszyła żwawiej w stronę domku, gdzie mieszkała Krzemińska.

Noc jaśniała nad miasteczkiem cicha i zimna, niebo było sine, gwiazdy białe, zdaleka z nad trzech je-

zior nadciągały jasne mgły. Po uliczkach opustoszałych już zupełnie, srebrzystych od miesiąca, zamiecionych do czysta wiatrem, szła stara Jeziorowska, drżąc z chłodu i od myśli, które ją opadły po raz pierwszy po sześćdziesięciu pięciu latach życia.

Biegł za nią tylko jej wielki, chwiejny cień i zza płotów głucho czekały psy.

Potykając się w znajomej, ciemnej sionce odnalazła Jeziorowska drzwi i usłyszała za niemi ciężkie, szurające kroki. Stara Krzemińska uradowała się nią jak nigdy.

— To ci gość. A ja tu sama cały dzień. Terazem się zwlekła, bo z lampy taki swąd a Rosiaków nima.

Rosiakowie zajmowali pół pokoju na spółkę ze starą. Często się nawet pożywiła przy tem, co Rosiakowa gotowała, bo jej samej trudno się było na nogach utrzymać, a ona zato obszywała ich i cerowała, co było trzeba.

Teraz też stękając zaraz siadła znowu i nogi w wielkich, ciepłych laczach i pończochach domowej roboty oparła na stołku.

Jeziorowska spostrzegła, że posiwiiała i poźółkła w ostatnich tygodniach i zaniepokoiła się czy jej aby długo?

— Brysia powiadała, co znowu chorujecie — rzekła wbrew swoim zwyczajom, zaczynając nie od własnych spraw.

— Oj, choruję. Na nogi już stać nie mogę — zawiodła Krzemińska.

— To dobrze sadłem wysmarować. —

— Nie, ja jeszcze co innego mam — oznajmiła

tajemniczo Krzemińska — od bryśnej teściowy. W popielcową środę octu z wodą nastawić, pientnaście kropel esencji octowej i jedenaście igłów. Niech do wielkiego Postu postoi, igły się dycht rozchodzą. Jak tem natrzeć najcięższy rumatys przeńdzie. —

— Nastawiliście? —

— Już się rozeszły. Na oknie stoi. —

— Jak wam pomoże to i ja pożyczę. Tyż mnie na niepogodę w kościach rwie. —

Nie była to właściwa rozmowa. Myśłami nie mogła się Jeziorówka przy niej utrzymać i chętniej słuchała niż mówiła. W przerwach słyszało się wyraźnie wiatr za oknem. Śpiczasty płomień lampy odbijał się czerwono w błoniastych szybkach niskiego, ceglaste go kredensu.

— Brysinemu zapomoga się kończy — westchnęła Krzemińska.

— Jezu — zawtórowała jej z wezbranej piersi Jeziorowska — i co? — Dopiero słowa o czyjemś nie-szczęściu zbudziły ją nanowo i dały odczuć własną niedolę.

—Abo ja wiem co? Słyszane to rzeczy takie czasy, coby tyła chłopca bez roboty chodziło? Dawniej takie do Ameryki szły, czy jak, a tera? Brysią to już czasem sama taka, że najlepjby z temi dzieciakami razem do wody i już. Ich największy chłopak już duży, teżby robić musiał. Ale na naukę, na termin przecie pieniędzy nima. A on też ciągle ino w Związku siedzi ze Stępieniem. Zeby tylko biedy jakiej nie napytał. Jak robota będzie, to go też przez to nie wezmą.



Ale dziś ludzie nie takie jak kiedyś. Już tak cierpieć nie chcą te młode. —

— Oj inne — jęknęła Jeziorowska — wszystkoby pozmieniali. Nawet u bogatych dzieci czasem nie za rodzicami wcale. — Znów ją żalność ogarnęła.

— Młode, głupie. Tydzień się nacieszą, całe życie napłaczą — rzekła jakby bez związku.

Trude se wspomina, pomyślała Krzemińska i złagodniała. — Co to plotków nanoszą — rzekła po chwili chytrze. Powiadała mi Truda, co to Sopocińska o Zygmencie mówiła. Jeziorowska niespokojnie poruszyła się na stołku.

— Bo to prawda, co gadają? — spytała Krzemińska.

— Dzisiaj starych nikt nie pyta — odparła ponuro zamiast odpowiedzi Jeziorowska.

Żalśliwe to usposobienie do reszty rozrzewniło Krzemińską.

— Oj, jak se wspomne o Brysi i te pińć dzieci, co każde jeść woła...

Jeziorowska gniewnie ręką machnęła. — Jak dzieci małe, ino koło nich chodź, jak duże to se zdychaj, nikogo nie potrzebują, od wszystkich mądrzejsze. —

Krzemińska trochę sennie nachyliła się nad kra-ciastym obrusem. — Powiadają, że tera koniec świata idzie. W prorocत्वach świętych stoi i w gazecie pisało. Przecie to już dawno prorokowane jest. —

Jeziorowska przypomniała sobie młodych i ocierając oczy mężowską wielką chustką z modrym kan-tem odrzekła. — Tak, powiadają wszystkie, co nowe

czasy idą. Wszystko się pozmienia, ino, że my za stare na to. —

A Krzemińska przejęta i zdumiona żałosliwym usposobieniem starej, wesołej Jeziorówki, sama własnych trosków nie snując, płaczliwie i nieco śpiąco zawiodła za nią. — Idą, idą czasy, jakich świat nie widział. Koniec świata, tak, jak święte przepowiadali... —

Wiktor Brandt nie sypiał dobrze. Budził się zawsze nad ranem i leżał do dnia, nie czując bólu prócz znużenia. Leżał tak codzień śmiertelnie smutny, rozpamiętując swe chore serce, przedwczesną sklerozę i bardziej od choroby dókuczliwą samotność.

Dopiero pierwsze odgłosy wstawania w domu pokrzepiały go, budząc silniejsze poczucie łączności beznadziejnej nocy z dzisiejszym, nowym dniem.

W godzinach między nocą, a dniem myślał najczęściej o jednym, żeby ujrzeć Jankę zamężną i zdać na kogoś pewnego los przedsięwzięcia. Było to jedyne pragnienie, jakie miał jeszcze dla siebie.

Im dalej od niego odsuwała się córka, tem silniej marzył o tem. Bo już tylko marzenie mogło w jednej chwili zburzyć wszystkie zapory, jakie postawił los.

Któregoś świtu, kiedy już blisko była godzina porannych szmerów, czujne ucho bezsennego pochwyciło daleki szelest, przyciszony zgrzyt zamykanych ostrożnie drzwi, tak ostrożnie, że Brandt przeraził się.

Nie złodziei, bo nigdy za jego pamięci nie włamywano się w Staszewie do prywatnych mieszkań. Cze-

goś innego. Jednej z tych możliwości, o których się wie podświadomie, że czyhają, i tylko instynkt brojący człowieka od bólu szeptał mu: może służąca? choć odrazu pomyślał: Janka...

Na korytarzu szeleściły kroki lekko, ostrożnie, jakgdyby nie powinny być słyszane. Nim drżące ręce pochwyciły szlafrok i stopy znalazły zimne, trudne do włożenia pantofle, była już na dole, opuściła właśnie ostatni stopień.

Ale dosłyszała natychmiast, kiedy drżący głos zawołał zgóry: — Janko! —

Ojciec był błydy i drżał z zimna. Niespokojnem, uważnem spojrzeniem obejmował ją całą. Nie dostrzegał nic i to sprawiało mu ulgę. A więc zostawała może. Popępiała tylko jakieś małe, dziecinne głupstewka, tak jak ze swoim pierścionkiem.

I to, co wtedy wydawało się niesłychanie doniosłe, zmalało nagle, stało się niczem wobec stokroć większego, groźniejszego niebezpieczeństwa.

— Wychodzę — powiedziała Janka, patrząc na ojca po przez przestrzeń schodów.

— Tak — odrzekł w odpowiedzi na to jedno, proste słowo — jesteś przecież dorosła. —

Nie znajdował słów. Ale Janka je znalazła. To był przecież ojciec, zawsze ten sam, który na usprawiedliwienie wszystkich swych uraz do świata miał jedną wielką miłość do niej.

Więc przebiegłszy przestrzeń stopni, która ich dzieliła ujęła jego chłodną rękę.

— Wyjeżdżam tatusiu. Nie chciałam tego powiedzieć wcześniej i trudno mi było... Ale wrócę, będę

wracała... — nie dokończyła sama tego zdania, w którym, jakże trudno było coś przyrzec...

— Dlaczego? — zapytał dyrektor Brandt suchym, martwym z bólu głosem.

— Muszę, przecież ty sam wiesz o tem — usprawiedliwiła się jego córka i poczuł na policzku dotknięcie młodej, rozgorzałej twarzy.

Potem odprowadzał ją oczyma wdół po stopniach z czerwonym kokosowym dywanem, na których po dawnemu unosił się miły, domowy zapach terpentynowej maści.

Kiedy mu znikła z oczu, z wysiłkiem podszedł do okna.

Schodziła właśnie przed dom. I jego wyteżone, trwożne oczy ujrzały, że czekano na nią. Niewysoka, barczysta sylwetka i druga bardzo młoda, szczupła.

W lekkich, znoszonych paltach stali obaj na jesiennym chłodzie i czekali na dziedziczkę rodziny Brandt.

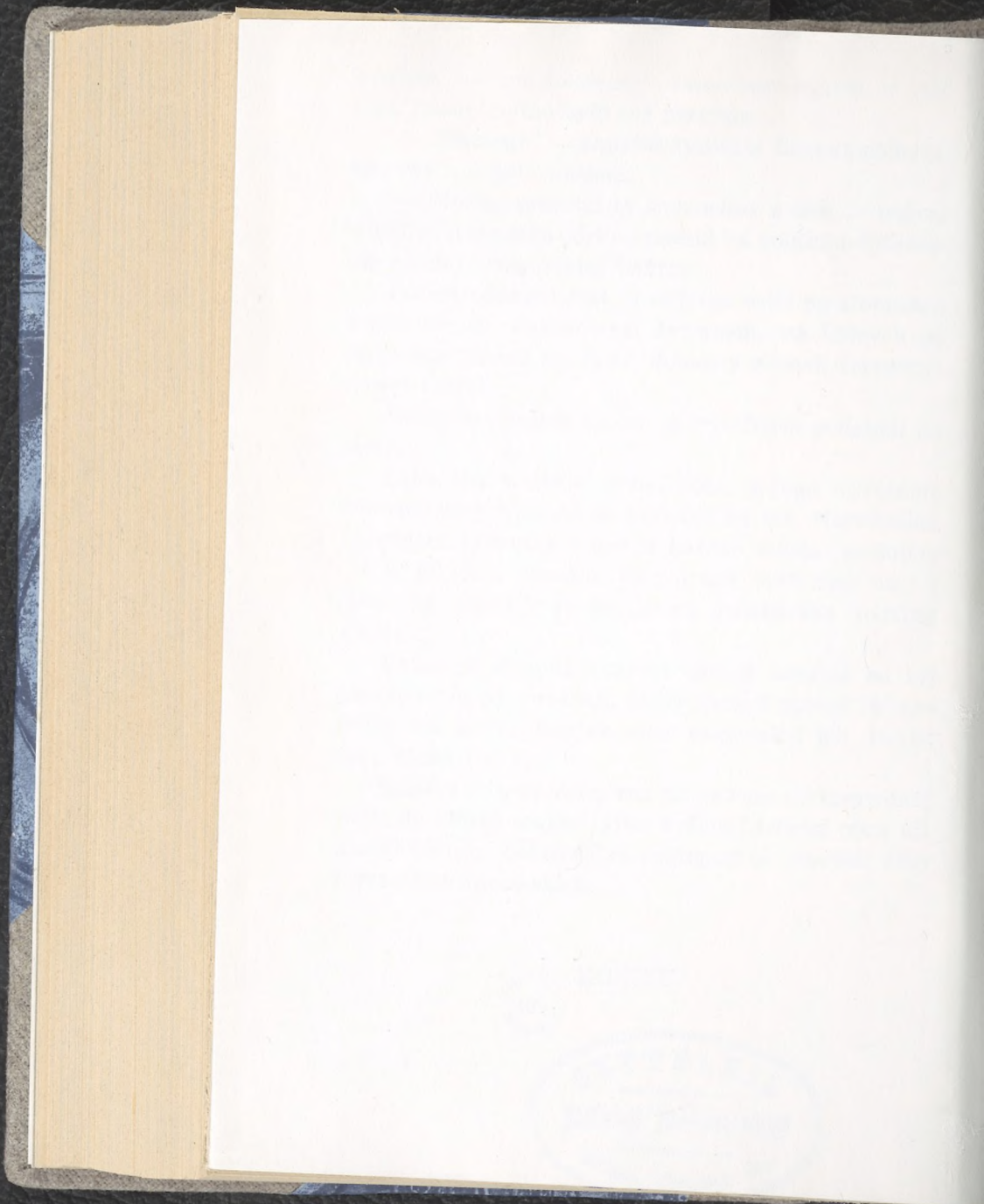
Dyrektor Brandt oczyma zawisł oczyma na tej grupie i nie odrywał ich, kiedy zaczęli powoli iść naprzód we troje, tamten obcy człowiek i ich dwoje, jego córka i syn.

Zabierali ją przecież raz na zawsze od czerwonej willi, do której mogła tylko wrócić bardziej obca niż kiedykolwiek, dobrowolna odstępczyni starych dóbr i grzechów ojcowskich.

KONIEC.







Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001021783874

BIBLIOTEKA  
  
NARODOWA

1472342

---

---

---